

W obronie

Polkoju

PISMO, KTÓRE CZYTA CAŁY ŚWIAT

Nr 4 (34) Kwiecień 1954 r. Cena 2,50 zł

Pierre Cot: Krok naprzód	2
Jarosław Iwaszkiewicz: Ikar (nowelka)	6
Gordon Schaffer: Lody ruszyły w Berlinie	11
D. N. Pritt: Co dalej?	16
Dr J. Dobretsberger: Sprawa Austrii	19
J. R. Clementin: O rozejm w Indochinach	23
J. De Villefosse: Los księdza de Lamennais	28
M. Hincker: Narodowe interesy Francji	34
Claude Morgan: Yves Farge w Maroku	38
Lu Sin: Moja wieś rodzinna	43
J. Madaule: Argentyna — Ziemia Południa	55
Wł. Szczerbic: Historia nie z tej ziemi	63
Dr J. Bernard: Choroba Heine-Medina	67
Z dziejów filmu brazylijskiego	74
Lindsay Farr: Światło z powietrza	79
T. Sepilli: Czy istnieje człowiek-małpa?	84
Yashpal: Zasłona (nowelka hinduska)	88
Krzysztof Zarewicz: Kraj Kirgizów	96
Kamila Chylińska: Bilans i program	103
Stefan Litauer: Fakty i komentarze	113
Rubryka filatelistyczna	125
Szachy	127
Opłodka	



Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCOW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Foksal 16

Telefony: Redaktor Naczelny 65-181

Sekretarz Redakcji 65-184

Godziny przyjęć: 13 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wilejska 12. tel. 853-30

Warunki prenumeraty: kwartalnie	7,50 zł
półrocznie	— 15,00 zł
rocznie	— 30,00 zł

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa”, W-wa, al. Jerozolimskie 125

Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są dopuszczalne tylko za podaniem źródła: „W Obronie Pokoju”

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika;

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28

pod redakcją PIERRE COTA

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY:

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, JOSE BERGAMIN (Hiszpania) *pisarz katolicki*, IZABELA BLUME (Belgia) *deputowana socjalistyczna*, GEORG BRANTING (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, ILJA ERENBURG (ZSRR), *pisarz*, Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk) *b. minister*, MAHDI JAWAHIRI (Irak) *poeta*, LEON KRUCKOWSKI (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, MAO DUN (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, CESA NABARAOUI (Egipt) *dziennikarka*, PIETRO NENNI (Włochy) *b. minister*, MARIA ROSA OLIVER (Argentyna) *literatka*, LUIGI RUSSO (Włochy) *krytyk*, GORDON SCHAFFER (W. Bryt.) *publicysta*, ARNOLD ZWEIG (Niemcy) *pisarz*.

KROK NA PRZÓD

PIERRE COT

ZBYT jest jeszcze wcześniej, by dokładnie powiedzieć, jakie będą konsekwencje konferencji berlińskiej. Ale już teraz powinniśmy się cieszyć z tego, że w Genewie odbędzie się nowa konferencja z udziałem Chin Ludowych, poświęcona pokojowemu uregulowaniu problemu koreańskiego i indochińskiego. Jakkolwiek temat konferencji jest ograniczony, fakt, że będzie ona mogła się odbyć, stanowi już bardzo poważny sukces.

Poza tym w związku z konferencją berlińską można poczynić pewne uwagi, które dałoby się zgrupować w następujący sposób:

Pierwszym rezultatem konferencji berlińskiej jest to, że Związek Radziecki i trzy wielkie mocarstwa zachodnie zdecydowały się zebrać i rozmawiać. Sam ten rezultat jest już poważnym wydarzeniem międzynarodowym.

Przerwane zostało milczenie i weszliśmy na drogę rokowań. Rezultat ten jest tym bardziej ważny, że po konferencji berlińskiej nastąpią inne spotkania. Widzimy teraz jasno, że w obecnym stanie rzeczy żadne z mocarstw nie odważyłoby się powziąć inicjatywy zerwania nawiązanych kontaktów i zawrócenia z drogi. Wydaje się, że stoimy w punkcie wyjścia z zimnej wojny.

Druga obserwacja: Nikt nie mógł się spodziewać poważnego i konkretnego rezultatu tego pierwszego spotkania czterech wielkich mocarstw. Siedem lat zimnej wojny stworzyło między Wschodem i Zachodem głębokie nieporozumienia i trudności, których nie można przekreślić za jednym zamachem. W stosunkach międzynarodowych zapanały złe zwyczaje. Na skutek zbyt długo trwającego braku kontaktu, cztery wielkie mocarstwa przestały się rozumieć i mówić takim samym językiem.

W tych warunkach nie można było spodziewać się, że konferencja berlińska pozwoli od razu uregulować tak drażliwe problemy, jak te, które są związane z przyszłością Niemiec, albo z losami Azji.

Trzecia uwaga: Jedną z przyczyn trudności porozumienia się czterech wielkich mocarstw wynika z faktu, że konferencja berlińska była w gruncie rzeczy, przynajmniej w bardzo znacznej części, dialogiem między Wschodem, reprezentowanym przez Związek Radziecki i Zachodem, reprezentowanym przez Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Francję.

Przedstawiciele trzech wielkich mocarstw zachodnich zebrali się przed konferencją, ustalili wspólny front i wspólną strategię, rozdzielili pomiędzy siebie role i zadania.

Gdyby zamiast konferencji, przeciwstawiającej dwie tezy, tezę Wschodu i tezę Zachodu, przedstawiciele wielkich państw odbyli naprawdę konferencję w czterech, starając się znaleźć rozwiązania, bardziej odpowiadające interesom ludzkości i sprawie pokoju, rezultaty byłyby odmienne.

Sposób postępowania przedstawicieli trzech zachodnich mocarstw przypomina jeszcze metody zimnej wojny, która dzieli świat. Życzymy sobie, aby to było po raz ostatni i abyśmy wreszcie weszli w nową i bardziej normalną fazę stosunków międzynarodowych.

Można się tego spodziewać tym bardziej, że wbrew powziętym ostrożnościom i zawartym w Berlinie układom, między trzema wielkimi mocarstwami zachodnimi wystąpiły sprzeczności interesów. Sprzeczności te są zupełnie naturalne. Czy chodzi o problem niemiecki, czy o zagadnienia azjatyckie — interesy Francji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, a więcej jeszcze być może — ich sposób widzenia i pojmowania przyszłości — nie zbiegają się całkowicie ze sobą.

Ponieważ te sprzeczności interesów są naturalne, będą się one wzmacniać i w związku z tym przyszła konferencja będzie mogła mieć w znacznie większym stopniu, niż konferencja berlińska, charakter prawdziwej konferencji czterech wielkich mocarstw. Ocenilibyśmy ją wtedy jako pierwszą zimną konferencję z „okresu przed nastaniem prawdziwego pokoju”, jako następny etap po zimnej wojnie i jako krok do utrzymania i zwiększenia odprężenia sytuacji międzynarodowej.

Czwarta obserwacja: Jakkolwiek rzecz się ma, konferencja berlińska przyczyni się do uświadomienia światowej opinii publicznej. Na Zachodzie każdy zdaje sobie sprawę, że pewnych wielkich, zasadniczych problemów, jak rozbrojenie, funkcjonowanie ONZ, losy Azji, stosunki handlowe między Wschodem a Zachodem itp. nie można regulować, ani nawet poważnie rozpatrywać bez udziału Chin Ludowych. Powzięte w Berlinie postanowienie zwołania konferencji z udziałem Chin umocni jeszcze to przekonanie.

Również cały świat zdaje sobie sprawę, że jeżeli chce się osiągnąć rezultaty, ustępstwa muszą być wzajemne, a nie jednostronne. Z tego punktu widzenia każdy będzie mógł porównać wartość tez wysuwanych przez różne strony.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę naszych czytelników w szczególności na znaczenie wysuniętej przez min. Mołotowa w imieniu Związku Radzieckiego propozycji w sprawie problemu niemieckiego. Przedstawiciele trzech mocarstw zachodnich propozycji tych nie przyjęli. Nie ulega wątpliwości, że w obecnym stanie rzeczy nie mogło się to stać od razu, ale propozycje te wraz z propozycją paktu bezpieczeństwa zbiorowego, wywołały olbrzymi oddźwięk. Istotnie bowiem dotąd, kiedy mówiono o „organizacji europejskiej” — mówiono przede wszystkim o tzw. „małej Europie”, to znaczy o Europie, złożonej z piętnastu państw, lub o Europie, złożonej z sześciu państw, o Europie „wspólnoty obronnej” i Wspólnoty Węgla i Stali.

Odtąd tej koncepcji organizacji europejskiej przeciwstawia się druga, ta, którą rozwinął min. Mołotow. Mam na myśli plan, zmierzający do zapewnienia bezpieczeństwa już nie tylko narodom Europy zachodniej, ale wszystkim narodom europejskim. Chodzi o plan prawdziwie europejski. Odtąd europejska opinia publiczna będzie mogła wybierać między tymi dwiema koncepcjami. Zbada jedną i drugą, a potem ostatecznie wybierze z nich tą, która najlepiej odpowiada interesom każdego i interesom pokoju.

Można zatem, a nawet trzeba spodziewać się, że w najbliższych miesiącach — dzięki propozycjom, wysuniętym na konferencji w Berlinie — w opinii publicznej dokona się olbrzymi postęp i że postęp ten zbliży nas do dnia, w którym pokój będzie bardziej utrwalony i mocniej zagwarantowany.

Krótko mówiąc, konferencja berlińska stanowi olbrzymi krok naprzód. Oznacza ona początek nowej ery, powrotu do uregulowania i normalizacji życia międzynarodowego. Z tego powodu winniśmy ocenić ją przychylnie.





JUBILEUSZ JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

W DNIU 20 lutego br. odbył się w Warszawie uroczysty obchód 60-lecia urodzin i 40-lecia twórczej pracy wybitnego poety i pisarza, przewodniczącego Polskiego Komitetu Obronców Pokoju, Jarosława Iwaszkiewicza. W uznaniu zasług Jubilata jako pisarza, poety oraz działacza polskiego i międzynarodowego Ruchu Pokoju, Rada Państwa przyznała Mu wysokie odznaczenie Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Obok przedstawicieli świata literackiego i artystycznego, którzy składali Jubilatowi gorące, serdeczne życzenia długiego życia i twórczej pracy, przemawiał w imieniu PKOP poseł Ostap Dłuski, podkreślając wielkie zasługi Jarosława Iwaszkiewicza na polu obrony pokoju.

W czasie uroczystości odczytano m. in. piękną nowelkę Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Ikar“, którą zamieszczamy obok.



ISTNIEJE pewien obraz Breughla, zatytułowany „Ikar“. Kiedy się na ten obraz patrzy, spostrzega się chłopą orzącego ziemię na wysokim brzegu morza, pastucha pasącego obojętnie swoje stado, wędkarza, który wyciąga z morza swoje wędkę, miasto spokojne w oddali. Morzem płynie statek z rozwiniętymi żaglami, a na jego pokładzie kupcy rozmawiają o interesach. Słowem, widzimy życie z jego codziennymi troskami i codziennym napięciem zwykłych ludzkich zajęć i kłopotów. Gdzież jest Ikar? Gdzież ten, który usiłował wylecieć w słońce? I dopiero kiedy dobrze przyjrzymy się obrazowi, w pewnym kącie morza spostrzegamy dwie nogi wyzierające z wody i parę piór w powietrzu nad wodą lecących, wyszarpniętych siłą upadku z przemyślnie skonstruowanych skrzydeł. Przed chwilą nastąpił upadek Ikara. Śmiałek, który przyprawił sobie skrzydła — podług greckiej legendy — wznosił się wysoko, tak wysoko, że znalazł się w pobliżu słońca. Promienie słoneczne stopiły воск, którym przymocował sobie rzędy piór do skrzydeł, i młodzieniec spadł. Dopełniła się tragedia — oto właśnie tonie i zanurza się w morzu, ale ludzie tego nie zauważyli. Ani chłop orzący ziemię, ani kupiec płynący w dal, ani gapiący się na niebo pasterz — nikt nie spostrzegł śmierci Ikara. Jeden tylko poeta czy malarz ujrzał tę śmierć i przekazał ją potomności.

Obraz ten przypomina mi się zawsze, ilekroć pomyślę o pewnym moim przeżyciu. Był to czerwiec roku 1942 czy 1943. Piękny letni

wieczór zapadał nad Warszawą, różowe blaski rzucały ozdobne cienie na zniszczone mury, a gwałtowny ruch wszystkich, dążących do domów, śpieszących przed policyjną godziną, aby dostać się do tramwaju, przykrywał tłumem cywilnych ubrań rzadkie już o tej chwili mundury. Gdy się patrzyło w tym momencie na ulice Warszawy, ożywione i piękne czerwcową pogodą, przez chwilę wydawać się mogło, że miasto wolne jest od okupanta. Przez chwilę...

Stałem na rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, na przystanku tramwajowym. Tramwaje dźwięcznie dzwoniące szeregowały się jedno za drugim swoimi czerwonymi cielskami wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia. Ludzie tłoczyli się do nich gromadami, wieszali na stopniach, czepiali zderzaków, gronami zwisali z tyłu i z boków. Od czasu do czasu przemykało czerwone „zero“, przeznaczone tylko dla Niemców, więc pustawe. Musiałem dość długo czekać na jakiś wóz, do którego można by się było łatwiej dostać. A kiedy już nadszedł taki, nie chciało mi się wsiąść do niego, zasmakowałem nagle w tym tłumie, który mnie otaczał, obojętnie przyjmując do świadomości moje istnienie. Przede mną wysoko stał na swoim cokole Mickiewicz, naokoło pomnika skromne kwiaty kwitły jednakże i pachniały, samochody skręcały ze zgrzytem przed kościołem Karmelitów, chłopcy sprzedawali gazety, wykrzykując głośno, handlarze papierosów, ciastek roili się przed poryskującym sklepem, z hałasem zasuwano żaluzje i zaciągano kraty na drzwiach i oknach magazynów, w ogródku, zapelnionym do ostatnich miejsc na ławkach przez starych i młodych, ćwierkały wróble, równie gęsto osadzone po wątych drzewinach — wszystko zanurzało się powoli w niebieskim mroku letniego wieczoru. W tej chwili słyszałem bijące serce Warszawy i mimo woli ociągałem się wśród ludzi, aby jeszcze trochę pobyc z nimi razem i razem z nimi odczuwać ten miejski letni wieczór.

W pewnej chwili spostrzegłem młodego chłopca, który idąc gdzieś od Bednarskiej, dość nierozważnie wysunął się zza czerwonego kadłuba tramwaju, który już ruszał, i stanąwszy twarzą do jezdni, a plecami do ruchu, na małej wysepce, w dalszym ciągu nie odrywał oczu od książki, z którą razem wynurzył się z szarżującego zmroku. Miał lat piętnaście, szesnaście najwyżej. Czytając, od czasu do czasu wstrząsał płową czupryną, odgarniając włosy, które mu spadały na czoło. Jedną książkę sterczała mu z bocznej kieszeni, drugą złożoną trzymał przed oczami, najwidoczniej nie mogąc się od niej oderwać. Zdobył ją zapewne przed chwilą od jakiegoś kolegi czy też w tajnej wypożyczalni i, nie czekając na powrót do domu, chciał się z jej treścią zaznajomić na gorąco, na



ulicy. Żałowałem, że nie wiedziałem, jaka to była książka, z daleka wyglądała na podręcznik, ale chyba żaden podręcznik nie budzi w młodzieńcu takiego zainteresowania. Może były to wiersze? Może jakaś książka ekonomiczna? Nie wiem.

Chłopak przez chwilę stał na wysepce, pogrążony w czytaniu. Nie uważał na potrącanie, na cisnący się do wagonów tłum. Parę czerwonych smug przeminęło za nim, on wciąż nie odrywał oczu od książki. I wciąż z tą książką pod nosem — czy to, że znudzili go potrącania i krzyki wokół, czy też nagle podświadomie uczył potrzebę pośpiechu do domu — widziałem, że stąpnął z wysepki na jezdnię — wprost pod nadjeżdżający samochód.

Rozległ się zgrzyt gwałtownie naciśniętych hamulców i gwizd gum na asfalcie, samochód unikając przejechania chłopca skręcił gwałtownie w bok i zatrzymał się nagle przed samym rogami Trębackiej. Z przerażeniem spostrzegłem, że była to karetka gestapo. Młodzieniec z książką usiłował wyminąć samochód. Ale w tym samym momencie z tyłu karetki otworzyły się drzwiczki i dwóch osobników w hełmach, z trupimi główkami, wyskoczyło na jezdnię. Znaleźli się tuż obok chłopca. Jeden z nich krzyczał gardłowym głosem, drugi okrągłym ruchem ręki, z szyderstwem zaprosił go do środka.

Po dziś dnia widzę młodzieńca, jak stoi u drzwiczek karetki, zażenowany, po prostu zawstydzony... Jak wzbrania się przeczącym, naiwnym ruchem głowy, jak dziecko, które obiecuje, że już nigdy więcej nie będzie... „Ja nic nie zrobiłem — zdawało się, mówił — ja tylko tak...” Wskazywał na książkę, jako na przyczynę swojej nieuwagi. Jak gdyby tutaj można było coś wytłumaczyć. Nie chciał wejść do karetki ostatnim odruchem traconego życia.

Żandarm zażądał od niego papierów, porwał wyjętą kennkartę i gwałtownym ruchem popchnął chłopca do środka. Drugi mu pomógł, chłopiec wsiadł, za nim gestapowcy, drzwiczki trzasnęły i karetka pędem porwawszy się z miejsca, szybkim tempem skierowała się w stronę Alei Szucha.

Zniknęła mi z oczu. Obejrzałem się dookoła, szukając jeszcze u kogoś zrozumienia, współczucia dla tego, co się tutaj zdarzyło. Przecież młodzieniec z książką zginął. Z najwyższym zdumieniem spostrzegłem, że nikt tego zdarzenia nie zauważył. Wszystko, co opisałem, odbyło się tak szybko, tak błyskawicznie, każdy z tłumu na ulicy tak był zajęty swoim pośpiechem, że porwanie młodzieńca przeszło niepostrzeżenie. Panie, stojące tuż przy mnie, spierały się, którym numerem tramwaju będzie im wygodniej jechać, dwóch jego-nościów za słupkiem tramwajowym zapalało papierosa, baba przy

koszu ustawionym pod ścianą powtarzała bez przerwy swoje: „Cytryn, cytryn, cytryn, ładnych“, jak buddyjskie zaklęcie, a inni młodzi chłopcy biegli przez ulicę za odchodzącymi wagonami, ryzykując dostanie się pod inne samochody... Mickiewicz stał spokojnie i kwiaty pachniały, i brzoźki, i jarzębiny obok pomnika poruszały się od lekkiego wiatru, zniknięcie tego człowieka nie znaczyło nic dla nikogo. Ja jeden zauważyłem, że Ikar utonął.

Stałem jeszcze długo na miejscu, czekając, aż tłum zrzednie. Myślałem, że może „Michaś“ — tak go sobie w myślach nazwałem — powróci. Wyobrażałem sobie jego dom, rodziców oczekujących na jego powrót, matkę przygotowującą wieszczkę i w głowie mi się pomieścić nie chciało, że oni nigdy nie dowiedzą się, jakim sposobem zginął ich syn. Nie przypuszczałem, znając zwyczaje naszych okupantów, aby się mógł wyrwać z tych pazurów. A wpadł w tak głupi sposób! Bezmyślne okrucieństwo tego porwania poruszyło mnie do głębi, porusza jeszcze do dziś dnia.

Ci, co zginęli w walce, ci, co wiedzieli, za co giną, mieli może w tym pociechę, że śmierć ich ma jakiś sens. Ale iluż było takich jak mój Ikar, co tonęli w morzu zapomnienia z okrutnego w swej bezmyślności powodu.

Wieczór nadszedł, miasto usypiało gorączkowym, niezdrowym snem... Ruszyłem wreszcie spod mojego słupa, minąłem pomnik Mickiewicza, poszedłem do domu piechotą... A w myśli wciąż prześladował mnie obraz Michasia kręcącego głową, jak gdyby powiedział: „Nie, nie, to tylko ta książka temu winna, już teraz będę uważał...“



ilustr. Marek Rudnicki

Lody ruszyły w Berlinie

Od naszego specjalnego wysłannika

GORDON SCHAFFER

GDY wysiadzicie z pociągu na dworcu przy Potsdamer Platz, znajdziecie się naprzeciw dwóch linii metro: jednej wiodącej na Wschód, drugiej na Zachód. Jeśli wyjdziecie na ulicę, możecie według własnego upodobania zapuścić się albo w świat wschodni, albo zachodni. Tysiące berlińczyków, zamieszkujących wielką stolicę w ruinach, zmuszone były dostosować swoje codzienne życie do tego fantastycznego podziału, kiedy sześć lat temu wypuszczenie osławionych „marek zachodnich” przez generała Clay’a rozbiło miasto na dwoje. I berlińczycy przekraczają w jedną i drugą stronę granice różnych stref, będąc w głębi serca w dalszym ciągu przekonani o tym, że miasto ich jest **jednym** i że stanowią oni jeden i ten sam naród.

Obejrzyjcie tytuły gazet w kiosku zachodnim i, o kilka metrów dalej, w strefie wschodniej, w innym kiosku. Różnica jest tak wielka, że

wydawać by się mogło, iż chodzi o dwie różne planety. Trudno wierzyć że dziennikarze wschodni i zachodni mówią właśnie o tych samych wydarzeniach...

Jeśli o mnie chodzi, schodząc na Potsdamer Strasse zadawałem sobie tysiące pytań na temat tego szaleństwa, jakim jest samowolny podział jednego narodu na dwa państwa i rozbiecie wielkiej stolicy na dwie części. Co pomyśleliby sobie moi londyńscy współobywatele, gdyby musieli wymieniać swoje pieniądze przy Elephant and Castle, aby móc potem dopiero pojechać na Tottenham Court Road? Albo co uczyniliby paryżanie, gdyby Montparnasse znajdowało się w strefie wschodniej, a Saint-Lazare w strefie zachodniej?

Zauważyłem wtedy — odbity w witrynie sklepowej fotografa — obraz czterech olbrzymich sztandarów: amerykańskiego, francuskiego, brytyjskiego i radzieckiego, zwisające o kilka kroków. W ten sposób w owym

Berlinie zachodnim wyrażona została nadzieja, jaką miliony ludzi pokładały w owej konferencji czterech wielkich mocarstw, nadzieja, że spotkania te zasypią rowy, oddzielające różne państwa, że przyniosą jedność i demokrację narodowi niemieckiemu, a światu obietnicę pokoju.

Byłoby dowodem nadmiernego optymizmu twierdzić, że owa nadzieja i najprostsze żądanie narodów zajmowały zawsze pierwsze miejsce w rozmowach czterech ministrów spraw zagranicznych. Różnice są zbyt głębokie, aby mogły być rozwiązane z taką łatwością. Lecz pewien już jestem, że owe spotkanie Czterech, że to bezpośrednie przestudiowanie trudności okresu powojennego, przeprowadzone w obecności największej liczby dziennikarzy, jaką zna historia i w obliczu całego świata, oddało już ogromne usługi sprawie pokoju. Po rozbłyśnięciu światła tej konferencji, która stała się pierwszym spotkaniem po długim przeciwstawianiu tez, okazało się, że dyskusje przy drzwiach zamkniętych lub też prowadzone prywatnie — a przede wszystkim zapowiedziane perspektywy nowych konferencji, jak konferencja z Chinami na temat problemów azjatyckich i konferencja na temat rozbrojenia — otwierają drogę do kompromisu i porozumienia.

* * *

Charakter konferencji był bardzo odmienny od charakteru tych wszystkich spotkań, jakie odbyły się w okresie zimnej wojny, która rozdzieliła sprzymierzeńców koalicji antyhitlerowskiej i przyniosła światu groźbę nowej katastrofy.

Przypominam sobie konferencję ministrów spraw zagranicznych z roku 1947. W owej chwili nie istniał jeszcze ruch obrońców pokoju, który ostrzec mógł narody przed grożącymi im niebezpieczeństwami. Konferencja ta stanowiła preludium do podziału Niemiec.

Przypominam sobie zwłaszcza konferencję prasową, która zwołana została nagle, dla zakomunikowania dziennikarzom, że amerykański sekretarz spraw zagranicznych, Marshall, zdecydowanie przerwał spotkania. Narody nie wiedziały wtedy, że posunięcie to stanowiło pierwszy krok na drodze do podziału Niemiec i zaostrenia zimnej wojny.

Zachód ujawnił swoją politykę, tworząc separatystyczne państwo w Niemczech zachodnich, ustanawiając reformę walutową i ustalając plany zbrojnego sojuszu Europy zachodniej. Szaleństwo mostu powietrznego (koszt transportu jednej tony towarów wynosił 200 dolarów), zakończone zostało w drodze porozumienia pomiędzy czterema mocarstwami w roku 1949. Jednak długie jałowe debaty, jakie toczyły się w Palais Rose w Paryżu — gdzie zastępcy ministrów spraw zagranicznych całymi tygodniami dyskutowali nad sprawą porządku dziennego — dowiodły wyraźnie, że nie ma wspólnego pragnienia pokoju.

Natomiast obecnie konferencja w Berlinie odbyła się dlatego, że narody chciały, aby się ona odbyła. Dlatego, że wytyczone przed dwoma laty projekty ponownego uzbrojenia hitlerowskich generałów w Niemczech zachodnich natrafiły na silny opór w Europie. Dlatego, że nie

można zmusić do milczenia milionów ludzi, którzy żądają wszczęcia rokowań.

W roku 1947, wtedy, gdy ministrowie spraw zagranicznych spotkali się na posiedzeniu plenarnym, James Forrestal, ówczesny sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych, zanotował w swoim poufnym dzienniku, że era monopolu Stanów Zjednoczonych w dziedzinie bomby atomowej „była tą erą, w której Stany Zjednoczone powinny skorzystać z okazji, aby wzmocnić swoją politykę”. Jedynym jego żmartwieniem było to, czy Stany Zjednoczone „zdecydowałyby się użyć bomby atomowej”.

Dziś Sterling Cole z Komisji Energii Atomowej Kongresu Stanów Zjednoczonych pisze, że bardzo niebezpieczne jest to, iż Związek Radziecki czyni postępy w dziedzinie pokojowego użytkowania energii atomowej wtedy, gdy Stany Zjednoczone koncentrują się jeszcze na produkowaniu broni atomowych.

W Berlinie Mołotow i Dulles wymienili poglądy na temat międzynarodowego wykorzystania energii atomowej. Osiągnięto pewien postęp.

W ośrodku prasowym na Thaelmannplatz około 500 dziennikarzy wysłuchiwało sprawozdań delegacji radzieckiej, angielskiej, amerykańskiej i francuskiej; byliśmy wszyscy zgodni co do tego — zarówno dziennikarze zachodni jak i wschodni — aby uznać, że na ogół biorąc, wszystkie delegacje starały się dać nam dostatecznie wierny obraz tego, co działo się w czasie tej konferencji. Był to szczególnie kontrast w porównaniu z metodą postępowania w cza-

sie konferencji z roku 1947. I tu również nastąpił postęp.

W swym przemówieniu inauguracyjnym Eden w ciepłych słowach mówił o traktacie anglo-radzieckim. To przypomnienie również było знаmienne, jeśli się zważy, że w ciągu ostatnich lat brytyjscy mężowie stanu woleli zapominać o solennym zobowiązaniu zaciągniętym przez Wielką Brytanię wobec Związku Radzieckiego, aby współpracować w rozwiązywaniu problemów powojennych.

Jednakże Eden nie wyciągnął jedynie słusznego wniosku, że traktat ten, który nakłada na Wielką Brytanię i ZSRR obowiązek konsultowania się w wypadku zagrożenia Europy przez ponowną agresję niemiecką, nie da się pogodzić z projektem „europejskiej wspólnoty obronnej”.

Jestem również przekonany, że Bidault mógł być oczekiwać bardziej gorącego przyjęcia po swym powrocie do Paryża, gdyby był więcej mówił o traktacie francusko-radzieckim, a mniej o „europejskiej wspólnocie obronnej”, której nie chce naród francuski.

* * *

Szkopułem pozostają nadal układy z Bonn i Paryża, owe układy, zmierzające do odrodzenia Wehrmachtu i Luftwaffe w Niemczech zachodnich pod dowództwem generałów, którzy dowodzili w kampaniach armii hitlerowskich i którzy dziś wygłaszają pod adresem krajów sąsiednich słowa pełne pogrozek.

Jestem przekonany, że większość moich kolegów z prasy zachodniej uznała mocną logikę argumentów Mołotowa, którego teza brzmi, że układy te nie mogą się przyczynić do pokojowego rozwiązania, a przeciwnie, muszą wzmóc niebezpieczeństwo wojny.

Eden, Dulles i Bidault zapewniał, że „europejska wspólnota obronna” nie ma celów agresywnych. Jednak decyzję w sprawie pokoju i wojny przejmą generałowie i politycy zachodnio-niemieccy, jeśli narody zezwolą na remilitaryzację Niemiec zachodnich, dyszących żądzą odwetu. Piękne frazesy wygłaszane przy stole konferencyjnym nie są w stanie tego ukryć.

Drugi problem, który rzuca cień na konferencję, to sprawa metod, proponowanych dla odbudowania jedności Niemiec. Tu jeszcze chodzi o rozbieżność, której rozwiązanie znaleźć można jedynie w ten sposób, że każda ze stron weźmie pod uwagę obecny stan sytuacji w Niemczech.

Delegacja radziecka mogła być, gdyby chciała, oświadczyć, że Republika Związkowa z Bonn jest rządem, z którym nie będzie pertraktowała, gdyż naruszył on zasady Układu Poczdamskiego, zakazującego tworzenia karteli, domagającego się wywłaszczenia przestępców wojennych i odsuwającego wpływowych hitlerowców od dostępu do ważnych stanowisk w rządzie i w przemyśle.

Eden i Dulles nie lubią Niemieckiej Republiki Demokratycznej, gdzie na odwrót, wykonane zostały warunki ustanowione w Poczdamie dla wyeliminowania hitleryzmu i

gdzie przeprowadzono w strukturze społecznej zmiany piętnowane przez kierownicze koła Zachodu. Ale Niemiecka Republika Demokratyczna istnieje i bez uznania tego faktu nie można stworzyć podstaw dla szczyrych pertraktacji.

Plan Edena nie ma żadnych szans powodzenia, jeśli Eden odrzuca uznanie sytuacji istniejącej w Niemczech i jeśli nie zgadza się, aby reprezentanci jednej i drugiej republiki niemieckiej uczestniczyli w dyskusji.

Wracamy zatem do dylematu podzielonego narodu i podzielonej stolicy. W Berlinie wschodnim plakaty domagają się wspólnego spotkania Niemców ze Wschodu i z Zachodu przy stole konferencyjnym.

W Niemczech wschodnich propozycja przeprowadzenia referendum, które rozstrzygnęłoby, czy naród niemiecki jako całość popiera powszechny traktat pokoju, czy „europejską wspólnotę obronną” — została przyjęta życzliwie. W Niemczech zachodnich propozycja ta została odrzucona.

Jakby nie było, Niemcy powinni w końcu spotkać się wokół okrągłego stołu, a wielkie mocarstwa powinny nauczyć się żyć wspólnie. Widziałem w Berlinie o ile silniejszą okazała się ta prosta logika od wszelkich wrzasków propagandowych. Konieczność handlu — źródła życia dla Niemców ze Wschodu i z Zachodu — przełamuje wszelkie przeszkody.

Spotkałem pewnego przedsiębiorcę z Zagłębia Ruhry, który przyszedł złożyć wizytę Komitetowi Obronców Pokoju w Berlinie. Prosił Komitet,

aby pomógł mu w zawarciu umów handlowych z Niemiecką Republiką Demokratyczną i z Polską. Byłem jeszcze w Berlinie, gdy prasa doniosła, że pracownicy zakładów Leuna — które niegdyś stanowiły twierdzę I. G. Farben, a które obecnie stanowią własność państwową w Niemczech wschodnich — wysłali delegację do swoich towarzyszy z fabryki I. G. Farben w Ludwigshafen. Przybyli również pracownicy z Zagłębia Ruhry, aby odwiedzić kopalnie i stalownie Niemiec wschodnich. Tu wykukują się prawdziwe wieży, które zjednoczą cały naród niemiecki. I tej jedności nie będzie można wymazać.

Jedno zwycięstwo już można zanotować. Ci, którzy mieli nadzieję, że konferencja od razu znajdzie się w impasie, którzy mieli nadzieję przekonać narody, że rzeczywistość nie ma żadnego sposobu rozwiązania rozbieżności między narodami w drodze pertraktacji, spostrzegli, jak nadzieje ich rozwiały się.

Propozycje wysunięte przez Mołotowa w sprawie Niemiec rzeczywicie demokratycznych i neutralnych, w sprawie podjęcia dyskusji w skali światowej na temat rozbrojenia i zakazu broni atomowej, w sprawie referendum, które rozstrzygnęłoby, czy naród niemiecki chce traktatu pokojowego, czy „europejskiej wspólnoty obronnej“, odpowiadają tak wyraźnie interesom narodów, że nawet najbardziej zagorzałym

krytykom polityki radzieckiej nie łatwo będzie je odrzucić.

Ponad wszystko jednak pragnieniom uczciwych ludzi odpowiada plan Mołotowa w sprawie systemu bezpieczeństwa zbiorowego w Europie, który stworzony zostałby w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych i który zapewniłby gwarancje wszystkim krajom europejskim. Innymi słowy, konferencja berlińska pozostawiła zdecydowanie inicjatywę w ręku światowych sił pokoju.

Daleko już dziś odbieśliśmy od czasu, gdy od Birmingham do Pekinu, od Leningradu do Chicago, od Paryża do Sofii ludzie zbierali podpisy, domagając się rokowań.

Żądanie pokoju ze strony narodów, ich woła, aby nie dopuścić do formowania się nowych armii agresywnych w Niemczech, znajdują dziś potężny wyraz. W Niemczech, we Francji, we Włoszech, w moim własnym kraju — Wielkiej Brytanii, gdzie wyborcy nigdy nie byli pytani w sprawie polityki remilitaryzacji hitlerowców, walka się wzmacza.

Szaleństwem byłoby oczekiwać od konferencji Czterech rozwiązania wszystkich problemów, które dzielą świat. Udowodniła ona jednak uczciwym mężczyznom i kobietom ze Wschodu i z Zachodu, że niezależnie od przeszkód, które trzeba przezwyciężyć, istnieje sposób osiągnięcia porozumienia i pokoju.

CO DALEJ?

D. N. PRITT

przewodniczący brytyjskiego ruchu w obronie pokoju



ZEGO narody świata spodziewają się po nawiązanych w Berlinie rozmowach, które będą kontynuowane w Genewie?

Rzecz istotna: w masie szczegółów trzeba móc dojrzeć o jakie sprawy naprawdę chodzi i jak należy je rozwiązać.

Trzeba zrobić wszystko, aby doprowadzić do zmniejszenia napięcia sytuacji międzynarodowej, a można to osiągnąć tylko wtedy, kiedy pięć wielkich mocarstw będzie w tym celu ze sobą współpracować. Trzeba uczynić wszystko, by następnie osiągnąć zjednoczenie Niemiec wschodnich i zachodnich, aby wreszcie podpisany został traktat pokojowy z tym krajem.

Jak dotąd świat podzielony jest na dwa obozy — wschodni i zachodni.

W tym kryje się tragedia nie do przyjęcia, ale niestety — ona istnieje. A oto niezbędne warunki, aby tragedia ta przestała istnieć.

1) Ani Niemcy zachodnie, ani Niemcy wschodnie, ani zjednoczone Niemcy nie będą uważały się za związane żadnymi zobowiązaniami ani z jednym, ani z drugim obozem (nie więcej z jednym z mocarstw zachodnich, niż ze Związkiem Radzieckim) i nie staną się sprzymierzeńcem wojskowym żadnego z dwóch obozów.

Ani Niemcy zachodnie, ani Niemcy wschodnie, (które jak długo są podzielone, w sposób nieunikniony związane są z jednym lub z drugim obozem), nie powinny mieć żadnych poważniejszych sił zbrojnych. A Niemcy zjednoczone, jeżeli takie będą istniały, nie powinny znaleźć się w żadnym z obozów jak długo istnieją dwa obozy. Winny być neu-

tralne, a ich siły zbrojne winny być ograniczone jedynie do spełnienia zadań obrony kraju i utrzymania porządku wewnętrznego.

Warunek ten zakłada, że ani Niemcy zachodnie, ani Niemcy zjednoczone nie będą członkami „europejskiej wspólnoty obronnej“, ponieważ pociągałoby to za sobą ich remilitaryzację i uzbrojenie w ramach Organizacji Paktu Północno-Atlantyckiego, to znaczy sił zbrojnych obozu zachodniego, wymierzonych przeciw obozowi wschodniemu. Nie powinny również, naturalnie, wchodzić w skład „wschodniej wspólnoty obronnej“, bowiem uzbrojone Niemcy stanowiłyby niebezpieczeństwo w samym sercu Europy.

2) Trzeba przeprowa-
dzić rokowania na
rzecz odprężenia sytu-
acji międzynarodowej
i uregulowania wszy-
stkich rozbieżności
materialnych — zu-
pełnie różnych od roz-
bieżności ideologicz-
nych, których nie mo-
żna uregulować — istniejących mię-
dzy wielkimi mocarstwami, to zna-
czy tymi, które obradowały w Berli-
nie plus Chiny. Trzy wielkie mocar-
stwa winny w pełni uznać jedyny
istniejący w Chinach rząd Chińskiej
Republiki Ludowej.

Polityka ludzi, którzy pragną po-
koju, polityka Światowej Rady Po-
koju jest jasna. Ona to w pierwszym
rzędzie winna otrzymać szerokie
poparcie dla polityki zjednoczenia i
neutralności Niemiec. Winna następ-
nie doprowadzić do prawdziwej dys-
kusji między pięcioma wielkimi mo-

carstwami, to znaczy z istotnym
udziałem Chin, aby znikło obecne
niebezpieczne napięcie sytuacji
międzynarodowej.

Najważniejszym warunkiem urze-
czywistnienia takiej polityki jest
utrzymanie otwartej drogi dla roko-
wań. Należało by również nalegać,
aby w oczekiwaniu na rezultaty
tych rokowań, nie przeprowadzono
niczego, co by się przyczyniło do
remilitaryzacji Niemiec, lub części
Niemiec, lub do wciągnięcia ich w
ten czy inny sposób do „europejskiej
wspólnoty obronnej“.

Należało by również nalegać na to,
by Niemcy zostały zjednoczone na
zasadach, które by u-
czyniły z nich pań-
stwo prawdziwie po-
kojowe i neutralne,
tak, aby w później-
szym terminie mogły
się odbyć wolne wy-
bory pod kontrolą sa-
mych Niemców.

Ludzie miłujący po-
kój potrafią (i trzeba ich przekonać,
że mają w swoim posiadaniu olbrzymią siłę) zmusić rządy do działania
w interesie pokoju. Tak silne jest
pragnienie pokoju narodów całego
świata, że stanowisko rządów za-
chodnich, jeżeli będą nadal prowa-
dzić politykę przeciwną pokojowi,
stawać się będzie coraz trudniejsze.
Dzisiaj bardziej, niż w jakimkol-
wiek innym okresie historycznym,
nacisk opinii publicznej może ode-
grać poważną rolę i stworzyć wielką
siłę.



Nie należy zwodzić narodów ofertami „gwarancji“ i „zapewnień“ pod adresem Związku Radzieckiego, czy jakiegos innego kraju. Te słowa nanie się nie zdadzą, jeżeli nie spełni się zasadniczych warunków. Narody winny pamiętać, że w Poczdamie trzy wielkie mocarstwa oświadczyły, iż bezpieczeństwo świata zależy od tego, by Niemcy nie były na nowo uzbrojone.

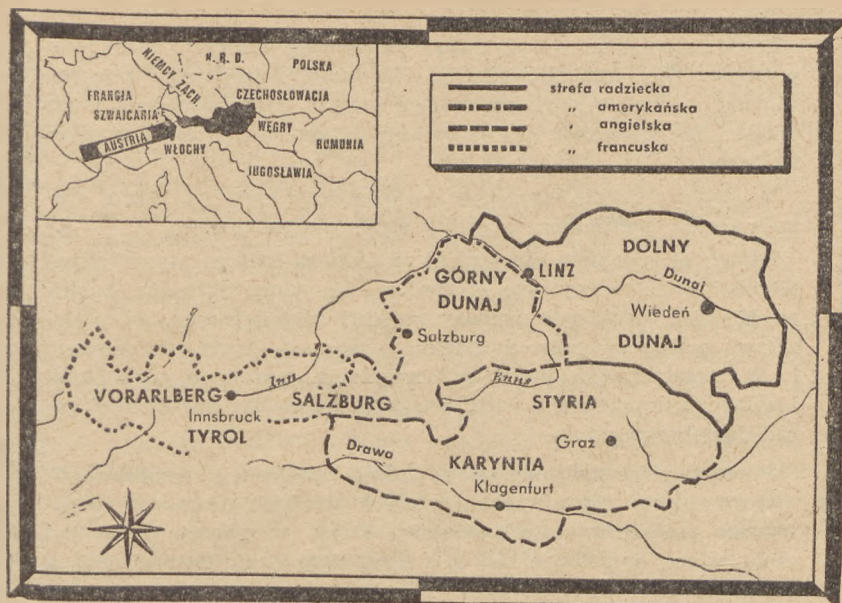
Winny one pamiętać, że odtąd ani jedno wydarzenie zwłaszcza w Niemczech zachodnich nie pozwala sądzić, że ten układ trzech mocarstw miał być niesłuszny, albo też przestarzały i że remilitaryzacja dzisiejszych Niemiec nie byłaby sprzeczna z ich bezpieczeństwem. Wszystkie obecne projekty remilitaryzacji Niemiec zachodnich niestety zbyt łudząco przypominają te, które doprowadziły do

remilitaryzacji Niemiec po pierwszej wojnie światowej.

Cel tej remilitaryzacji — zgrupowanie sił zbrojnych przeciw Związkowi Radzieckiemu — jest ten sam; gdyby ta remilitaryzacja miała się powieść, rezultat — faszyzm i wojna światowa — byłby ten sam. Narody winny ogłosić, że żaden z zasadniczych warunków odprężenia międzynarodowego nie będzie mógł być spełniony, jeżeli utrzymywać się będzie politykę zbrojeń i bojkotu Chin Ludowych.

Sytuacja obecna może napawać nas wielką nadzieją, jest bowiem odmienna w wielu punktach od sytuacji sprzed dwóch lat. Odnieśliśmy już wielkie zwycięstwa. Możemy odnieść nowe. Narody, pod przewodem sił pokoju, muszą same zdecydować o swojej przyszłości.





CZY AUSTRIA może sama sobie radzić?

DR JOSEPH DOBRETSBERGER

b. austriacki minister opieki społecznej

ŻADNEMU ekonomście nie przyszło jeszcze do głowy powątpiewać, że Szwajcaria, Dania czy też Szwecja są krajami, mogącymi istnieć samodzielnie. Natomiast od 1918 r. nieustannie słyszy się opinię, że Austria, zdana na samą siebie w granicach traktatu z Saint-Germain

(1919 r.), nie jest gospodarczo samowystarczalna i że trzeba ją powiązać z poważniejszą przestrzenią ekonomiczną.

Przed 1938 r. tezę tę głosiły w szczególności wielkie koncerny przemysłowe Rzeszy, w których interesie leżało podporządkowanie sobie

Powstała po upadku cesarstwa austro-węgierskiego i zamknięta pomiędzy Niemcami, Szwajcarią, Włochami, Jugosławią i Czechosłowacją — była Austria pierwszym krajem, zaanektowanym przez Hitlera (15 marca 1938 r.) i aż do klęski Niemiec wchodziła w skład III Rzeszy.

Wojska radzieckie wkroczyły do Wiednia 5 kwietnia 1945 r. Austria została podzielona na cztery strefy okupacyjne.

Głównym zadaniem utworzonej 28 czerwca 1946 r. czterostronnej Komisji Sojuszniczej było ostateczne dokonanie rozdziału Austrii od Niemiec, udzielenie pomocy rządowi austriackiemu, powstałemu w wyniku wyborów w dziele odrodzenia życia narodowego i demokratycznego przez wykorzenienie wszelkich pozostałości ideologii hitlerowskiej i przez wpajanie młodzieży austriackiej zasad demokratycznych.

Począwszy od stycznia 1947 r., szereg konferencji zastępców ministrów spraw zagranicznych czterech wielkich mocarstw rozpatrywało projekt traktatu z Austrią, który w zasadzie gotów był mniej więcej w połowie 1949 r. z wyjątkiem kilku niezalążwionych problemów.

Jednak 13 marca 1952 r. trzy mocarstwa zachodnie wysunęły projekt tzw. „traktatu skróconego“, który zupełnie nie brał pod uwagę zasadniczych, uprzednio uzgodnionych decyzji, w szczególności w sprawie mienia niemieckiego. (W konsekwencji Austria zwolniona została od spłaty odszkodowań wojennych z wyjątkiem tego, co stanowi mienie niemieckie. Od chwili Anschlussu spółki niemieckie położyły rękę na większości banków i przemysłu austriackiego, w których to przedsiębiorstwach kapitał austriacki został zredukowany do zaledwie 15 proc. ogólnej sumy inwestycji).

Na konferencji berlińskiej można było wreszcie dojść do porozumienia w sprawie klauzuli nieskróconego traktatu. Ale tak się nie stało, na skutek odrzucenia przez trzy mocarstwa zachodnie wysuniętych przez Związek Radziecki propozycji — w związku z nie rozwiązaniem problemu niemieckiego — z których najważniejsza głosiła, że Austria nie może wejść do żadnej koalicji, wymierzonej przeciw któremukolwiek ze sprzymierzeńców z okresu drugiej wojny światowej oraz że zakazuje się dokonania nowego Anschlussu.

W związku z tym zagadnieniem i w odpowiedzi tym, którzy mówią, że Austria nie może sama sobie radzić, zwróciliśmy się do wybitnego ekonomisty austriackiego, profesora Dobretsbergera, aby omówił ten problem na łamach naszego miesięcznika.

produkcji austriackiej. Dzisiaj głoszą tę opinię koła, które chciałyby powiązać gospodarkę austriacką z produkcją zbrojeniową krajów zachodnich.

Jak się przedstawiają w rzeczywistości możliwości życiowe tego małego kraju? Czy ma on zbyt mało bogactw naturalnych na swojej własnej ziemi, zbyt mało źródeł energii, zbyt mało możliwości pracy, by móc zapewnić swojej ludności poziom życia, podobny do tego, jaki istnieje w krajach sąsiednich? Bynajmniej. Austria posiada bogate złoża rudy o wysokiej zawartości żelaza, różne metale, magnezium, fosfaty, naftę. Jej rolnictwo, w którym pracuje 35 proc. ludności, pokrywa w 80 proc. zapotrzebowanie kraju w dziedzinie żywienia.

Austriacka produkcja artykułów gotowych może dorównać konkurentom na rynkach międzynarodowych w całym szeregu gałęzi, cieszących się znacznym popytem w wielu krajach. Transport tranzytowy i zagraniczny pokrywają w bilansie płatniczym jeszcze czasem istniejący deficyt dewizowy. Wszystko to dowodzi, że naturalne możliwości produkcji krajowej mogą zapewnić ludności równie wysoki poziom życia, jak w otaczających Austrię krajach przemysłowych.

* * *

Ale z chwilą, gdy w 1948 r. Austria weszła w zasięg „planu Marshalla”, produkcja, poziom cen i eksport ukształtowały się w ten sposób, że stopa życiowa ludności poważnie się obniżyła. Przyznane Austrii kredyty zainwestowano przede wszystkim w surowcach i ciężkim

przemśle, zaniedbując natomiast przemysł artykułów konsumpcyjnych.

Tak więc Austria produkuje w nadmiarze surowce i półfabrykaty, przy produkcji których zatrudnia się mniej rąk roboczych, gdy tymczasem import artykułów gotowych zagraża istnieniu przemysłu krajowego... Stąd od wielu lat stałe, wykazujące tendencję zwiększającą bezrobocie.

Źródła energii elektrycznej, rozbudowane przy udziale obcych kapitałów, zwłaszcza w zachodniej części kraju, dostarczają prądu Niemcom zachodnim i Włochom, podczas gdy przemysł austriacki i austriackie koleje w 75 proc. pędzone są parą wodną, na co importuje się węgiel z Niemiec zachodnich.

Austria sprzedaje przy tym swój prąd zagranicę za połowę ceny, którą zmuszona jest płacić za taką samą kalorycznie ilość importowanego węgla. Również dostarcza ona Niemcom zachodnim surowki stalowej po bardzo niskiej cenie, a musi importować artykuły gotowe ze stali, jak samochody, maszyny biurowe, wyposażenie dla przemysłu.

W wyniku tego następuje wyraźne osłabienie siły kupna ludności i utrata dotychczasowego charakteru gospodarczego. Austriacki handel zagraniczny coraz bardziej przypomina swoją strukturą sytuację kraju kolonialnego.

Rząd austriacki z największą dokładnością przestrzegał amerykańskich zakazów handlu z krajami Wschodu. Przed 1938 r. naturalny odpływ przemysłu austriackiego kierował się na Wschód. Dzisiaj udział handlu ze Wschodem w całym im-

porcie i eksporcie spadł z 35 do 10 proc. Ta wyłączna orientacja austriackiego handlu zagranicznego ku Zachodowi pociąga za sobą niejedną fatalną konsekwencję.

1) — Przeciętna wartość tony towarów eksportowanych na Zachód wynosi 2.000 szylingów, podczas gdy na Wschód eksportujemy inne towary o przeciętnej wartości 4.500 szylingów za tonę. Zatem zamówienia zachodnie nie dorównują — jeżeli chodzi o dochód narodowy — wysokiej wartości zamówień otrzymywanych ze Wschodu.

2) — Na skutek przystąpienia Austrii do Europejskiej Unii Płatniczej stała się ona mimo małego zasobu kapitałów poważnym wierzycielem bogatych państw zachodnich, a w szczególności Anglii, Francji i Włoch. Jej aktywa w Europejskiej Unii Płatniczej przekroczyły już 100 milionów dolarów i ciągle wzrastają.

Dla zapewnienia austriackiemu przemysłowi eksportowemu płatności w szylingach za jego dostawy, Austria zmuszona jest ułatwiać import towarów zachodnich. Już niejednokrotnie administracja Europejskiej Organizacji Współpracy Gospodarczej nalegała, aby Austria dokonała „liberalizacji“ swojego handlu zagranicznego. Ale posunięcie takie doprowadziłoby do zalania rynku wewnętrznego artykułami zagranicznymi i zagroziłoby naszemu własnemu przemysłowi. Niezadowolone austriackiego Związku Pracodawców znalazło wyraz w takiej cierpkiej uwadze: „Nie można pozwolić, aby wielcy nas połknęli“.

3) — Zaprojektowane przez amerykańską administrację „planu

Marshalla“ inwestycje służą bardziej celom strategicznym aniżeli gospodarczym. Na przykład — z braku kredytów zakazane jest budownictwo mieszkaniowe, natomiast zobowiązano Austrię do zbudowania kosztem 5 miliardów szylingów odcinka autostrady Salzburg — Wiedeń, rozpoczętej dla celów strategicznych przez Hitlera. Taka kontrybucja sama jedna pochłania dwuletni dochód z podatków ludności Austrii.

4) — Zagranica zmusiła Austrię do całkowitej spłaty jej pożyczek zagranicznych. Tak więc narzucono krajowi spłatę 20 miliardów szylingów, wysokość całego rocznego budżetu w spłatach rozłożonych na 15 najbliższych lat. Co więcej, przymusowy zwrot niemieckich fabryk Austrii ich dawnym właścicielom, wielkim koncernom w Niemczech zachodnich zmusił rząd austriacki do ugięcia się przed rządem w Bonn. Przeważająca część austriackiego ciężkiego przemysłu przechodzi w ten sposób w obce ręce i służyć będzie w przyszłości obcym interesom, a nie gospodarce austriackiej.

W ten sposób w następstwie naręczenia sytuacji międzynarodowej w ciągu ostatnich lat wiele dziedzin gospodarki austriackiej zwrócono w kierunku przeciwnym naturze, co naraża nas jednocześnie na straty i zagraża bezpieczeństwu naszego kraju.

Politycy nasi, odpowiedzialni za naszą gospodarkę, nie potrafili jednak wypłatać się z tych jednokierunkowych powiązań.

Dali się spętać złotymi łańcuchami kredytów pomocy amerykańskiej, które dzisiaj tak trudno zerwać.

O rozejm w Indochinach

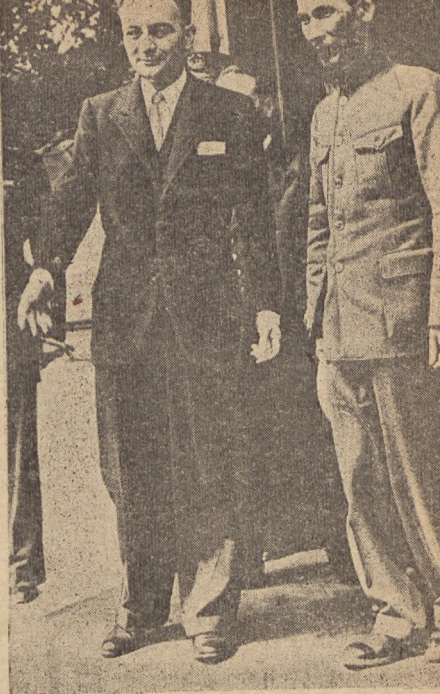
JEAN - R. CLEMENTIN

TERAZ, kiedy trzeba stanąć w obliczu rokowań, mnoży się argumenty za niedopuszczeniem do wprowadzenia w życie rozejmu. Twierdzi się na przykład, że wojna w Indochinach nie ma nic wspólnego z wojną w Korei i że rozejm nie może być zawarty, gdyż między wrogimi wojskami nie istnieje żaden określony „front“, gdyż przeciwnicy — na skutek toczącej się walki partyzanckiej — są ze sobą mocno pomieszani.

Słyszy się jeszcze, że Francja nie mogłaby repatriować swojego korpusu ekspedycyjnego, gdyż byłoby to dla niej poniżające, że oznaczałoby to „rzucenie na pastwę“ zemsty Ho Szj Mina „przyjaciół“ Francji, czyli rządu Bao Daja, że wreszcie narażono by nasze wojska na strasliwą groźbę masowego wymordowania przez przeciwnika, który wykorzystałby swoją przewagę, uzyskaną po opuszczeniu Indochin przez część korpusu ekspedycyjnego.

CZY ROZEJM JEST MOŻLIWY?

Czy można doprowadzić do jednoczesnego przerwania walk między z jednej strony — francuskim korpusem ekspedycyjnym, a z drugiej — ludowymi siłami Wietnamu, Kambodży i Patet Lao? Czy można zawrzeć trwały rozejm mimo istnienia



Fontainebleau, 1946 r.

wydłużonego frontu i rozproszenia oddziałów partyzanckich na tyłach?

Tak, zawarcie takiego rozejmu jest możliwe. Najlepszym dowodem jest to, że już dwukrotnie w Południowym Wietnamie zawierano rozejm, a jest to przecież typowy okręg partyzancki. Było to raz w drugiej połowie marca 1946 r., a po raz drugi — w ciągu trzech pierwszych tygodni listopada 1946 r.

Układy z 6 marca 1946 r., w których Francja uznała Republikę Demokratyczną Wietnamu, pozostawiały otwartą sprawę wcielenia Kochinchiny w Południowym Wietnamie do reszty Wietnamu. W Południowym Wietnamie na czele korpusu ekspedycyjnego stał wówczas generał Lec-

lerc. Korpus, złożony z II dywizji pancernej, z IX dywizji piechoty kolonialnej i z kilku elementów III dywizji piechoty kolonialnej, toczył bezlitosne walki z wietnamskimi jednostkami regularnymi i nieregularnymi, broniącymi kraju przed nowym podbojem.

Nie mogąc przeciwstawić się jednostkom i strategii Leclerca w regularnych bitwach, źle uzbrojeni, źle wyposażeni, źle wyćwiczeni żołnierze wietnamscy przeszli do walki partyzanckiej, do zasadzek, obrzucali granatami przechodzące patrole i pozostawiali nieuchwytni.

Paragraf 3 układów z 6 marca głosił:

„...Każda z wysokich układających się stron zastosuje wszystkie możliwe środki, by jak najszybciej przerwać działania wojenne, utrzymać wojska na ich dotychczasowych pozycjach i stworzyć klimat, sprzyjający natychmiastowemu rozpoczęciu pokojowych i szczerych rokowań...”

Okolo 15 marca wojska francuskie w Kochinchinie i ich wietnamscy przeciwnicy dowiadują się o układach z 6 marca i zaczynają je wprowadzać w życie. Rozejm zostaje zawarty mimo zdradzieckiego manewru Wysokiego Komisarza d'Argenlieu, który każe rozdawać Wietnamczykom ulotki, wzywające ich do poddawania się i składania broni, co rzekomo wynika z układów (admirał starał się wykorzystać w ten sposób trudności komunikacyjne między Hanoi a Kochinchiną).

Najpierw ustają potyczki i wypadki z zasadzek. Francuscy oficerowie, komendanci małych posterunków nawiązują kontakt z oficerami wiet-

namskimi w swoich okręgach, porozumiewają się czasem od razu, czasem z pewnymi trudnościami w sprawie skoordynowania tysięcy drobnych posunięć swoich małych oddziałków.

Ten a ten patrol francuski przejdzie o tej to porze na to miejsce — mieszkańcy będą powiadomieni i przyjmą ich inaczej, niż rzucaniem granatów. Widać nawet patrole mieszane, złożone z żołnierzy Leclerca, czasem z byłych członków francuskiego Ruchu Oporu i partyzantów Ho Shi Mina.

Rozejm trwał aż do kwietnia, kiedy to w Południowym Wietnamie uślawiły się jednostki III dywizji piechoty kolonialnej i Legii Cudzoziemskiej, zwerbowane częściowo spośród młodzieży kollaboranckiej i z obozów jeńców hitlerowskich. W miesiąc potem Kochinchina znalazła się w ogniu i we krwi.

LISTOPAD 1946 R. — MODUS VIVENDI

Zauważmy przy sposobności, że nie z winy Wietnamczyków rozejm został zerwany. Zauważmy, że zawieszenie broni w Południowym Wietnamie i w Południowym Annamie z dnia 30 października 1946 r. na zasadach modus vivendi, podpisanego we wrześniu w Paryżu — po niepowodzeniu konferencji w Fontainebleau — przez prezydenta Ho Shi Mina i ministra Francji Zamorskiej Moutet, również zerwane zostało przez korpus ekspedycyjny.

Artykuł IX modus vivendi z 14 września 1946 r. głosił: „W trosce o jak najszybsze zapewnienie przy

wrócenia porządku publicznego w Kochinchinie i w Południowym Anamie...

- 1) obie strony przerwą działania wojenne i zaprzestaną aktów gwałtu;
- 2) układy między sztabami generalnymi francuskim i wietnamskim uregulują warunki zastosowania i kontroli wspólnie podjętych środków...

W dniu 30 października 1946 r. układ ten wchodzi w życie, po czym natychmiast ustają walki, szalejące na północy Nha-Trang w klinie Camab. Żadnych zamachów, ani zasadzek, ani granatów, ani ulicznych egzekucji na „kollaborantach” — ze strony wietnamskiej. Żadnych ataków represji, żadnego rabowania wiosek, brutalizowania ludności, masowych egzekucji — ze strony korpusu ekspedycyjnego...

W połowie listopada generał Nguyen - Binh, naczelny dowódca wietnamskich partyzantów na południu i generał Valluy, naczelny dowódca sił francuskich porozumieeli się co do tego, że walki ustały i rozejm wszedł w życie.

Niestety, w dniu 20 listopada, w trzy tygodnie po ogłoszeniu rozejmu, korpus ekspedycyjny otrzymuje rozkaz zajęcia — po zbombardowaniu od strony morza — portu Haifong. W miesiąc potem na całym terytorium znowu toczy się wojna.

Jak widzimy, dwukrotnie (nie licząc rozejmu w okresie Bożego Narodzenia, zawartego na 24 godziny w 1948 r. na podstawie radiowego porozumienia między obu naczelny-

mi dowództwami) siły francuskie i siły wietnamskie wprowadziły w życie zasady rozejmu. Rozejm zerwany został z winy dowództwa korpusu ekspedycyjnego. Nie rozwodząc się nad odpowiedzialnością za to co się wydarzyło, stwierdzić musimy, że to co było możliwe dwa razy, możliwe jest po raz trzeci, że dwa sztaby generalne — sztab generała Navarre i sztab generała Vo Nguyen Giapa mogą wydać jednocześnie taki sam rozkaz, a działania wojenne na północy i na południu Wietnamu natychmiast ustaną. Na wszystkich szczeblach nawiązane zostaną pokojowe stosunki.

Oddziały korpusu ekspedycyjnego i jednostki partyzantki wietnamskiej w delcie Rzeki Czerwonej, lub na równinach Południowego Wietnamu natychmiast wprowadzą w życie — jak to było w marcu i listopadzie 1946 r. — lokalne przepisy *modus vivendi*, zwłaszcza, jeżeli — jak to przewidywało porozumienie z 14 marca — oba sztaby generalne zapewnią jednoczesną i stałą kontrolę.

REPATRIACJA KORPUSU EKSPEDYCYJNEGO

Czy repatriacja korpusu ekspedycyjnego byłaby poniżająca? Tak, gdyby miała nastąpić w wyniku klęski i na warunkach, narzuconych przez przeciwnika. Może dojść do tego, jeżeli rząd francuski będzie się upierał i nadal prowadził tę nierówną obecnie walkę.

Nie będzie natomiast poniżająca, jeżeli repatriacja nastąpi po zawarciu przez obie strony układu. Pod tym względem rząd francuski nie powinien wysuwać żadnych zastrzeżeń,

gdyż w „ankiecie do wstępnej konferencji z 6 marca” postanowiono:

„Paragraf 2. — Wojska francuskie... będą podzielone na trzy kategorie:

a) Jednostki, których zadaniem będzie pilnowanie japońskich jeńców wojennych. Jednostki te będą repatriowane z chwilą, kiedy ich zadanie zostanie zakończone... w terminie do 10 miesięcy po zakończeniu ich funkcji.

b) Jednostki, których zadaniem będzie — przy współpracy armii wietnamskiej — utrzymywać porządek publiczny i bezpieczeństwo na terytorium Vietnamu.

c) Jednostki, które będą bronić baz morskich i powietrznych. Późniejsze konferencje ustalą okres trwania powierzonego im zadania“.

Tak więc układy z 6 marca, zawarte między Ho Szi Minem, a rządem francuskim, przewidują **całkowitą repatriację** korpusu ekspedycyjnego w bliższym lub dalszym terminie, z tym, że główne siły francuskie opuścić mają kraj w ciągu pięciu lat.

Zauważmy przy sposobności, że warunki się zmieniły i możliwe jest, że Ho Szi Min zażąda skrócenia tego okresu. Ale wiadomo, że w ciągu paru miesięcy nie można repatriować 200 tysięcy ludzi — na to potrzebne są statki.

CO Z „PRZYJACIÓLMI“ ?

Mówi nam się wówczas, że rząd Ho Szi Mina skorzystałby z odjazdu korpusu ekspedycyjnego, by zlikwidować Vietnamczyków, którzy związali swój los z losem naszych wojsk (a których naród wietnamski uważa po prostu za zdrajców), lub nawet czekałby tylko na oddalenie się czę-

ści korpusu ekspedycyjnego, by wykończyć resztę.

Oskarżenie jest — zwróćmy na to uwagę — bezpodstawne, a jako pochodzące od tych samych władz, które w kwietniu 1946, w czerwcu 1946 r. i w listopadzie tego roku pogwałciły układy z 6 marca (zerwanie rozejmu z Kochinchiny, utworzenie rządu „kochinchinńskiego“ w Saigonie, bombardowanie Haifongu, nie mówiąc już o wysłaniu dziesiątków tysięcy żołnierzy dla wzmocnienia sił francuskich na północy, wbrew zawartemu w układach wyraźnemu zakazowi), nie „grzeszy“ brakiem beczelności.

Trochę tak, jak gangster wołający „łapaj złodzieja“, nieprawdaż?

Jeżeli zaś chodzi o zwolenników Bao Daja, należy rozważyć dwa fakty. Po pierwsze — stała polityka wyrozumiałości, tak typowa dla rewolucyjnej umysłowości Azjatów zawsze cechująca posunięcia rządu i Wietnamskiej Armii Ludowej w stosunku do żołnierzy i urzędników Bao Daja, którzy w rosnącej z dnia na dzień liczbie powiększają szeregi wojsk ludowych. Dzieje się tak dlatego, że znajdują tam zrozumienie i możliwości włączenia się do wspólnoty narodowej.

Niedawno temu prezydent Eisenhower publicznie wyraził ubolewanie z powodu „dezercji“ zwolenników Bao Daja, będącej wynikiem „propagandy“ wietnamskiej. Czyżby „dezertowali“, gdyby spodziewali się „kary“ ?

Mao Tse-tung zawdzięcza swoje zwycięstwo w Chinach częściowo i temu, że umiał okazać tyle szlachetnej wyrozumiałości wobec obywateli chińskich, oszukanych przez Czang

Kai-szeka. Pamiętają o tym dobrze w Vietnamie.

Ho Szi Min wielokrotnie potwierdzał tę wolę zapomnienia o błędach, nawet poważnych — w imię najwyższego dobra jedności narodowej. Powiedział nadto:

„Vietnam gwarantuje, że nie będzie ani ścigać, ani nie dopuści do żadnego gwałtu wobec kogokolwiek, z powodu jego przywiązania do Francji“.

Dotrzymał słowa, jak to przyznały nawet władze francuskie w 1946 r. Tę niezmienną politykę rządu wietnamskiego potwierdza również przyłączenie się zwolenników Bao Daja do wojsk wietnamskich, jak również sposób traktowania i zwalniania francuskich jeńców wojennych.

Zwróćmy jeszcze uwagę na to, że nawet gdyby Ho Szi Min nie prowadził takiej polityki, mógłby odpowiedzieć Paryżowi, że jest rzeczą Wietnamczyków regulować swoje sprawy jak im się podoba, na co Paryż, który chelpi się przyznaniem Wietnamowi całkowitej niepodległości, nie mógłby nic odpowiedzieć.

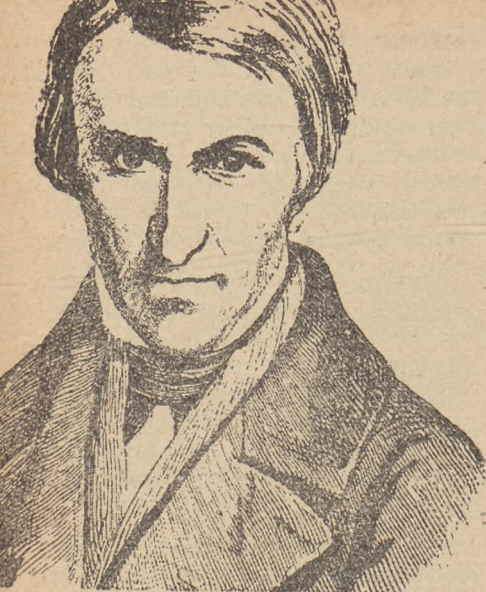
Żadne też niebezpieczeństwa nie będą zagrażać korpusowi ekspedycyjnemu w czasie repatriacji. Czy można sobie wyobrazić, że rząd Wietnamu, który stara się od siedmiu lat położyć kres działaniom wojennym,

pustoszeniu jego terytorium i wyniszczaniu ludności kładłby sobie na barki nowy konflikt i sam usuwał się poza margines narodów cywilizowanych, atakując zdradziecko armię, chronioną układami? Nie przypominałoby to w niczym tradycyjnej polityki rządu wietnamskiego.

Zresztą, coż przeszkadzałoby dowództwu korpusu ekspedycyjnego uzyskać takie gwarancje, jak przetransportowanie oddziałów, które mają być repatriowane, do potężnych twierdz, chronionych przez marynarkę i lotnictwo, jak utworzenie „ziemi niczyjej“ między obiema armiami itp.?

Jak widzimy, to ostatnie zastrzeżenie tak jak i wszystkie poprzednie nie wytrzymuje krytyki. Ale trzeba o tym przekonać tych naszych francuskich rodaków, którzy mniej lub więcej ulegają argumentacji zwolenników wojny na śmierć i życie w Indochinach.

Im bowiem większe postępy czyni idea rokowań, tym bardziej ich przeciwnicy zwiększają wysiłki na rzecz kontynuowania wojny. Musimy nieustraszenie obalać ich rozumowanie, demaskować to co w nim jest fałszywe i podstępne, usuwać wszystkie przeszkody, które chcieliby spiętrzyć na drodze wiodącej do pokoju



Portret Lamennais przez Calamatta

List Lamennais do Guillemot

*Je cherchais d'un autre côté. Le
temps est passé, et je n'ai plus guère
que quinze jours pour donner cours
à ce que je vous renouvelle l'assurance
de mon distingué attachement -
Sincèrement
F. Lamennais*

Los księdza de Lamennais

LOUIS DE VILLEFOSSE

WCZESNYM rankiem w środę 1 marca 1854 r., wzdłuż przedmieścia Antoine, nurzającego się w zimnej mgle, zdążał na cmentarz Père Lachaise skromny kondukt pogrzebowy. Początkowo towarzyszyło mu nie więcej niż pół tuzina ludzi; u bram cmentarza jednak, pomimo bezustannych ataków policji, zwiększył się on o tłum robotników, przeciwstawiający się dwom szwadronom kawalerii z wyciągniętymi szablami. Obecny przy tym prefekt policji kazał odepchnąć i bić manifestantów;

kilku z nich tylko udało się pójść za karawanem, który skierował się do wspólnego grobu. Trumna, za którą zapłacono zaledwie osiem franków, została pogrzebana bez żadnego nagrobka, bez przemówień, bez modłów, zgodnie z ostatnim życzeniem nieboszczyka: „Pragnę być pogrzebany wśród ubogich i tak, jak się grzebie ubogich“.

Człowiek, który postanowił przejść do wieczności pośród wyklętych tego świata, był przed trzydziestu laty jedną z gwiazd pierwszej wielkości w

konstelacji romantyków, a jednocześnie największą chlubą Kościoła Francji od czasów Fenelona i Bossueta. Zdawało się, że tego ks. de Lamennais, autora „**Szkicu nad obojętnością w sprawach wiary**“, uznanego przez Chateaubrianda, Hugo i Lamartina za wzniosły i nieśmiertelny, oczekiwano, wraz z kardynalskim kapeluszem, najwspanialsza kariera... Zdumiewający los! Dlaczego ten słynny pisarz porzucił łatwe życie i rzekł mię zaszczytów, dlaczego ten ksiądz, gardzący rzymską purpurą, nie zezwolił, by — gdy nadszedł koniec — ciało jego zostało „wystawione w jakimkolwiek kościele“? Dlaczego jego tak skromny pogrzeb zaniepokoił rząd, który przyspieszył jego datę i nakazał przeprowadzenie go bocznymi ulicami? Dlaczego, pod nieobecność wielkich tego świata, towarzyszyli mu robotnicy? Dlatego, że Lamennais wykreślił ze swego życia wszystko, co nie było całkowitym oddaniem się sprawie ludzkości, dlatego, że zgodził się na najcięższą ofiarę dla prawdy, sprawiedliwości, wolności i Pokoju.

Historia literatury nie zawiera chyba podobnego przykładu równie wielkiej osobistej tragedii, równie bolesnej walki pomiędzy posłuszeństwem a sumieniem, równie całkowitego zjednoczenia się dzieła i życia.

Trudno się dziwić, że urodzony w Saint-Malo w 1782 r. w monarchistycznym i klerykalnym środowisku Lamennais okazywał w pierwszych latach Restauracji równy entuzjazm dla Tronu jak dla Ołtarza. Wyświęcony w 1816 r. na księdza, oddający już w pierwszych pismach swe wy-

jątkowe zdolności w służbę religii, łączył, podobnie jak jego nauczyciele Bonald i de Maistre, triumf katolicyzmu ze zwycięstwem Króla.

Jednakże zasadnicza sprzeczność przeciwstawiała go konserwatystom. Oni widzieli w prawie boskim przywilej zapewniający panującym posłuszeństwo ludów, on zaś uważał, że prawo to nakłada przede wszystkim na panujących obowiązek wykonywania woli boskiej, realizacji wspólnych zamierzeń Stwórcy, przyspieszenie nadejścia, obiecanego przez Dobrą Nowinę, prawdziwego chrześcijaństwa, społeczeństwa o jednym sercu i duszy, Królestwa dzieci Bożych. Jednomysłność, powszechna zgoda, bezwzględne wyznanie wiary ludzkości — oto apologetyczne podstawy „Szkicu“, wznowione argumenty Średniowiecza, na które Lamennais powołuje się namiętnie, lecz bezskutecznie. Bezskutecznie, gdyż w przeddzień 1830 r. naród francuski, narody Europy, „czując nieprzepartą potrzebę nowego porządku“, dążą do ostatecznego zrzucenia jarzma dawnych rządów. Wstrząśnięty w swej wierze, na pół pozyskany przez ruch rewolucyjny, Lamennais pojmując, że monarchia jest zgubiona, lecz chce ratować Kościół. Kościół Chrystusowy, założony przez „Boga cierpiącego i ubogiego“, Kościół Ewangelii głoszonej przez „dwunastu rybaków wśród ludów“... W parę tygodni po abdykacji Karola X ksiądz zaczyna wydawać w Paryżu dziennik pt. „**Przyszłość**“ głoszący dewizę, która miała wywołać burzę: „**Bóg i Wolność**“.

A zatem bojownik o odrodzenie katolicyzmu przeszedł do obozu Re-

GRAND BANQUET

DE LA

PRESSE DÉMOCRATIQUE ET SOCIALE.

AU CHATEAU-ROUGE, le 19 Novembre, à 3 heures précises.

PRIX : 3 FR. 25 CENT.

Le Banquet sera présidé par le citoyen LAMENNAIS. — Les Représentants du Peuple qui siègent à la Montagne assisteront tous à ce Banquet. Citoyens Représentants du Peuple BRUYS, BUVIGNIER & MATHIEU (de la Bretonne) ont été désignés par la Montagne comme Délégués près de la Commission exécutive du Banquet. La salle est disposée pour recevoir de 1,000 à 1,500 personnes. L'Orchestre du Château-Rouge exécutera pendant le Banquet des airs nationaux.

Nagłówek afisza, zapowiadającego „wielki bankiet prasy demokratycznej i socjalnej“ pod przewodnictwem Lamennais

wolucji! Wyższy kler organizuje olbrzymią kampanię oszczerstw, dziennikowi stwarza się wszelkie możliwe trudności finansowe, do Rzymu napływają donosy. W 1831 r. Lamennais postanowił udać się do Papieża Grzegorza XVI, by bronić swój ruch, by błagać Pasterza o usłuchanie potężnego głosu nowych czasów: dać nabrać chrześcijaństwu nowych sił w jego źródłach, poprze słuszne żądania ludów, odrzucić przedawnione ustroje społeczne, zdyskredytowane sojusze, iść naprzód z falą Historii, połączyć w jednym porywie wiarę i demokratyczny entuzjazm. Próba ta nie dała oczekiwanych wyników: w lecie 1832 r. encyklika „**Mirari Vos**“ potępiła jak najostrzej zasady głoszone przez „**Przyszłość**“ i wszelkie wolności demokratyczne. Rzecz niemiennie ważna: encyklika potępiła równocześnie bohaterskich obrońców Warszawy, pokonanych przez armię carską i na których cześć Lamennais,

przejęty do głębi tą tragedią, ułożył swój nieśmiertelny „**Hymn do Polski**“.

Ksiądz, zgnębiony, ugiął się przed wyrokiem Stolicy Apostolskiej i usunął się do swego zamku La Chênaie w Bretanii, przeżywając straszny dramat sumienia. Od lat już, rozmyślając nad postępami Rewolucji, ich powodzeniami, ich koniecznym przebiegiem, nad stosunkiem religii do polityki i moralności, zaznajomił się ze wszystkimi kryzysami społecznymi w Europie, zbadał ponurą otchłń warunków bytu robotników we Francji i Anglii, słuchał jęków uciśnionych narodów, rżenia patriotów Hiszpanii, Neapolu, Wenecji, Irlandii, Polski, więzionych, torturowanych, rozstrzeliwanych, wieszanych przez władców Świętego Przymierza. Z myśli tych zrodziło się płomienne dzieło „**Słowa Wierzącego**“ (1834), poemat prozą, pałający miłością do uciśnionych i piętnujący ciemni-



Na tym szalu, znajdującym się w Muzeum Carnavalet upamiętniono bankiet de la Montagne. W drugim rzędzie, trzeci od prawej Lamennais między Proudhonem (po jego lewej ręce) i Olivierem Démonsthenes

cieli. Dreszcz przebiegł Paryż i rozpostarł się na Europę, dreszcz entuzjazmu w obozie demokratycznym, gniewu w obozie reakcji. Przeciwno tej małej książeczce, wydanej w setkach tysięcy egzemplarzy i powitanej przez jednych jako „Marsylianka chrześcijaństwa“, przez innych zaś jako „Apokalipsa szatana“, uruchomiono policję, rozpoczęły się inter-

wencje metternichów i innych u Watykanu i już w czerwcu 1834 r. encyklika „*Singulari Nos*“ potępiła książkę, tak jak przed dwoma laty potępiono „*Przyszłość*“.

Tym razem ksiądz bretoński nie poddał się i odszedł od Kościoła. Włączając się całkowicie do ruchu rewolucyjnego i kontynuując równocześnie pracę literacką i filozoficzną

broniał oskarżonych w Procesie Kwietniowym (1835), zdemaskował **Współczesne Niewolnictwo**, niewolnictwo głodu, atakował gwałtownie ministrów Ludwika Filipa, został skazany na rok więzienia, który odsiedział w St. Pélagie (1841), a w 1848 r. został wybrany do Konstytuanty, potem do Zgromadzenia Narodowego, gdzie zasiadał na skrajnej lewicy. Oburzony wypadkami czerwcowymi, osłabiony wiekiem, osamotniony, chory, przybity zamachem stanu Drugiego Listopada, zabrał jednak ze sobą do grobu, wspólnego grobu ubogich, niezachwianą wiarę w przyszłość ludzkości.

*

Stulecie tej śmierci w 1954 r. stanie się okazją do licznych manifestacji popartych lub zorganizowanych przez „Towarzystwo Przyjaciół ks. Lamennais”: w Paryżu zostanie wzniesiony pomnik, otwarta zostanie wystawa w Bibliotece Narodowej itp. Uczci się również tego wielkiego pisarza, zbyt zapomnianego, którego Renan witał niegdyś jako „pierwszego prozaika wieku”, uczci się niezmordowanego bojownika Republiki, myśliciela, który pierwszy w czasach nowożytnych odważył się głosić społeczny, dążący do równouprawnienia, braterski charakter religii chrześcijańskiej, odebranej ludom przez wielkich tego świata i wykorzystywanej przez nich jako narzędzie ucisku. Dzieło Lamennais żyje; znajdując się pod wielu względami w kręgu naszych czasów, naświetla jasno niewzruszone zasady polityki watykańskiej, czy chodzi tu o sprawy mię-

dzynarodowe, czy też o zagadnienie księży-robotników. Problemy te mogą wywołać gorące komentarze i przekraczają niewątpliwie ramy miesięcznika, którego jedynym celem jest zjednoczenie wszystkich ludzi dobrej woli przeciwko klęsce, która grozi zniszczeniem świata. Obowiązkiem jednak pisma „**W Obronie Pokoju**” jest wzięcie udziału w uczczeniu autora „**Słów Wierzącego**” jako jednego z poprzedników naszej akcji.

U Lamennais, jak już wspomniałem, walka o Pokój jest nierozłącznie związana z walką o sprawiedliwość i wolność. Boski znak Pokoju unosi się nad jego apokaliptycznymi wizjami ludzkości dręczzonej i deptanej przez tyranów, zdecydowanej jednak zniszczyć zło, zwyciężyć śmierć:

W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Amen.

Chwała Bogu na wysokości i pokój na ziemi ludziom dobrej woli.

W dziełach jego wiele jest kart proroczych, ukazujących straszliwe groźby, które zawisły nad ludzkością, wywołane potwornymi ambicjami rządów, ich bezwzględnym dążeniem do władzy i potęgi. Już w 1817 r. a zatem przed przejściem do obozu demokracji, pisze, oburzony stanowiskiem Prus: „Spowoduje to w przyszłości straszliwe wojny. Narody będą się wyniszczać z wciąż rosnącą zaciekłością, a nienawiść i śmierć staną się jedynym prawem, rządzącym społeczeństwami Europy”.

W „**Księdze Ludu**” (1837), badając powody wojen, podaje ich trzy: wojny zaborcze, wynikające z ambicji autokratów, wojny sukcesyjne, wywołane rywalizacją dynastii, rozpo-

rzządzających narodami, jak własnością prywatną i wojny handlowe. Te ostatnie skończą się — pisał — z chwilą usunięcia przeszkód stawianych „naturalnym prawom, dążącym do równowagi między produkcją a potrzebami nie jednego, lecz wszystkich narodów“. W parę lat później, przepowiadał stworzenie instytucji w rodzaju Ligi Narodów lub ONZ tzn. posiadającej trybunały wyposażone w dostateczną władzę wykonawczą: wówczas wojny „napawać będą taką samą odrazą, jak każdy inny rodzaj mordu“.

Jednakże pacyfizm Lamennais nie był drżący i nieśmiały: bronił konieczności istnienia armii **narodowej**, utrzymywanej ściśle „w posłuszeństwie dla władzy cywilnej“ i wpajającej żołnierzowi świadomość, że nie przestaje być człowiekiem, że nie jest „niewiedząco kim, który zabija i którego zabijają“. Pacyfizm Lamennais wypływał z przekonania, że wojna, zbrodnia najwstrętniejsza spośród wszystkich zbrodni, jest zamachem na wolność nie tylko zaatakowanego narodu, lecz również narodu zmuszonego siłą do agresji; wynika stąd dla pierwszego z nich bezwzględny obowiązek obrony, dla drugiego zaś zbuntowania się. „Pokój, pewność i wolność na ziemi“ zniszczyli zarówno „ludzie mordu“, jak „ludzie strachu“.

„**Młody żołnierzu dokąd idziesz?**“, najsłynniejszy rozdział „**Słów Wierzącego**“, do napisania którego natchnęła autora w znacznej mierze tragiczna epopeja powstania polskiego, jest pewnego rodzaju „**Śpiewem Wymarszu**“, hymnem do wojny Wy-

zwolenia, wojny, która ma zniszczyć Wojnę. Z drugiej strony książka ta potępia „piekielny podstęp“ „ciemieźców narodów“, którzy, dzięki wynalezieniu bożków nazwanych: „Honor, Wierność, Bierne Posłuszeństwo“, pociągają dzieci ludu do „napadania na narody, mordowania swych braci, więzienia ojców i zapomniania nawet o tych wnętrznościach, które je nosiły“.

Łączy się tu odraza do wojny domowej i wojny zagranicznej z odrazą do wojny kolonialnej. Jak nie wspominać, gdy czytamy te wzruszające słowa, o bratobójczych walkach, o potwornych okrucieństwach, które, od czasu zakończenia działań wojennych w Europie, topią we krwi tyle krajów zamorskich, i w których w większości wypadków zmusza się ludzi kolorowych i proletariuszy do strzelania do ludzi kolorowych i proletariuszy? Nazajutrz po dniach czerwcowych, widząc swego siostrzeńca Błażeja, oficera Gwardii Narodowej, który, być może wbrew swej woli, brał udział w masakrze, Lamennais zawołał: „Idź precz, napawasz mnie wstrętem, ty, który strzelałeś do ubogich!“ A w Pałacu Burbońskim, wskazując grupę deputowanych, powiedział im: „Jest Bóg, który zażąda od was rachunku za tyle krwi!“

Gdyż w pojęciu Lamennais, jeżeli wszystkie wojny były wstrętne — nie było wstrętniejszej, jak wojna przeciwko ludziom głodnym. Miejmy nadzieję, że oficjalne, czy też nie, uroczystości poświęcone jego pamięci niechybnie o tym przypomną.

»WSPÓLNOTA EUROPEJSKA« a interesy Francji

MICHEL HINCKER

RZADKO się zdarza, aby konflikty społeczne poruszyły tak głęboko „ukryte siły“, aby ujawniły tak krytyczną sytuację jak te, które od kilku miesięcy obserwujemy w Europie zachodniej. Niedługo pracownicy francuscy czy angielscy, rozgoryczeni trudnymi warunkami, albo nękani nędzą robotnicy włoscy, wysuwali żądania, które ich pracodawcy bądź spełniali, bądź też odrzucali zależnie od istniejącego w danym momencie układu sił.

Kiedy pracodawcy ustępowali, mieli jednak wiele sposobów odebrania sobie pośrednio tego, z czego ustąpili — przy pomocy zwyczajki cen, podatków, dewaluacji pieniądza. Zdarzało się również, jak w 1936 r. we Francji, że dzięki jedności i zdecydowanej postawie mas ludowych przedsiębiorcy zmuszeni byli na dłuższy albo krótszy okres czasu zmniejszyć swoje dochody.

Ogólny schemat znany jest całemu światu. Ale to, co się obecnie dzieje, ma charakter odmienny. Czy w krajach tych usiłowano się dowiedzieć, dla jakich głębokich powodów robotnicy francuscy nie zdobyli w czasie swojego wspaniałego strajku w lecie 1953 r.? Dlaczego Konferencja Pracodawców zaprosiła generalnego sekretarza amerykańskiej CIO (Konferencji Organizacji Przemysłowców), aby zbadał na miejscu i przekonał się, że nie można podnieść płac włoskich robotników, jak również utrzymać w ruchu niektórych fabryk?

Dlaczego w kołach pracodawców w Paryżu i w Londynie, jak również w kołach rządowych tych stolic, panuje tak niesłychane poruszenie? Dlaczego pojawiają się coraz to nowe sprawozdania na temat problemu cen i płac? Dlaczego wszystko to dzieje się w chwili, kiedy z taką ostrością rysują się spr-

wy „armii europejskiej“ i „integracji europejskiej“, które wpędzają zainteresowane kraje w tak ostry kryzys?

* * *

We Francji wysuwa się następujące argumenty:

— Jest nas ponad pięć milionów — powiadają pracownicy — zarabiających poniżej 25 tysięcy franków miesięcznie (co równa się 72 dolarom amerykańskim, albo 25 funtom szterlingom). My tę sumę kwestionujemy i uważamy, że należałoby ją uznać za „płacę minimalną“, poniżej której lepiej byłoby stać się niewolnikiem.

— Spełnienie takiego żądania — odpowiada rząd — zwiększyłoby o 54 proc. ogólną sumę płac zarobkowych we Francji. Tego nie da się przeprowadzić.

— Sprawa nie polega na podniesieniu płac — ciągnie dalej związek pracodawców — ale na zmniejszeniu cen, a to możliwe jest tylko drogą obniżenia płac kobiet, świadczeń społecznych itp.

Czyżby rozmowa głuchych?

Sytuacja jest absurdalna, z czego każdy zdaje sobie sprawę. Widzimy oto, jak w ojczyźnie Kartezjusza komisje pracodawców, komisje ministerialne, komisje gospodarcze śleczą nad tym problemem i starają się w nim rozeznaczyć. Francja jest krajem bogatym, jej robotnicy są zręczni i pracują szybko, jej inżynierowie zaliczają się do najlepszych w świecie, ale coś tutaj nie idzie — machina funkcjonuje wadliwie.

Pracodawcy czują po raz pierwszy, że zwyżką cen nie będzie można wyrównać żądanego podniesienia płac, tak duże trudności napotyka obecnie sprzedaż produktów na rynkach krajowych i zagranicznych.

A jednak machina gospodarcza dopiero wtedy będzie pracować w zadowalającym tempie, kiedy uzyska się większe możliwości sprzedaży, to znaczy, kiedy wzrośnie siła kupna ludności, która obecnie, o ile wierzyć oficjalnym szacunkom, zaspokaja tylko w 60 proc. swoje podstawowe potrzeby.

Pośród ogólnego szaleństwa każdy wysuwa swój własny mały planik ekspansji gospodarczej, który niebawem jednak zarzuca, bo w oczywisty sposób nie traktował go na serio. Jedni zamyślają o rozdziale bezpłatnych bonów na zakup towarów, bonów, wydawanych przez państwo ludności nieproduktywnej (jak starcy itp.); byłby to system dobroczynnych zupek na skalę krajową.

Inni, jak Mendes France wyobrażają sobie złożone planowanie produkcji rolniczej. Pierwsza jej część byłaby subwencjonowana na rynku wewnętrznym, druga — przeznaczona na eksport, trzecia byłaby wolna. Co do programu rządowego, sporządzonego na podstawie wielu kwintali sprawozdań rzeczoznawców, ma on na celu zwiększenie o 10 proc. w okresie osiemnastu miesięcy produkcji przemysłowej kraju, która w ciągu 1953 r. spadła o 4 do 5 proc. Środki do przeprowadzenia tego planu określa formuła: „koncentracja kapitału“.

Wszystkie te projekty, mające na celu zadośćuczynienie żądaniem lud

ności, odpowiadają jednemu zainteresowaniu, mianowicie zachowaniu istnienia, jeżeli już nie przywieleń przemysłu francuskiego w łonie ewentualnej „europejskiej wspólnoty“ (wojskowej, gospodarczej, politycznej. To zaniepokojenie domino wało nad wszystkimi pracami drugiej sesji Narodowego Komitetu Francuskich Pracodawców, która odrzuciła wszelką zwykłą płac i która dała rządowi podstawę dla opracowania jego dalszych planów gospodarczych.

„Problemy, stojące przed francuskim przemysłem na rynku handlowym“ (sprawozdanie przyjęte przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu), **„Wpływy zielonego poolu na produkcję rolniczą na terytoriach poza-macierzystych Unii Francuskiej“** (sprawozdanie Rady Gospodarczej) — oto kilka tytułów ankiet, poufnych lub jawnych, których rezultaty koła kierownicze przeciwstawiają niezadowoloni robotników, chłopów i warstw średnich Francji.

Wyniki tych ankiet przedstawiają się rozpaczliwie. Już schumanowska „wspólnota węgla i stali“ powoduje zamykanie szybów kopalnianych, ale szersza wspólnota pociągnęłaby za sobą zniknięcie całych sektorów produkcji, jak przyznał przed niedawnym czasem minister przemysłu i handlu, gdyby nie przedsięwziąć uprzednio odpowiednich środków.

Tygodnik „Observateur d'aujourd'hui“ w takich słowach ujawnia znaczenie lekarstw, zaproponowanych przez rzeczoznawców, a zaapro-

„Dochodzi się zatem do przekonania, że wewnątrz stworzonego przez europejską wspólnotę obronną rynku, przemysł francuski będzie skrzepowany tym, iż wchodzące w grę artykuły należą do takich, których produkcja wymaga większej ilości rąk roboczych... W tych warunkach wprowadzenie w życie przewidzianych przepisów może doprowadzić do tego, że Francja dostarczać będzie artykułów najmniej złożonych, gdy tymczasem dostawy artykułów najbardziej pracochłonnych po wierzać się będzie przemysłowi innych krajów“.

(Ustęp ze sprawozdania, przyjętego przez francuskiego ministra przemysłu i handlu).

bowanych przez rząd i najbardziej wpływowe koła wielkiej finansjery:

„Kiedy mówią, że ciężary społeczne są zbyt wielkie, należy pod tym rozumieć, że chodzi im o konieczność redukcji ogólnej sumy płac zarobkowych; kiedy powiadają, że przemysł jest zanadto rozproszony — rozumieją przez to zamknięcie drobnych przedsiębiorstw i dalszą przyspieszoną koncentrację; kiedy mówią o zbyt wielkich ciężarach podatkowych — mają na myśli zmniejszenie opodatkowania wielkich przedsiębiorstw“.

Wszystko dzieje się tak, jakby najpierw wojskowa, a następnie gospodarcza „wspólnota europejska“ była nieuniknioną koniecznością. Układ o

„armii europejskiej“ nie został jeszcze ratyfikowany, a już kierownice koła francuskie (a identyczna sytuacja panuje we Włoszech i w Wielkiej Brytanii) forsują politykę ograniczeń a zarazem i umacniania wielkiego kapitału, co uważają za niezbędny warunek realizacji tej polityki.

To prawda, że problemy te wyłoniłyby się z chwilą utworzenia „europejskiej wspólnoty“, ale któż może dzisiaj stwierdzić z całą pewnością, że będzie ona urzeczywistniona? Któż może zaprzeczyć, że we Francji istnieje wrogość wobec takiej polityki? Prawdą jest, że Związkowi Francuskich Pracodawców — biorąc pod uwagę jego obecną strukturę, wydatki, jakie rząd ponosi w koloniach i z tytułu swych zobowiązań wobec koalicji atlantyckiej — musiałyby zaszkodzić w rywalizacji na wspólnym rynku, na przykład z kapitalistami z Niemiec zachodnich.

Ale to nie są sprawy, które by miały obchodzić prostych ludzi. Tych, dla których „wspólnota europejska“ oznacza zarazem i pojawienie się znowu koszmaru niemieckiego militarizmu, i rzucenie na francuską ziemię milionów włoskich, niemieckich, belgijskich, a być może i austriackich i hiszpańskich — bezrobotnych.

A wtedy słyszeć się daje głos zdrowego rozsądku. Skoro skutki „wspólnoty europejskiej“ mają być tak szkodliwe dla francuskiej gospodarki, po cóż narzucać już teraz jej zgubne działanie, zamiast po prostu ją odrzucić?

W ten sposób konflikt w sprawie płac nabiera we Francji nowego i donioślejszego znaczenia. Ukazuje się bowiem taka alternatywa:

— Francuscy pracownicy uzyskują podniesienie ich stopy życiowej, w szczególności w wyniku podwyżki płac zarobkowych. Pracodawcy, nie mogąc doprowadzić do anulowania tych zdobyczy zwykłymi środkami, mniej życzliwie oceniać będą utworzenie „wspólnoty europejskiej“ i zmuszeni będą domagać się przelożenia jej na późniejszy termin.

— Francuscy pracodawcy zdołają odeprzeć żądania pracownicze. Wtedy natychmiast zaangażują swoje siły w kontrofensywie, zmierzającej do zmniejszenia ogólnej sumy płac zarobkowych, do zlikwidowania mniej rentownych przedsiębiorstw z myślą o tym, by jak najlepiej usadowić się w tej gospodarczo - wojskowej „wspólnocie europejskiej“, której szanse realizacji wówczas wzrosną.

Oddaliliśmy się bardzo od dawnych konfliktów społecznych. Ale w tej tak ważnej bitwie, od której losów uzależniony jest mniej lub więcej świat, pracownicy francuscy nie są osamotnieni i zdają sobie z tego sprawę.

Drobni sklepikarze, rolnicy, skromni przedsiębiorcy, a nawet wielcy przedsiębiorcy w przemyśle przetwórczym, którego istnienie byłoby skazane na zagładę w ramach „wspólnoty europejskiej“, toczą tę samą walkę, która zbliża ich wzajemnie do siebie.



Poniżej zamieszczamy jeden z pierwszych rozdziałów książki, naszego naczelnego redaktora, Claude Morgana, poświęconej pamięci Yves Farge'a. Praca ta, odzwierciedlająca różne fazy pięknego życia Yves Farge'a, życia tak bogatego w niesłychanie interesujące wydarzenia i wypełnienego twórczą działalnością, ukazała się w Paryżu pod koniec marca.

Yves Farge w Maroku

CLAUDE MORGAN

NIE ulega wątpliwości, że — jak nam powiedział Louis Astran — Yves Farge wyjechał w 1927 r. do Maroka w nadziei znalezienia pracy w handlu. Wydaje się, że otrzymana posada nie była nadzwyczajna. Zresztą jego cichym pragnieniem było żyć z dziennikarstwa i malarstwa. Rzucił się z zapalem do jednego i do drugiego. Stał się współpracownikiem marokańskiego dziennika „Ere Française“, którego redaktorem naczelnym był wielki, długi i chudy jegomość Gustave Babin, rodzaj napoleońskiego Don Kiszota, doskonały znawca Maroka.

Babin był utalentowanym dziennikarzem i idealnie uczciwym człowiekiem. Zmarł w skrajnej nędzy w Paryżu. W owej epoce nawiązał przyjaźń z Yves Farge'm. Razem gwałtownie występowali przeciw Glaoui*) i polityce kolonialnej.

Farge pisywał również w „Vie Socialiste“ i wysyłał artykuły do paryskiego „Populaire“. Wraz z Leonnetim założył Federację Socjalistyczną Maroka i był sekretarzem jej sekcji w Casablance.

*) Pasha Marrakeszu, występujący się kolonizatorom francuskim.

Charles Vildrac spotkał Farge'a i Babiną w 1928 r. podczas uroczystości otwarcia pewnej drogi. Pośród górskiego krajobrazu roztaczało się przed nimi fantastyczne widowisko. Pod stopami oficjalnych osobistości rozpostarto wspinał się kobierce.

Vildrac przypomina sobie, że Farge był czarującym przewodnikiem. On to zwrócił mu uwagę na odwrotną stronę medalu — biedaków, którzy musieli przebywać wiele kilometrów pieszo, by wziąć udział w tych oficjalnych paradach. Glaoui rozkazał swoim kaidom podnieść daniny na uprząż i ekwipunek, oraz zwiększyć podatki. Nieszczęśliwych chłopów po prostu ogałano. Święto, przynoszące korzyści każdemu — od kaida do gubernatora — kosztowało drogo tych, którzy przecież byli gospodarzami tego kraju. W tym okresie — przypomina Charles Vildrac — Farge dużo malował. Żył z dnia na dzień, lepiej lub gorzej, raczej jednak gorzej. Łączyły go bardzo bliskie związki z ludnością Maroka.

W jakiś czas potem Farge ożenił się. Ta, która miała stać się „Fargette“, jak ją nazywał Farge, a za nim — jego przyjaciele — była córką poległego w czasie wojny w 1917 roku oficera francuskiego. Odtąd wspólnie dzielili niepewną egzystencję, którą przedtem Farge pędził samotnie. Egzystencję zarazem cygańską i wypełnioną pracą, rozjaśnioną namiętnym ukochaniem życia i miłością do ludzi.

Jaki był Farge w owej epoce? Ci, którzy go pamiętają, opisują go jako wielkiego, niedbałego młodzieńca, szorstkiego, z czarnym lokiem

nad czołem, entuzjastę, lub też piorunującego przeciw niesprawiedliwościom, wielkiego pozeracza gazet i książek, umiającego całymi godzinami pracować bez wytchnienia.

Promieniował niezwykle ludzkim ciepłem. Uczęszczał do arabskich kawiarni, gdzie chętnie rozmawiał z Marokańczykami. Lubił malować i dyskutować, pić, jeść i śmiać się. Nie stronił od tłustych kawałów. Był człowiekiem pełnym życia. Miał mało pieniędzy, ale serce czyniło go bogatym.

W Maroku Farge przebywał od 1927 do 1931 r. Co roku wystawiał swoje płótna w Casablance, po czym wszystkie sprzedawał, ale to nie na wiele wystarczało. Czasem dawał je również w upominku Arabom, którzy go lubili i szanowali. Farge często opowiadał — z tym właściwym mu darem czarującego i prostego słowa — jak, pragnąc podziękować mu za portret, Berberowie zabili kiedys na jego intencję barana i jak Fargette zmusiła go, by nie robić przykrości gospodarzom, do zjedzenia na surowo serca zwierzęcia.

Na początku pobytu Farge'a w Maroku wybuchła sprawa Sacco i Vanzettiego. Farge prowadził namiętną kampanię na rzecz ich uwolnienia. Zatrzymany podczas manifestacji, skazany został za stawianie oporu policji na dwa miesiące więzienia z zawieszeniem.

Pisze o tym „Socjalistyczny Biuletyn“ Maroka z października 1927 r. Manifestacja przebiegała w najzupełniejszym spokoju.

Kiedy powzięto myśl zorganizowania pochodu pod konsulat Stanów Zjednoczonych na znak protes-

tu przeciw skazaniu Sacco i Vanzettiego, Farge przyłączył się do inicjatorów, ale pod warunkiem, że pochód odbędzie się ze spokojem i godnością. Szło dwa tysiące ludzi. Na przodzie — komisarz policji, za nim jechało kilku policjantów na rowerach. Manifestanci powoli zbliżali się do konsulatu USA. Na Place de France rzuciły się na nich zgromadzone tam siły policji. Potem wypadki potoczyły się według klasycznych metod. Niesprawiedliwe aresztowanie Farge'a i innego jeszcze manifestanta — Antonellego — wzbudziło falę protestów w Maroku, a również i we Francji. Artykuły Farge'a, zamieszczane w „Biuletynie“, były rewelacją. Wychodząc z założenia, że pokój w Maroku może być zapewniony jedynie w wypadku, gdy naród marokański nie będzie cierpiał głodu, Farge wskazuje, jakim niebezpieczeństwem zagraża niczym nie ograniczona wolność wywozu dóbr z tego kraju, z której korzystają kolonizatorzy. Brak różnych artykułów dawał wówczas możliwości dokonywania najgorszych spekulacji.

Za produkty ziemi marokańskiej płacono chłopom najniższe ceny i odprzedawano z poważnym zyskiem eksporterom. „Zboże, kupowane od fellaha z błędu za 90, 80, a nieraz i 60 franków, sprzedawano w formie nasion — dla spekulacji — po 240 franków!“. Farge z właściwą mu energią protestował przeciw temu rabunkowi.

„Zadajemy sobie pytanie, jak wygląda rola cywilizatorska, jaką tutaj odgrywamy. Rola ta, polegająca na utrzymaniu Maroka pod władzą policji dla zapobiegania niegroźnym

napaściom miejscowych plemion, pozwala nam legalnie rabować na szeroką skalę. Toferujemy grabienie ludności, którą winniśmy się opiekować“.

Tak w kilku słowach wygląda istota reżimu kolonialnego.

Coraz wyraźniej ujawniają się główne, niezmiennie cechy charakteru Farge'a. Pierwsza, jaką już zaobserwowaliśmy, jest jego przywiązanie do ludu, do skromnych, pracowitych robotników, do których przez całe swoje życie odnosił się z największym szacunkiem. Drugą cechą jest ten jego zapal, którego nie i nigdy nie mogło powstrzymać, ani zahamować, zapal do obrony słusznej sprawy.

Trzecią stałą cechą jego charakteru, również występującą od samego początku, jest głęboka i radosna miłość życia. A ponieważ Farge kochał życie, przeto szanował życie innych. Nienawidził dyskryminacji rasowej, ucisku kolonialnego, jak również karierowiczostwa i wygodnego urządzania się kosztem drugich.

Nigdy nie był robigroszem. Nie miał żadnego upodobania do takiego sposobu życia. Żył skromnie, nawet biednie, po cygańsku, prowadząc pędzel według własnej fantazji, uczciwie wykonując zawód dziennikarski, nigdy nie frymarząc swoim sumieniem.

Lubił powtarzać poniższy aforyzm Lucien Descaves'a: pierwszym obowiązkiem dziennikarza jest widzieć i dawać widzieć. Miał ten dar. Dla niego widzieć i dawać widzieć rozumiało się w sposób bezpośredni i z

takim oto uzupełnieniem, wynikającym z natury rzeczy: widzieć i dać widzieć prawdę.

Pewnego pięknego dnia w 1931 r. bawił z Fargette na wakacjach we Francji. Wyjechali z dwiema walizkami na przeciąg dwóch miesięcy. Po dwóch miesiącach Yves Farge powiedział: „Tu jest o tyle piękniej — zostanmy“. I zostali. Farge niebardzo lubił Maroko. Nienawidził oczywiście mentalności administratorów kolonialnych i kolonizatorów. Dla tego Prowansalczyka nawet błękit tamtego nieba miał zbyt ostry odcień.

Dlatego owej jesieni 1931 r. bez grosza i bez planów na przyszłość Farge i Fargette usadowili się w Paryżu.

DOKUMENT

List Yves Farge'a do ciotki. — Casablanca, 28 lutego 1929 r.

„Jakże szczęśliwy jestem, droga moja Ciociu, że również na temat malarstwa myślimy oboje to samo.

Twój pogląd na malarstwo kubistyczne bardzo mnie zainteresował. Moja praca nad pewnym studium w atelier przyniosła mi zaskakujące doświadczenie. Zrozumiałem, że tylko tam może się rozwijać indywidualność twórcza. Dlatego przede wszystkim, że malarz nie musząc stosować pospiesznej techniki dla uchwycenia efektu, ma czas starannie swój projekt opracować, zrównoważyć całość i znaleźć ten czuły punkt, który stwarza pierwsze wzruszenie, by dać obrazowi całą jego wartość. A potem — coż za wielka korzyść „wewnętrzna“! Studiowanie natury zmierza do wykrycia szczegó-

łów tematu jednocześnie w sobie i na kartonie, a jeżeli malarz postara się wyodrębnić pierwsze wrażenie, zastanowić się kilka dni nad tym studium, dokładnie je przetrwać — wówczas będzie mógł naprawdę wydobyć całą, wywołującą wzruszenie istotę.

Wierzę, że po długiej pracy, po długich latach studiów, malarz może pojąć samą głębię natury.

Ale sądzę także, że ta metoda może kryć w sobie niebezpieczeństwo. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że natura — to wielkie, wiecznie bijące źródło, że trzeba być z nią w stałym kontakcie.

I tutaj też moim zdaniem kryje się niepowodzenie kubistów, którzy raz na zawsze zerwali z naturą, zanim jeszcze zdolała ona wyrzucić na nich głębokie piętno.

Ryzykuje się w tym wypadku, że dojdzie do czysto intelektualnych spekulacji, które bywają bardzo interesujące, ale które nigdy nie promieniają na szerokie masy, co winno być udziałem prawdziwej sztuki

Nigdy bowiem nie należy tracić z oczu faktu, że malarstwo, jak wszystkie inne sztuki, nie może zmierzać jedynie do zaspokajania potrzeb artysty i kilku w tajemniczonych, ale — przeciwnie — winno ono dążyć do wyzwolenia z natury prostych, a skutkiem tego — wielkich uczuć, które zawsze przyciągają ku sobie masy.

Widzisz, pierwsza szczerą opinią tego, lub tych, którym obca jest niemal kultura, stanowi poważne kryterium oceny dzieła sztuki.

W swoim czasie Goya, Courbet, Michał Anioł, Breughlowie dlatego byli popularni, że interpretowali naturę, ukazując w swoich pracach zasadnicze

składniki życia, pomijając natomiast szczegóły i dodatki, które wyrobione oko ma skłonność dorzucać i spostrzegać ze szkodą dla harmonii całości.

Nie chcąc bynajmniej oczerniać ani impresjonistów, ani kubistów, którzy dokonali wielkiego dzieła, nie sądzę ich bowiem wyłącznie po ich pracach, ale poprzez wpływy, jakim ulegli na skutek deformacji sztuki w ich epoce.

Na skutek tego impresjoniści porzucili formy malarstwa klasycznego, zanadto zaniedbując formę.

Instynktownie uzyskali jedynie prawdziwy kolor, ale zarzucam im, że — znowu pod działaniem wpływów — zanadto „pieścili“ naturę, niedostatecznie ją przy tym pogłębiając.

Kubiści, występując przeciw temu kierunkowi, głoszącemu, że jedynym pięknem w naturze jest drżenie światła, zaniedbali i światło i tematy, by przywiązać się do bryły, nawet jeżeli były nią tylko filozoficzne spekulacje. Tak jak impresjoniści, dokonali oni pożytecznego dzieła, ale — tak jak impresjoniści — pozostali niepełni“.



LU SIN

CZEU Czu Jen (Lu Sin), jeden z największych pisarzy chińskich urodził się 25 września 1881 r. w Szao Hing w prowincji Czekiang.

Dzieciństwo spędził z chłopskimi dziećmi. Na tej żyznej równinie chłopci pędzili nędzny żywot. Rodzina Lu Sina była bardzo uboga. Jednak w osiemnastym roku życia Lu Sin, wyposażony przez



swoją matkę w parę zaoszczędzonych dolarów wyrusza do Nankinu, gdzie wstępuje do Akademii Morskiej. Studiuje i pasjonuje się Darwinem. Potem wyjeżdża do Japonii na studia medyczne. Tam poznaje poezję Byrona, Shelley'a, Puszkina, Lermontowa, Mickiewicza, Pułaskiego i zapisuje się do tajnego stowarzyszenia antymonarchistycznego, **Kuang Fu Hué**.

W 1909 r. powraca do Chin i w 1912 r. obejmuje posadę w ministerstwie oświaty. Głęboko przeżywa upadek rewolucji. W 1913 r. bierze udział w powstaniu studentów, a w 1918 r. zakłada „Nową Młodzież“, czasopismo odrodzonej literatury chińskiej, redagowane w potocznym języku. Potem ukazuje się jego pierwsza nowela pt.: „Dziennik szaleńca“.

Wszystko, co odtąd pisał, poświęcone było sprawie „przekształcenia świata“. W 1921 r. wychodzi „Moja wieś rodzinna“, w 1923 r. — „Prawdziwa historia Ah Q“, w 1926 r. — „Wahanie“ i „Historia powieści chińskiej“.

Jednocześnie Lu Sin redaguje przekłady pism Gogola, Aleksandra Becka, Gorkiego i Szolochowa.

Wypędzony z Pekinu, Lu Sin przebywa w Kantonie na Uniwersytecie Sun Jat Sena. Pilnowany przez tajną policję, denuncjowany przez prasę Kuomintangu, atakuje reżim Ciang Kai-szeka w swoim czasopiśmie „Potok“.

Umiera na gruźlicę w 1936 r. w Szanghaju, pozostawiając po sobie dzieło, które świadczy o jego olbrzymiej aktywności. „Prawdziwa historia Ah Q“, oceniana powszechnie jako najlepszy jego utwór, czyni jego twórczość bliską Gogolowi i Dickensowi. Dzisiaj w Chinach czci się pamięć Lu Sina jako bohatera narodowego.

Moja wieś rodzinna

Nowelka LU SINA

Ilustr. HANS ERNI

MUSIAŁEM stawić czoła dotkliwemu zimnu i przebyć dwa tysiące „li“, aby powrócić do mej rodzinnej wsi, którą opuściłem przeszło dwadzieścia lat temu. Jesteśmy w samym sercu zimy. W miarę jak zbliżam się do wsi zapada zmierzch, dmie zimny wiatr i zawodzi w kabinie statku. Wyglądam przez okienko: pod żółtawym niebem, daleko, aż po linię horyzontu, ciągną się wsie, opuszczone, smutne, zrujnowane, bez znaku życia.

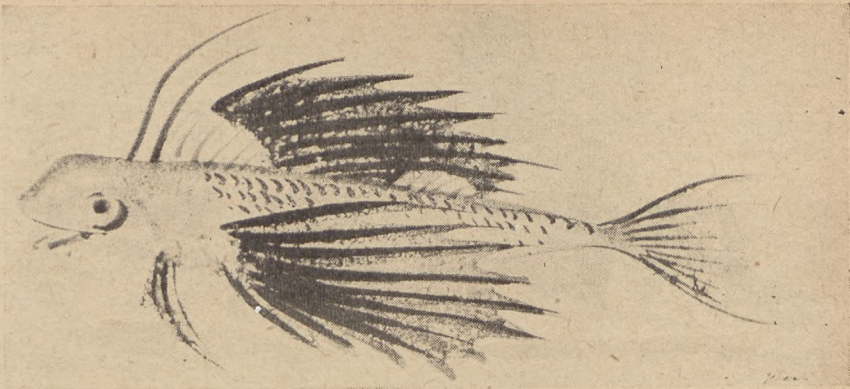
Nie mogę tego znieść, smutek mrozi mi serce. Ach! Czyżby to była moja wieś sprzed dwudziestu lat, do której tak często wracam myślą? Wsieś moich wspomnień wygląda na pewno znacznie lepiej. I oto gdy próbuję przypomnieć sobie jej piękno, gdy pragnę opisać jej krajobraz, nie znajduję ani obrazów, ani słów odpowiednich. Wyjaśniam więc sobie: moja rodzinna wieś niczym nie różniła się od tych, które teraz oglądam. I chociaż się pewnie nie zmieniła, to nie musi być koniecznie podobna do tej, jaką noszę dotąd w pa-

mięci. Zmieniło się po prostu moje usposobienie.

W rzeczy samej, jak na powrót do swej wsi, jestem w nienajlepszym usposobieniu. Tym razem przebywam, aby ją ostatecznie opuścić. Przez długie lata żyliśmy tu razem, pod dachem starego domu rodzinnego. A teraz wszystko już sprzedane; koniec bieżącego roku stanowi ostateczną datę przekazania naszych praw. Tak więc, od pierwszego dnia nowego roku musimy opuścić na zawsze ten stary, tak dobrze znany dom rodzinny, oddalić się z bliskiej sercu wsi, aby zarabiać na życie gdzieś na obcej ziemi.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, stoję przed domem. Podczas gdy wyjaśniam sobie powody nieuniknionych zmian zaszłych w naszym starym domu, na rogu dachu drżą na wietrze żdźbła suchej słomy. Moi krewni, widocznie opuścili już wiele pokoi, dlatego wszystko jest tu takie ciche.

Kiedy dochodzę do naszego mieszkania, moja matka pierwsza wychodzi mi na spotkanie; za nią wybiega mój ośmioletni bratanek, Hong



Eul. Matka cieszy się, że mnie widzi i ukrywa smutek odjazdu. Prosi mnie abym usiadł, odpoczął, napił się herbaty, ale nie mówi o sprawach rodzinnych. Hong Eul nigdy mnie jeszcze nie widział; stoi przede mną w pewnej odległości i nie spuszcza ze mnie oczu.

Na koniec rozmowa schodzi na sprawę przeprowadzki. Mówię, że wynająłem już nowe mieszkanie, kupiłem meble i pozostaje tylko sprzedać wszystkie rzeczy ze starego domu.

Matka potakuje. Trzeba jeszcze uporządkować bagaże; co zaś do tych rzeczy, których nie można przewieźć, to część z nich sprzedamy, ale pieniędzy i tak nie odłożymy sobie.

— Odpocznij dzień albo dwa, po zdrowisz przodków, a potem będziemy mogli odjechać — mówi moja matka.

— Właśnie.

— No i jeszcze Dżoen Tu; za każdym razem kiedy przychodzi, pyta czy nie ma wiadomości od ciebie. Bardzo liczy na to, że cię zobaczy.

Podalam mu przybliżoną datę twojego przybycia. Może przyjdzie.

W tej chwili wyrasta mi nagle przed oczami dziwny obraz: złoty księżyc na niebieskim nocnym niebie, pod nim rozległy piaszczysty obszar nad brzegiem morza, pokryty, dokąd wzrok sięga, zielonymi melonami. Pośród nich trzynastoletni chłopiec ze srebrnym jagniątkiem na szyi; w rękach trzyma metalowe widły i uderza nimi z całej siły w „czu“. Zaś „czu“ odwraca się i ucieka aż się kurzy.

Ten chłopiec to Dżoen Tu. Kiedy go znałem, miał nie więcej niż dziesięć lat. Teraz powinien mieć trzydzieści. Wówczas ojciec mój jeszcze żył, warunki rodziny były dobre, ja zaś byłem młodym chłopcem.

W owym to roku na naszą rodzinę przypadła kolej składania wielkiej ofiary. Złożenie wielkiej ofiary przypada kolejno na każdy dom, raz na trzydzieści lat, stąd też wielka waga tej ceremonii.

W styczniu znosi się dary na ołtarz przodków; dary są bardzo obfite, przedmioty kultu są piękne i



ludzie przybywający pozdrowić przodków — bardzo liczni. Trzeba pieczołowicie chronić przedmioty kultu przed złodziejami. Nasza rodzina zatrudniała tylko jednego mang jue (w naszej wsi istnieją trzy kategorie robotników najemnych: ci, którzy pracują przez cały rok dla jakiejś określonej osoby nazywani się Czangnien (1). Ci, którzy pracują tylko przez pewien określony czas, nazywają się tean kong (2). Ci, którzy uprawiają własną ziemię, a tylko w czasie nowego roku, wielkich świąt i żniw najmują się do pracy, nazywają się mang jue (3).

Wtedy mang jue nie przyszedł. Powiedział mojemu ojcu, że może przysłać swojego syna Dżoen Tu, aby ten zajął się przedmiotami kultu.

Ojciec nie zgodził się. Co zaś do mnie, byłem bardzo zadowolony, bo znałem już imię Dżoen (4) Tu (5); wiedziałem, że był w tym samym wieku co ja, gdyż urodził się w miesiącu „Dżoen“ (4), odgałęzienia „pięć“, elementu „ziemia“ (5). Dlatego właśnie ojciec dał mu imię Tu. Wiedziałem też, że umiał on zastawiać sidła na ptaki.

Oczywiście, oczekiwałem nowego roku z niecierpliwością, bo razem z nowym rokiem miał przyjść Dżoen Tu. Pewnego dnia, pod koniec roku, matka powiedziała mi, że Dżoen Tu już jest. Pobiegłem, aby go zobaczyć. Był w kuchni: miał okrągłą, opaloną twarz, na głowie nosił mały filcowy kapelusz, a na szyi jagniątko z błyszczącego srebra. Widać było z tego, jak bardzo ojciec go kochał i bał się aby nie umarł; dlatego założył mu jagnię na szyję, modlił się do Buddy, aby ten zachował mu syna przy życiu.

Dżoen Tu był nieśmiały. Bał się wszystkich oprócz mnie. Zaczął ze mną rozmawiać, gdy już nie było świadków, i po kilku godzinach zostaliśmy prawdziwymi przyjaciółmi. Nie pamiętam już o czym wówczas mówiliśmy; przypominam sobie tylko, że Dżoen Tu był bardzo zadowolony, gdy mu opowiadałem o wszystkim co zobaczyłem w mieście, którego on nigdy w życiu nie widział.

Nazajutrz chciałem, aby łowił ptaki.

— „To niemożliwe — odpowiedział — Jeżeli spadnie dużo śniegu, to wszystko idzie dobrze. Jak spadnie śnieg, to idzie się na plażę i oczyszcza się mały kawałek ziemi. Potem splata się z krótkich łodyg bambusu wielki płaski kosz, pod który sypie się ziarno. Kiedy ptaki zlatują się do ziarna, wystarczy pociągnąć z daleka za sznur przywiązany uprzednio do bambusowych łodyg. Kosz przykrywa wtedy ptaki. Jest tam dosyć wszystkiego: Tao ki, Kio ki, Pu kon i Lan pei (6)...

Pragnąłem wówczas z całego serca, aby spadł śnieg. Dżoen Tu powiedział mi: „Teraz jest za zimno,

ale jeżeli przyjedziesz latem do naszej wsi, to pójdziemy zbierać małże na brzegu morza; są tam wszystkie gatunki, czerwone, zielone ... są „strachy diabła” i „dłonie koar: in” (7). Wieczorem, razem z ojcem pójdziemy pilnować melonów. Ty też pójdiesz z nami”.

— Pilnować czego?

— Przechodnie, którzy zrywają jeden melon, aby ugasić pragnienie, nie są uważani przez nas, ze wsi, za złodziei. Ale trzeba strzec pola przed borsukami, jeżami i „czu”. Kiedy świeci księżyc, słyszy się pod ziemią taki hałas: „la ... la ... la ...”.

To właśnie „czu” pożera melony. Wtedy kłujesz go widłami i od razu ucieka.

Nie wiedziałem wówczas, co on miał na myśli mówiąc „czu” i nie wyobrażałem sobie co to może być. Przypuszczałem, że to coś w rodzaju małego psa, ale bardzo dzikiego.

— A czy on pożera ludzi?

— Ma się widły. Jak go tylko zobaczysz, to kłujesz. To bardzo żywe zwierzę, pędzi na ciebie i przewija się między nogami jak szczur; skórę ma taką śliską, jakby była z oliwy.

W swej prostocie nie przypuszczałem, że jest na świecie tyle nowych rzeczy: że istnieją małże w pięciu różnych kolorach na brzegu morza, że między melonami można przeżywać takie niebezpieczeństwa. Dawniej wiedziałem tylko, że melony kupuje się u handlarza owoców.

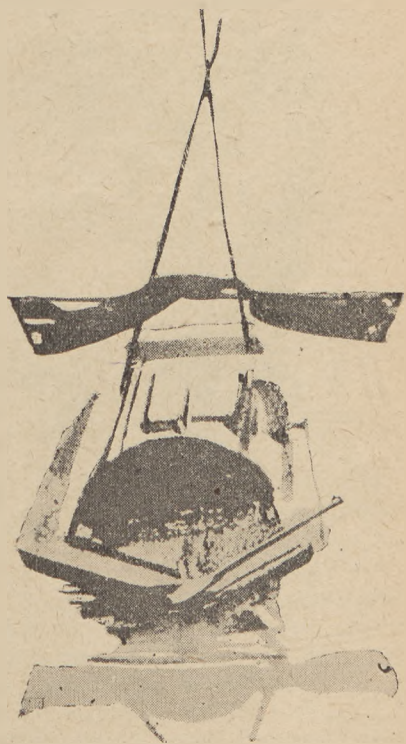
— Na plaży, podczas przypływu zobaczysz też skaczące ryby. Mają po dwie łapki, takie jak u żab.

Ach. Cóż. Cóż za niezwykle skarby krył umysł Dżoen Tu. Moi przyjaciele nie mogliby nawet wyobrazić sobie tego co on wiedział o morskim

brzegu. Tak jak i ja, widzą oni zaledwie mały kwadracik błękitnego nieba nad dziedzińcem otoczonym wysokim murem.

Niestety styczeń minął; Dżoen Tu musiał wrócić do domu. Płakałem gorzko. On zaś chował się w kuchni, też płakał i nie chciał odejść. W końcu przyszedł jego ojciec i zabrał go. Trochę później Dżoen Tu przysłał mi przez ojca jedną małżę i kilka bardzo ładnych ptasich piór. Ja ze swej strony też posłałem mu kilka prezentów. Ale od tego dnia już nigdy go nie ujrzałem.

Matka przypomniła mi o nim i oto wspomnienia mego dzieciństwa





„napłynęły z taką jasnością, że znów ujrzałem moją piękną wieś.

— To nadzwyczajne — powiedziałem. A jak mu się powodzi?

— Jemu? Jego sprawy nie układają się tak, jakby tego pragnął...

Mówiąc to spogląda na okno.

— Otóż i wracają ci ludzie. To ci, którzy kupują nasze rzeczy; wybie-

rają i zabierają, co im się podoba. Muszę do nich iść.

Matka wstaje i wychodzi. Z zewnątrz dobiegają mnie głosy kobiet. Mówię do Hong-Eula, aby podszedł bliżej; pytam go, czy umie już pisać i czy chciałby wyjechać stąd.

— A czy pojedziemy koleją? — pyta.

— Pojedziemy koleją.

— I statkiem?

— Najpierw właśnie statkiem.

Nagle rozlega się jakiś dziwny, ostry głos.

— Ah yá! Co to jest? Jaka długa broda!

Przestraszony podrywam głowę i widzę przed sobą jakąś kobietę, w wieku około pięćdziesięciu lat, o sterzcących kościach policzkowych i grubych wargach, z rękami wspartymi na biodrach. Ponieważ nie ma na sobie wierzchniej szaty i stoi na szeroko rozstawionych nogach, więc wygląda zupełnie jak cyrkiel do rysunków.

Jestem zaskoczony.

— Nie poznajesz mnie? Przecież nosiłam cię na rękach.

Jestem coraz bardziej zaniepokojony. Na szczęście wchodzi moja matka i wtrąca:

— On wyjechał wiele lat temu. Zapomniał już.

Po czym, zwracając się do mnie:

— Nie przypominasz sobie? To jest „Jang, druga bratowa“ z przeciwka, ta, która prowadzi sklepik z serami.

Ach! Oczywiście, przypominam sobie. Kiedy byłem dzieckiem, to na przeciwko, w sklepiku z serami z sobją, siedziała zawsze „Jang, druga bratowa“. Ludzie nazywali ją „Piękność wśród serów“. Ale w czasach

gdy zajmowała się przesiewaniem
naki, jej policzki nie były takie wy-
stające, ani wargi tak wydatne, a
ponieważ ciągle siedziała, więc nigdy
nie zwróciłem uwagi na jej postawę
przypominającą cyrkiel. „To właśnie
dzięki niej, ten handel serami tak
dobrze idzie” — powiadali wówczas
ludzie. Widocznie jednak, ze wzglę-
du na mój ówczesny wiek, nigdy nie
wywarła na mnie najmniejszego
wrażenia i dlatego zupełnie o niej
zapomniałem.

Tymczasem „cyrkiel” jest bardzo
oburzony. Objawia swoje niezado-

wolenie co najmniej tak, jakby na-
leżało to uczynić wobec Francuza,
który nie słyszał o Napoleonie, albo
wobec Amerykanina, któremu nie-
znane jest nazwisko Waszyngtona.

— Zapomniał? — powiada z szy-
derczym śmiechem.

— Jakże pyszni są ci wysoko po-
stawieni ludzie.

— Ależ .., ja ...

Podnoszę się przestraszony.

— Słuchaj — mówi ona — zwracam się do ciebie, mój mały Sin. Je-



steś bogaty, jesteś wybitną osobistością, masz tu jeszcze kilka zniszczonych rzeczy; pozwól, że ja je sobie wezmę; dla nas, biednych ludzi, będą one użyteczne.

— Ależ ja nie jestem bogaty. Muszę je sprzedać, żeby ...

— Ah ya ya. Zostałeś mianowany prefektem i ośmielasz się twierdzić, że nie jesteś bogaty; musisz mieć teraz co najmniej trzy żony, a kiedy wychodzisz z domu, to pewnie noszą cię w palankinie dźwiganym przez ośmiu tragarzy. I ty jeszcze mówisz, że nie jesteś bogaty. Ho! Niczego mi nie oszczędzono!

Nie wiem co odpowiedzieć, więc stoję i milczę.

— Ah ya. Ah ya. Zaprawdę, im więcej ma się pieniędzy, tym mocniej się je trzyma, a im mocniej się je trzyma, tym więcej się ich ma...

„Cyrkiel“ rozwścieczony odwraca się i nie przestając mówić kieruje się powoli ku drzwiom. Po drodze zabiera parę rękawiczek mojej matki i wtyka je za pasek spodni.

W pewien czas potem przyjmuje sąsiadów i krewnych, którzy przybywają, aby złożyć mi wizyty. Korzystam z wolnych chwil, aby uporządkować swoje bagaże. W ten sposób upływają trzy, czy cztery dni.

Pewnego popołudnia, kiedy jest bardzo zimno, pijąc herbatę po obiedzie, odnoszę nagle wrażenie, że ktoś się zbliża. Odwracam głowę i, wbrew samemu sobie, niespokojnie i szybko podnoszę się, aby wyjść gościowi naprzeciw.

Ten, który przychodzi, to Dżoen Tu. Chociaż od pierwszego spojrzenia wiem, że to Dżoen Tu, to jednak nie jest to już ten sam Dżoen Tu, którego pamiętam. Jest dwa razy grubszy, jego okrągła opalona twarz zszarzała na popiół i pokryta jest głębokimi zmarszczkami. Oczy jego, tak jak i oczy jego ojca są otoczone czerwoną, nabrzmiałą obwódką. Wiem, że ci którzy uprawiają ziemię nad brzegiem morza, w wietrze dmiającym przez cały dzień, dochodzą wszyscy do takiego stanu. Nosi





podarty filcowy kapelusz i cienkie bawelniane ubranie. Cały drży z zimna. W jednej ręce trzyma jakąś paczkę owiniętą w papier, a w drugiej długą fajkę. To nie jest już ta różowa i pulchna ręka, którą pamiętam, ale czerwona, ciężka, popękana jak kora sosny.

Przez chwilę jestem bardzo wzruszony i nie znajduję właściwych słów. Powtarzam tylko:

— Ach Dżoen Tu, mój bracie, czy to ty?

Potem słowa napływają i wylewają się jak strumień pereł: ptaki, skaczące ryby, małże, „czu“ ...

Czuję jednak w sobie jakiś opór. Słowa krążą po głowie, ale nie wychodzą z ust.

On zaś stoi przede mną. Na jego twarzy widać radość pomieszaną z melancholią. Porusza wargami, ale żaden dźwięk z nich się nie wydobywa. Na koniec przyjmuje postawę pełną szacunku i mówi wyraźnie:

— Panie.

Czuję chłód. Wiem już, niestety, że gruby mur rozdziela nas na zawsze. Nic więcej nie mówię.

On zaś obraca głowę i mówi:

— Szu Szeng, choć powitać Pana. Wyciąga małego chłopca, który scho-

wał się za jego plecami. Jest to wykapany Dżoen Tu sprzed dwudziestu lat, tylko nieco bardziej opalony i bez srebrnego jagnięcia na szyi.

— To moje piąte dziecko, jest niezbyt towarzyski, często ucieka...

Moja matka i Hong Eul schodzą z piętra. Na pewno usłyszeli nasze głosy.

— Pani, list otrzymałem już dawno. Naprawdę bardzo się ucieszyłem, kiedy dowiedziałem się, że Pan ma przyjechać — mówi Dżoen Tu.

— Ach ty. Cóż to znów za grzeczności. Nie przypominacie sobie, żeście byli kiedyś braćmi. To twój brat, Sin, tak samo jak dawniej — mówię wesoło matka.

— Ach ya. Pani, to byłyby drwiny z obyczajów: byłem wtedy dziec-

kiem, mało co rozumiałem ... odpowiada Dżoen Tu i znów woła Szu Szeng, aby powitał moją matkę. Szu Szeng lękliwy, przykłada się do jego pleców.

— Więc to Szu Szeng, ten piąty? — mówi moja matka — nie znalazłam go. Hong Eul i on pójdą sobie na spacer.

Hong Eul słysząc to zabiera Szu Szenga, który wychodzi za nim z wyrazem ulgi na twarzy.

Matka prosi Dżoen Tu, aby usiadł. Ten się waha, ale wreszcie siada. Kładzie fajkę na rogu stołu i wyciągając ponad stołem paczkę owiniętą w papier mówi:

— Zimą mało co się ma. Ale te trochę grochu pochodzi z domu. Proszę bardzo, Panie...

Pytam go, jak mu się powodzi.

— Bardzo źle. Szóste dziecko mi pomaga. Ale w ogóle nie jada się dosyć. Nie ma pokoju ... Wszędzie trzeba pieniędzy ... A przy tym zniwa były niedobre. Sieje się, żeby coś zebrać, potem biegnie się sprzedawać, żeby zapłacić te wszystkie podatki. Cały kapitał znika. A jak się nie sprzedaje zbiorów, to gniją...

Potrząsa głową, jego twarz poarana zmarszczkami jest nieruchoma jak kamienny posąg. Na pewno bardzo cierpi, ale trudno to odgadnąć. Przez chwilę trwa nieruchomo, potem bierze fajkę i zaczyna palić. Matka stawia mu różne pytania. Wie, że ma on niewiele rzeczy. Mówi mu, żeby nazajutrz znów przyszedł. Ponieważ nie jadł południowego posiłku, więc prosi go, aby poszedł do kuchni i zjadł czarbkę smazonego ryżu.



Po jego wyjściu mówimy o nim z matką: — zbyt wiele dzieci, głód, okrutne podatki, mandaryni, czynią z niego człowieka wykończonego, kawał drzewa. Matka uważa, że można by mu podarować te rzeczy, których nie musimy zabrać ze sobą. Mogłby sobie sam wybrać. Po południu Dżoen Tu odstawia sobie na bok kilka różnych przedmiotów: dwa stoły, cztery krzesła, kadzielnice, lichtarz i wagę. Chce też popiół ze spalonej słomy (w naszej wsi przygotowuje się posiłki na ogniu ze słomy ryżowej, a popiół wykorzystuje się jako nawóz na terenach piaszczystych). W chwili wyjazdu zabierze to wszystko łodzią.

Wieczorem rozmawiamy sobie trochę o rzeczach pilnych, ale niezbyt ważnych. Nazajutrz, wcześniej rano, Dżoen Tu znów przychodzi razem z Szu Szeng. 9 stycznia, w dzień naszego wyjazdu przyjdzie też rano, ale już bez Szu Szeng. Tym razem towarzyszy mu pięcioletnia dziewczynka, która pilnuje łodzi.

Przez cały dzień jesteśmy bardzo zajęci. Nie mamy ani chwili na rozmowę. Przychodzi wielu ludzi. Niektórzy, aby się pożegnać, inni — aby zabrać rzeczy. Wieczorem, jeszcze na długo przed wejściem na statek, wszystkie rzeczy polamaną, staro modne, duże i małe, delikatne i ordynarne, wszystkie zabrano i uprzątnięto.

Nasz statek posuwa się naprzód. Na obojczyku opada zmierzch, zielone wzgórza stają się coraz ciemniejsze. Noc powoli okrywa statek. Hong Ful i ja, oparci o okienko, przyglądamy się falam. Nagle chłopiec pyta:

— Wujku, a kiedy powrócimy?

— Kiedy wrócimy? Zaledwie odjechaliśmy, a ty już mówisz o powrocie.

— Bo myśmy się umówili z Szu Szeng, że przyjdę do niego się bawić.

Jego duże czarne oczy są szeroko otwarte, minę ma bardzo zaabsorbowaną.

Matka i ja milczymy. Potem znów rozmawiamy o Dżoen Tu. Matka opowiada mi, że od chwili kiedy zaczęło się pakowanie rzeczy, „druga bratowa“ ze sklepiku z serami codziennie przychodziła do naszego domu. W przeddzień wyjazdu wyciągnęła z kupy popiołu dziesięć sztuk naczyń stołowych. Po dyskusji orzekła, że to Dżoen Tu tam je schował, aby następnie zabrać je razem z popiołem.

Kiedy tego dowiodła, poczuła się pełna zasług. Na koniec wzięła „psią klatkę“ W naszej wsi jest to przedmiot do karmienia drobiu, zbudowany w formie drewnianego naczynia przykrytego kratą. W środku umieszcza się pokarm, kury mogą dziobać, przesuwając szyję przez kratę, zaś psy mogą tylko przyglądać się temu ze złością, ale pokarmu nie mogą porwać. Potem wybiegła. Całe szczęście, że ma takie duże nogi i może szybko biec.

Im bardziej oddalam się od domu, tym bardziej krajobraz wsi zaciera się w moim umyśle. Nie odczuwam najmniejszego żalu. Czuję się tylko jakby otoczony ze wszystkich stron niewidzialnym murem, który oddziela mnie od reszty świata. Jestem bardzo przegnębiony. Obraz małego bohatera z srebrnym jagnięciem, wśród pola melonów, z początku

bardzo wyraźny, zaciera się teraz i to napelnia mnie nieskończonym smutkiem.

Moja matka i Hong Eul śpią. Leżę słuchając jak woda burzy się pod statkiem i wiem, że posuwam się naprzód po swojej drodze. Myślę o Dżoen Tu; on i ja, jesteśmy całkowicie rozdzieleni, ale pokolenia, które nadejdą, będą miały ten sam stan umysłu. Czyż Hong Eul nie myśli właśnie o Szu Szeng? Mam nadzieję, że oni nie będą tacy jak ja, a jednak wszyscy jesteśmy rozdzieleni... Jednak nie chciałbym aby przy takim stanie umysłu prowadzili twarde i niepewne życie, które jest moim udziałem, nie chciałbym także, aby wiedli ciężką i twardą egzystencję Dżoen Tu i nie chciałbym, aby wiedli ciężkie i pełne trosk życie innych ludzi. Trzeba aby poznali życie nowe, takie jakiego myśmy nigdy nie znali.

Myślę o tym z nadzieją i nagle ogarnia mnie strach. Dżoen Tu, ten od kadzielnicy i lichtarza, śmieję się z niego w tajemnicy, gdyż jest on fetyszystą i bałwochwalcą; nie zapomnę go nigdy.

A teraz, to co nazywam nadzieją, czy jest to bożyszcze, które kształ-

tuję własną ręką? To tylko pragnienie, to bezpośrednie pragnienie Dżoen Tu... i te bardziej odległe i niepewne — moje.

Przed moimi oczami, w świetle księżyca, rozciąga się na brzegu morza plaża zielonego piasku. W górze, na niebieskim niebie — złoty księżyc. Myślę: w zasadzie nie można powiedzieć, że nadzieja istnieje, nie można też powiedzieć, że nie istnieje. To tak jak z drogą na ziemi.

W rzeczy samej, na ziemi początkowo nie ma żadnej drogi; ale skoro przejdzie wieki, widzi ludzi — na koniec powstaje droga.

Styczeń 1921 r.

1) Czang Nien — długi rok.

2) Tean Kong — krótka praca.

3) Mang Yue — miesiąc intensywnej pracy u chłopów (nazwa okresu pracy została z biegiem czasu przyjęta jako określenie osoby, która wykonywała tę pracę).

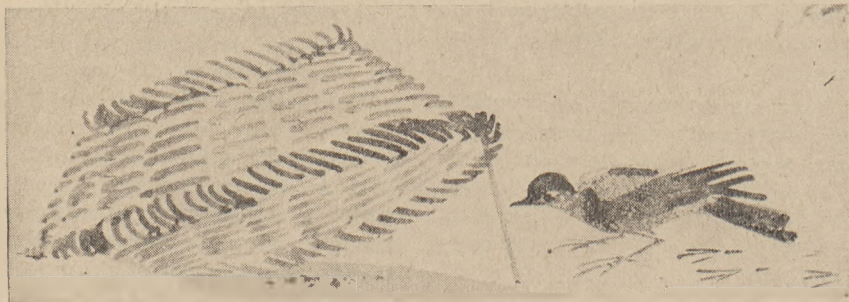
4) Dżoen — w chińskim kalendarzu miesiąc dodawany 7 razy w ciągu 90 lat, dla wypełnienia przerw między rokiem słonecznym, a księżycowym.

5) Tu — ziemia.

6) Różne nazwy ptaków żyjących w Chinach.

7) Bogini miłości w mitologii buddyjskiej.

8) Tradycyjny chiński znak okrucieństwa.



ARGENTYNA

Ziemia Południa

JACQUES MADAULE

historyk

W CIĄGU kilku ostatnich lat mogliśmy obserwować przejawy nacjonalizmu argentyńskiego czy to w sprawie Wysp Maluińskich, zwanych przez Anglików Wyspami Falklandzkimi, czy to terytoriów na Antarktydzie. Zdarza się, że my, obywatele starych krajów europejskich nie rozumiemy tego nowego patriotyzmu, wiedząc, że naród argentyński powstał z pomieszania ludzi, przybyłych ze wszystkich zakątków Europy. Jakże mogła tam zrodzić się przeto nowa narodowość?

Trzeba było poznać Argentynę i przejechać ją parokrotnie tam i z powrotem, jak miałem sposobność uczynić to latem ubiegłego roku, by zdać sobie sprawę z prawdziwości i głębi tego zjawiska.

Horacy powiedział, że ci, którzy jadą za morza, zmieniają wprawdzie niebo, ale nie zmieniają duszy. Sądzę, że to nie jest całkowicie słuszne. Bardzo źle znamy jeszcze działanie wpływu nowego otoczenia geograficznego na ludzi, ale nie ulega wątpliwości, że działanie takie istnieje.



Typowy ubiór
ranczerów — baranie futro
i skórzany pas

Łatwo na przykład zauważyć w Argentynie głębokie przemiany, zachodzące na przestrzeni jednego pokolenia. Emigranci przez dłuższy lub krótszy czas odczuwają tęsknotę za krajem ojczystym i mówią ojczystym językiem. Lubią też skupiać się w odrębne wspólnoty. Jednak ich dzieci są już zupełnie inne. Warunki gospodarcze i środowisko wywiera na nich piętno w decydujący sposób. Znam na przykład rodzinę, złożoną z ojca — Chilijczyka i matki — Urugwajki. Otóż dzieci tych dwojga są już tylko Argentyńczykami.

Powiecie może, że nie ma wielkiej różnicy między — z jednej strony Argentyną, a z drugiej — Chile i Urugwajem? Czyż nie mówi się w tych krajach tym samym hiszpańskim językiem? Czyż nie żyje się według analogicznych tradycji?

Co do języka — tak jest niezaprzeczanie, jakkolwiek tu i ówdzie spotyka się odrębności prowincjonalne. Inaczej jest jednak z tradycjami. Nic nie jest jednocześnie tak sobie bliskie, a tak bardzo różne, jak Buenos Aires i Montevideo. Wystarczy przekroczyć Rio de la Plata, by dostać się z jednej stolicy do drugiej. Ale Urugwaj jest małym krajem, otoczonym dwoma dużymi — Argentyną i Brazylią. Toteż najważniejsze państwowe sprawy Urugwaju przybierają formy ograniczone ramami jednego tylko miasta.

Dzięki temu Urugwaj mógł zachować liberalne instytucje, dziwnie odbijające na tle instytucji w tamtych dwóch krajach. Skład etniczny Argentyny i Urugwaju jest niemal taki sam, klimaty są bardzo podobne z

małymi odcieniami. Natomiast tradycje są tak różne, jak tradycje Francji i Szwajcarii.

Między Argentyną a Chile wznosi się olbrzymia przegroda — Andy. Jeżeli w Buenos Aires, mimo odległości, nie czujemy się zbyt oddaleni od Europy, to inaczej czujemy się w Santiago — w obliczu Oceanu Spokojnego. Jesteśmy tutaj naprawdę w innym świecie, pośrodku długiej wstęgi, kończącej się na północy upalnymi pustyniami, a na samym południu — ziemią o klimacie prawie polarnym.

Oczywiście w Argentynie znajdujemy takie same kontrasty — od okręgów północnych, graniczących z Boliwią — po Ziemię Ognistą. Ale kraj jest tak rozległy, że nie myśli się wcale o tym olbrzymim wydłużeniu z północy na południe, właściwym jedynie Chile.

Każdy zatem z tych krajów ma swoją odrębną historię i odrębne ukształtowanie etniczne, z czego mieszkańcy zdają sobie doskonale sprawę. Toteż mieszanie na przykład Argentyny i Buenos Aires byłoby prawie takim samym błędem, jak upodobnianie Stanów Zjednoczonych do Nowego Jorku.

Znaczenie Buenos Aires datuje się od niezbyt dawna, bo — prawdę mówiąc — od uzyskania niepodległości. W okresie kolonialnym Buenos Aires było drugorzędnym portem i — jakkolwiek może się to wydawać paradoksalne — wszystko przybywało do Argentyny z północy.

W owym czasie Lima, stolica Peru, była ośrodkiem, skąd promieniowała kultura i panowanie Hiszpanów. Charcas (obecnie Sucre) w Boliwii

była siedzibą starożytnego uniwersytetu, a największy uniwersytet Argentyny znajduje się nie w Buenos Aires, ale w Cordobie del Tucuman, wewnątrz kraju. Ta olbrzymia prowincja Tucuman, która przedłużała ku południowi Alto Peru, czyli Boliwię, stanowiła drogę pochodu cywilizacji i dlatego większość Argentczyków ze starych rodów lubi przypominać, że ich rodziny przybyły z północy.

Ale Buenos Aires było kolebką nowej Argentyny. Tam właśnie w ciągu całego XIX i XX wieku wysiadali na brzeg emigranci, z których pewna ilość naturalnie przybywała jeszcze z Hiszpanii, ale wielu z nich także z Włoch, a nawet i z Francji. Trzeba dostatecznie oceniać olbrzymie znaczenie imigracji włoskiej i emigracji baskijskiej. Nie ulega wątpliwości, że Włosi stanowią dzisiaj najważniejszy składnik ludności argentyńskiej.

Włosi, uciekając przed okrutną nędzą swojego kraju, znaleźli w Argentynie życzliwe przyjęcie i nie tracąc całkowicie łączności z dawnym krajem, przywiązali się bardzo do nowej ojczyzny.

Co do Basków — czy przybywają z Francji, czy z Hiszpanii — odnajdują oni w Argentynie więź solidarności i odgrywają w tym kraju rolę, którą można pod pewnymi względami porównać z rolą Irlandczyków w Stanach Zjednoczonych. Co więcej, wszyscy ci ludzie najróżniejszego pochodzenia pomieszali się między sobą, tworząc nowy naród, który zachowuje niektóre oryginalne tradycje, ale który coraz bardziej rozwija swoje własne, nowe cechy.

Jeżeli Amerykanie ogólnie biorąc nie rozumieją problemów europejskich, dzieje się tak częściowo dlatego, że u nich problemy te rozwiązują się bez najmniejszych trudności. To co w Europie zaliczyć można do wyjątków — ugrupowanie, w którym znajdowaliby się Francuzi, Niemcy, Włosi, Hiszpanie i Anglicy — po drugiej stronie Atlantyku jest zjawiskiem codziennym.

Dla uzupełnienia dodałem tutaj Anglików. Jednak w rzeczywistości są oni stosunkowo nieliczni i lepiej niż inni zachowują swoje cechy charakterystyczne.

Zresztą na temat stosunków między Wielką Brytanią a Argentyną można by pisać całe tomy. Nazajutrz po zakończeniu wojny Anglicy, a w mniejszym stopniu i Francuzi — próbowali zająć w Argentynie miejsce władców hiszpańskich. Można bowiem powiedzieć, że w rzeczywistości kraje Ameryki Południowej przeszły przez władzę dwóch kolejnych reżimów. Pierwszym był okres zależności od Hiszpanów, a drugim — ten, który — działając przy pomocy innych metod — narzuciła im Anglia.

Anglia to mianowicie, zwiąawszy się z dominującą oligarchią, kupowała surowce, dostarczała artykułów gotowych i narzucała Argentynie określoną strukturę gospodarczą, dobrze przy tym zarabiając.

Anglików nigdy nie było wielu w Argentynie, nigdy też nie mieszała się z masą ludności, ale aż do 1914 r. odgrywali poważną rolę w życiu kraju, co tłumaczy anglofobię, która co najmniej w tym samym stopniu co amerykańskofobia stanowi jedną z cha-

rakterystycznych cech nacjonalizmu argentyńskiego.

Można zatem stwierdzić, że naród argentyński w swoim obecnym składzie ukształtowany jest niemal wyłącznie z ludzi, wywodzących się z krajów Europy południowej i że na jego obyczaje wywarł decydujące piętno katolicyzm — religia krajów łacińskich.

Nie dowodzi to jednak, by kościół katolicki cieszył się tam takimi wpływami jak w Hiszpanii, lub nawet we Włoszech. Tylko rzadko i wyjątkowo spotyka się tam protestantów. Kler jest stosunkowo nieliczny,

nauczanie religijne — mało rozpowszechnione, ale mimo to kult lokalnych świętych jest niemniej popularny, aniżeli w południowej Europie, a poglądy na małżeństwo i ogólne stosunki między mężczyznami i kobietami takie same, jak w katolickiej Europie.

Trzeba jeszcze dodać, że Argentyna jest jedynym wielkim krajem Ameryki Południowej, gdzie niemal nie istnieją problemy rasowe. Ludność tubylcza — z wyjątkiem pewnych grup etnicznych na północy i na samym południu — prawie całkowicie wyginęła. W każdym razie słabo od-

Buenos Aires — kolebka nowej Argentyny, gdzie lądowali pierwsi emigranci





Dzisiaj wielka nowoczesna stolica o kosmopolitycznym obliczu; tutaj zawijają statki i lądują samoloty z Europy i Ameryki

czuwa się w Argentynie obecność kilku tysięcy Guaranisów. A jednak jesteśmy w Ameryce, to jest na ziemi, która nie leży w Europie.

Położona pod tą samą szerokością geograficzną Argentyna nie ma ani takich samych pór roku, ani takich samych drzew jak Europa. Jej formy i rozmiary są bardzo odrębne. Oddycha się tam innym powietrzem. Ścisły, od dawna istniejący u nas związek między człowiekiem a przyrodą, tutaj nie został jeszcze — jak się zdaje — zadzierżgnięty. Dzika natura pełnie skrycie aż pod bramy miast. Wszystko wydaje się niepewne, osadzone na obcym i wrogim

gruncie. Wyrafinowany komfort pogłębia jeszcze ten kontrast.

Człowiek zmienia się w tym nowym otoczeniu. Konie z powrotem dziczeją, a synowie Europy przekształcają się w gauchos. Koń jest świętym zwierzęciem Argentyny. Zakazano walki byków, ponieważ walki te są zbyt okrutne dla koni. Wszyscy chłopci argentyńscy dzisiaj jeszcze żyją na koniu. Wprawdzie nastrój awanturniczości i przygód przyczaił się w cieniu, ale łatwo odnaleźć można wspomnienia o pionierach, którzy walczyli z Indianami.

Powstało nowe społeczeństwo z bardzo wyraźnie wyodrębnionymi



*Na wsi wszyscy Argentyni dziś jeszcze żyją
na koniu*

klasami i warstwami. Istnieją warstwy produkujące jak w mauriakowskim Bordeaux. Elita społeczeństwa, albo ci, którzy się za elitę uważają, mówi po francusku, wyjeżdża do Europy, lepiej od nas zna nasze idee i naszą modę. Atlantyk, który można przelecieć samolotem w ciągu 36 godzin, stał się Morzem Śródziemnym i zdawać by się mogło, że w gruncie rzeczy niemal ci sami ludzie zamieszkują oba jego brzegi. Ale nie poddawajmy się temu złudzeniu.

Tak jak konie, ludzie, którym się nie powiediło, odnaleźli — tracąc dawne naturalne ramy — starodawny stan barbarzyństwa.

W Argentynie lepiej niż gdziekolwiek indziej przekonałem się, jak dalece działanie czasu niezbędne jest dla pewnego rodzaju dojrzwiania. To prawda, że stulecia systemu kolonialnego trwały długo i pozostawiły ślady, nie pozbawione szlachetności i wielkości, ale rzadko tylko tworzyły harmonijną całość. Na przykład pełen uroku kościół Recoleta w Buenos Aires przylega do cmentarza północnego, będącego nagromadzeniem okazałych marmurów, gdzie od stulecia miejscowa arystokracja grzebie swoich zmarłych. O dwa kroki stamtąd stoi Alvear dłuta Bourdelle'a. Między jednym a dru-

gim — najpiękniejsze drzewa świata. Niebrzydło to wygląda z żółtawą rzeką Rio na horyzoncie. Ale zawsze napotykałyśmy to nieco drażniące zbliżenie antyku ze współczesnością.

Gdzie indziej, w okolicach Cordoby, już w samym stepie, nieco zniszczone kościoły jezuickie Alta Gracia i Santa Catalina ze swymi barokowymi fasadami, wyrzeźbionymi przez Indian i kościoły w samej Cordobie. Oto początek zapuszczania korzeni w nowej glebie. Opowiadano mi, że piękne rzeczy tego samego rodzaju mógłbym zobaczyć w Salta, albo w Corrientes.

Jest to piękny kraj, bardzo bogaty i bardzo różnorodny — od gmatwanych wysp delty, pokrytych drzewami i kwiatami, jakby rodzaj dzikiej Wenecji i Entre Rios, która jest prawdziwą argentyńską Mezopotamią, prawie całkowicie oddzieloną od reszty kraju aż do wyżynnych ziem północnych, wznoszących się ku Boliwii i do zboczy Andów z ukrytymi w wydrążeniach rajami, jak Nahuel Uapi; Patagonia — szorstka i zapyłona, pełna baranów i koni.

Taka jest Argentyna. Wiele jeszcze innych rzeczy składa się na ten kraj, rzeczy, o których nie zdążyłem opowiedzieć i których także nie widziałem w czasie zbyt krótkiego pobytu. Do tego wszystkiego przywiązany jest naród argentyński, kochający ten dziwny kształt na mapie z tworzącą zabawny cypel prowincją Misiones.

Jest ich obecnie około 18 milionów, a więc niewiele na tak wielkiej przestrzeni. Ich sąsiedzi powiadają, że Argentyńczycy są dumni. Bardzo



prawdopodobne. Pomińmy Brazylię, która sama w sobie stanowi świat i to inny świat. Ale Argentyna na południu i Meksyk na północy są największymi krajami, gdzie mogła się rozwijać samodzielna cywilizacja.

Z przyjaźnią albo z wrogością — Boliwia, Paragwaj, Urugwaj, a nawet Chile spoglądają ku Buenos Aires, dokąd przybywają statki i samoloty z Europy i z Ameryki. Trzeba teraz, aby Argentyna uświadomiła sobie swoją misję wśród narodów Ameryki Łacińskiej.

Historia rodzi się w bólach, bowiem dyktatury są wszędzie surowym reżimem, a Argentyna miała niemal dyktatorów, począwszy od Rosasa w XIX stuleciu.

Argentyna miała także rządy liberalne, które obalono, ponieważ były bezsilne i zanadto związały się z gospodarczym imperializmem Anglików i Amerykanów. Trzeba wyzw-

lić się spod jarzma obcego kapitału. Nie pomyliły się mówiąc, że wyzwolenie się spod tego jarzma jest co najmniej równie trudne jak to, którego bohaterem stał się niegdyś San Martin.

Warunkiem tego wyzwolenia jest ukształtowanie się proletariatu argentyńskiego, które dalekie jest jeszcze od ukończenia, a również, jak sądzę, ukształtowanie się inteligencji, która, jak dotąd, niewiele ma kontaktu z ludem.

Cóż więc dziwnego, że opierający się na armii demagogdy zagarniają z powodzeniem stery rządów? Ktorkolwiek przebył czas jakiś w Argentynie, uderzony jest wagą stojących tam problemów: obfitość bogactw naturalnych, brak ludzi, trudności, spowodowane wielkimi przestrzeniami.

Niewątpliwie zrobiono bardzo dużo, nie bądźmy niesprawiedliwi w stosunku do pewnych ludzi, którzy przekształcili oblicze całego kraju. Ale jest jeszcze więcej do zrobienia w dziedzinie gospodarczej, społecznej i kulturalnej.

Moje ostatnie wrażenie — to, że Argentyna jest jakby jednym wielkim warształtem, który kilkakrotnie porzucano, a potem na nowo otwierano, nie doprowadzając niczego do końca. Uprzemysłowanie wymaga rąk roboczych i kapitałów — brak jednego i drugiego. Rozwój społeczny wymaga elity, którą należałoby stworzyć.

Tego wszystkiego jeszcze nie ma, ale może się zrodzić. Poszczególne składniki takiego rozwoju znajdują się pod ręką. Zadaniem Argentyńczyków jest dowieść, że zdolni są dokonać w XX wieku tego, czego Stany Zjednoczone dokonały wcześniej, chociaż nie koniecznle przy użyciu takich samych metod.

W tej właśnie dziedzinie bezinteresowna pomoc Europy może przynieść pod każdym względem wiele korzyści. Co do nas Francuzów, powinniśmy pomyśleć o tym, że w epoce, kiedy praktycznie biorąc przestrzeń nie istnieje, ziemia Południa znajduje się tuż obok nas i że zarówno jej natura, jak i jej serce skłaniają się w naszą stronę.



HISTORIA NIE Z TEJ ZIEMI

WŁADYSŁAW SZCZERBIC

Z

ACZNIJMY od rewelacyjnej, niecodziennej wiadomości: Policja Adenauera ostro zabrała się ostatnio do dwóch facetów, którzy dotąd byli znani jako zbrodniarze wojenni i do niedawna — z

tego właśnie tytułu — korzystali z rozlicznych przywilejów, jakie im szczodłą rączką przyznało adenauerskie państwo w Bonn.

Nie wierzycie? No to przeczytajcie: Jeden z dwóch facetów, o których mowa, pojawił się niedawno w Bad Kreuznach koło Stuttgartu. Jego przybycie stanowiło nie lada rewelację dla miejscowych starych hitlerowców, którym przedstawił się jako kolega po fachu. I to nie byle jaki kolega.

„Jestem byłym Sturmbannführerem SA — opowiadał im przybysz. Co więcej, jestem niewinnie prześlado-

wanym, tak zwanym zbrodniarzem wojennym. Pomyślcie, moi drodzy koledzy: zbrodniarzem! Za to tylko, że w czasie wojny — zgodnie z rozkazem naszego Führera — pomagałem rozprawić się z warszawskimi Żydami, a potem zakatrupiłem tu u nas paru niesubordynowanych robotników francuskich. Wielka mi historia! Ale cóż — ciągnął swą opowieść „prześladowany zbrodniarz“. — Po wojnie dostałem się w łapy tych przeklętych Francuzów i dopiero teraz udało mi się wydostać na wolność. O jakżeż chciałbym móc się z nimi jeszcze policzyć za doznane upokorzenia“.

Skutek tego opowiadania był natychmiastowy i wprost imponujący. Do łez wzruszyli się starzy „Partei-genossen“, z których większość ma przecież podobne grzechy na sumieniu, co im nie tylko nie przeszkadza, ale wprost pomaga w obecnej karierze w bońskim aparacie administracyjnym, również we wspomnianym Bad Kreuznach. Przede wszystkim

trzeba było koledze pomóc. Tak nakazywała przecież solidarność w imię wspólnych ideałów, w imię przeszłych i przyszłych zamierzonych wspólnych wyczynów.

I ta pomoc się znalazła: cztery tysiące marek, osiem eleganckich ubrań, walizka skórzana, pierwszorzędny odbiornik radiowy i cały stos nowej bielizny — wszystko to dla biednego kolegi z szeregow SA.

Szczodrze obdarowany facet, który szczyił się i chlubił tak gorliwym spełnianiem ludobójczych rozkazów Hitlera i Himmlera, postanowił „się wykazać“. A więc wygłosił w Bad Kreuznach dwa odczyty publiczne na temat „historycznej konieczności“ remilitaryzacji Niemiec zachodnich i postawienia hitlerowskich generałów na czele „armii europejskiej“, by móc powetować klęskę, jaką spotkała organizatorów ostatniej wojny. Wychwalał pakt atlantycki i jego amerykańskich reżyserów. Po każdym z tych odczytów intonował hymn „Deutschland, Deutschland, über alles!“, aby podnieść na duchu swoich kolegów po fachu...

Podobna historia zdarzyła się w mieście Kolonii. Pewnego dnia zgłosił się do jednego z urzędów miejskich osobnik, który również oświadczył, że jest zbrodniarzem wojennym i że właśnie zwiózł z francuskiego więzienia, gdzie odsiadywał karę dożywocia. Herr Doktor Ludwig Krüger — bo tak się przedstawił — znalazł również pełne zrozumienie u władz miejskich Kolonii. Nie pytano go o żadne dowody, o żadne legitymacje. Wystarczyło, że przedstawił się jako zbrodniarz wojenny. To jest przecież

najbardziej miarodajna legitymacja dla adenauerowskich urzędników. Herr Doktor Krüger otrzymał kilkaset marek zapomogi, otrzymał dowód osobisty, no i bilet kolejowy do miejscowości Friedland, jak sobie tego życzył. We Friedland Herr Doktor Krüger powtórzył swoją historię. I znów otrzymał kilkaset marek oraz bilet na dalszą drogę — tym razem do Mors. Nie wiemy, ile miejscowości zwiedził w ten sposób Herr Doktor Krüger i ile mu to przyniosło gotówki pobranej z kasy publicznej poszczególnych zarządów miejskich. Wiemy natomiast — i to z bardzo pewnego źródła, bo z raportu policji w Kolonii — że wreszcie powiniła mu się noga. Ktoś gdzieś zaczął badać szczegóły przeszłości domniemanego doktora Krügera i wybuchł grubszy skandal. Okazało się bowiem, że nie był on wcale zbrodniarzem wojennym, ale zwykłym niebieskim ptakiem, który sprytnie wyczuł przychylną dla zbrodniarzy atmosferę w adenauerowskiej Trizonii i postanowił na tym dobrze i łatwo zarobić. Za to właśnie poszukuje go adenauerowska policja.

Również faceta z Bad Kreuznach, o którym mówiliśmy na początku, wska-

W NIEMCZECH ZACHODNICH

— *To jednak dobrze, że u nas wolno nosić hitlerowskie odznaczenia. Łatwiej poznać drania*

Rys. JANTAR



dzono do kryminału za to, że — jak się okazało — nie był zbrodniarzem wojennym, za jakiego się podawał, że nie brał udziału ani w mordowaniu warszawskich Żydów, ani francuskich robotników. I nie tylko nie był Sturmbannführerem SA, ale nie był nawet nigdy i w ogóle członkiem partii hitlerowskiej.

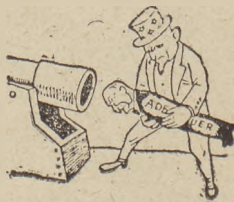
Teraz sędziowie Adenauera zastanawiają się nad wymiarem kary dla nich obydwu za to, że nie byli zbrodniarzami wojennymi.

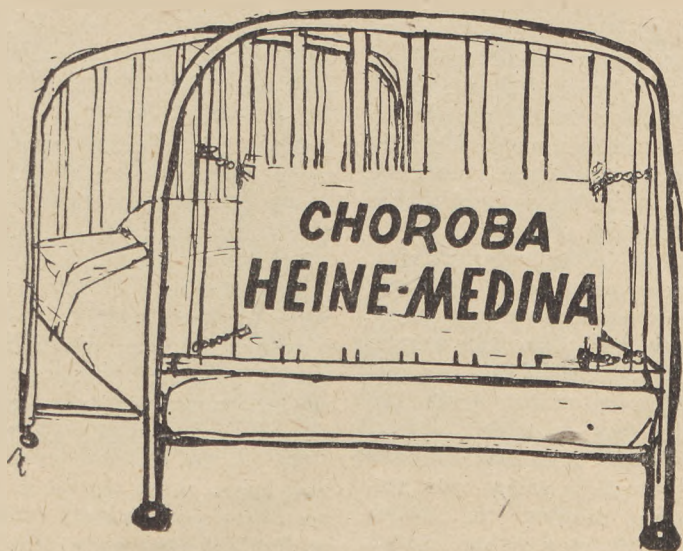
* * *

Burżuazyjny dziennik zachodnioniemiecki „Stuttgarter Zeitung“ nazywa tę historię „amüsan“ — zabawna.

W gruncie rzeczy nie jest ona jednak wcale, ale to wcale zabawna. Jest ona tylko bardzo charakterystyczną ilustracją stosunków panujących w Niemczech zachodnich, kwitnącej tam koniunktury na zbrodniarzy wojennych.

Dwóch szalbierzy, którzy tę koniunkturę chcieli wykorzystać, spazryło się wreszcie na jakimś nieostrożnym kroku. Za to prawdziwi zbrodniarze, jak Guderian czy Kesselring, czy dziesiątki i setki innych na razie korzystają z tej koniunktury w jak najlepsze. Ci na pewno będą się domagali bardzo wysokiego wymiaru kary dla dwóch ludzi, którzy nie mając na sumieniu rzeczywistych zbrodni, ośmielili się podawać za kolegów po fachu obecnych władców z Bonn.





Dr JACQUELINE BERNARD

ISTNIEJĄ wszelkie dane, aby przypuszczać, że bliski jest dzień, kiedy choroba Heine-Medina przestanie być koszmarem dla lekarzy i postrachem dla rodziców. Dzięki uporowi uczonych, którzy nie cofali się przed trudnościami stopniowo rozjaśnia się tajemnica tej choroby. Jest to choroba epidemiczna, która pojawia się najczęściej w okresach letnich i atakuje przede wszystkim dzieci. Przez dłuższy czas nazywano ją „paralizem dziecięcym“. Obecnie wiemy już jednak, że odsetek wypadków pozostawiających trwałe porażenia jest znikomy w stosunku do ilości chorych, którzy ją przeżyli.

W rzeczywistości w bardzo wielu wypadkach choroba Heine-Medina nie jest rozpoznawana, przechodzi

niepostrzeżenie i nie pozostawia żadnych uszkodzeń.

Zanim przejdziemy do omówienia najczęściej spotykanych powikłań i sposobów ich leczenia, spróbujmy zapoznać się z nowymi teoriami dotyczącymi powstawania tej choroby i różnych jej faz, z których każda wymaga specjalnego postępowania.

WIRUS

Wyizolowany, wychodowany, nawet widzialny dzięki mikroskopowi elektronowemu — wirus powodujący chorobę jest dziś znany. Posiada on kształt sferyczny, wymiary jego wynoszą 20 milimikronów, to jest 20 milionowych milimetra. Tylko w wyjątkowych wypadkach dostaje się on

do organizmu drogą bezpośredniego zakażenia, jak to się często zdarza w innych chorobach wirusowych, na przykład w odrze lub śwince. Najczęściej jednak przenika on wraz z pożywieniem (mleko, masło, a przede wszystkim woda) do jelit i może pojawiać się w stolcu w bardzo poważnych ilościach przez wiele dni, a nawet tygodni od chwili zakażenia. Niezwykle odporny może żyć całe lata w zwykłej temperaturze. Może przetrwać w mleku pasteryzowanym i jedynie dostatecznie długie gotowanie lub niektóre rzadkie środki dezynfekcyjne mogą go zabić.

Jeżeli wirus, który dostał się do jelit, nie natrafi na żaden opór, atakuje system nerwowy na dwóch frontach, a raczej używając dwóch różnych dróg:

- jednej bezpośredniej, nerwowej,
- drugiej, pośredniej, krwionośnej.

Uszkodzenia tak spowodowane mogą być różne w zależności od drogi zaatakowania przez wirusa.

DROGA BEZPOŚREDNIA

Posuwając się wzdłuż cieniutkich włókien nerwowych, które znajdują się w ściankach jelita, dociera do ich źródła, do rdzenia. Na tym poziomie atakuje jedynie komórki ruchowe, te, które umieszczone w tak zwanych rogach przednich rdzenia, kierują różnymi mięśniami całego ciała. Zachowuje się tak, jak gdyby miał możliwość „wolnego wyboru“ rodzaju komórek, w których ma się zagnieździć. Po pewnym czasie krótszego lub dłuższego odpoczynku przerywa się również na komórki sąsiednie, jeżeli ich stan fizyczny i chemiczny

stwarza dla niego sprzyjające warunki.

Jego szkodnicza działalność jest zawsze jednakowa — całkowite zniszczenie tych komórek.

Odpowiednikiem klinicznym tych uszkodzeń są porażenia takie lub inne, w zależności od tego, jakie komórki „wybrał sobie“ wirus.

Nawiasem mówiąc:

Każdy mięsień składa się z bardzo wielu włókien zgrupowanych w wiązki, każdą taką wiązką mięśniową kieruje komórka nerwowa, stanowiąc razem jedność nerwowomięśniową albo prościej — ruchową.

Na skutek częściowego porażenia nerwowego przez wirusa w każdym sparaliżowanym mięśniu istnieje różna ilość zaatakowanych wiązek i stopień porażenia zależy od ilości zniszczonych komórek nerwowych. Zdarza się jednak, że w mięśniu, który wydaje się w pierwszej chwili niezdolny do funkcjonowania, kilka wiązek jest jeszcze nie tkniętych porażeniem, ale jest ich zbyt mało, by mogły spowodować wydajniejsze skurcze mięśniowe.

Leczenie może doprowadzić do odnowienia siły mięśniowej pobudzając zdrowe włókna i działając na odnowienie unerwienia sąsiednich, począwszy od komórek rdzeniowych jeszcze zdrowych, a to przede wszystkim poprzez systematycznie powtarzane wczesne ćwiczenia mięśni.

Zapobiegawczo możemy wykorzystać nasze wiadomości, dotyczące skłonności wirusa do komórek nerwowych, znajdujących się w szczególnym stanie fizycznym i chemicznym.

Tak na przykład: wysiłek mięśniowy, zmęczenie, wstrząs na skutek



Dwa znane przypadki: Wilhelm II i Roosevelt

zabiegu chirurgicznego, zwykle szczepienia zwiększają podatność komórek i wpływają na mniejszą ich odporność. Należy więc unikać tego wszystkiego przy najmniejszych podejrzeniach w okresie epidemii.

Natomiast kwas foliowy zastosowany przy pierwszych oznakach choroby, może, nawet wtedy, gdy wirus znajduje się już w systemie nerwowym, zapobiec porażeniom. Działanie jego w okresie późniejszym jest już całkowicie bezskuteczne.

DROGA POSREDNIA

Używając drugiej drogi, to jest poprzez naczynia krwionośne, wirus przenika do całego organizmu. Po krótkim postoju w mięśniach celem jego jest jednak zawsze system nerwowy. W ten sposób wywołuje reakcję — stan zapalny. Zaburzenia powstające tą drogą mogą być groźne, ale

nie trwają dłużej niż kilka dni. Po przekroczeniu tego niebezpiecznego okresu następuje w ciągu kilku dni, najdalej kilku tygodni kompletne wyzdrowienie.

Oto jak można sobie wyjaśnić:

— przypadki przejściowych porażień, cofających się szybko;

— okres gorączkowy, występujący zawsze na początku;

— przypadki przebiegające gwałtownie, kiedy zaatakowane zostają ośrodki życiowe na poziomie rdzenia przedłużonego.

Na tych dwóch ostatnich punktach zatrzymamy się teraz.

WSTĘPNY OKRES GORĄCZKOWY

Często uważany za grypę, anginę, nawet „colit“ z gorączką, okres ten zawsze poprzedza pojawienie się porażień.

Najczęściej gorączka jest jedynym objawem choroby. Jeżeli w rodzinie lub w grupie osób przebywających razem zajdzie wypadek paraliżu dziecięcego, można uważać, że wszystkie lub prawie wszystkie pozostałe osoby przeszły w tym samym czasie lekką formę tej choroby.

Jak wobec tego rozpoznać tę chorobę? Jest to zagadnienie trudne, a jednocześnie bardzo ważne, ponieważ wtedy właśnie należy rozpocząć leczenie. Objawy takie jak ból występujący w pozycji siedzącej, jednocześnie bóle głowy, gorączka, zaburzenia w trawieniu (wymioty, zaparcie, rzadziej biegunka), zatrzymywanie moczu na 12 do 24 godzin — pozwalają doświadczonemu lekarzowi na skierowanie podejrzeń na właściwe tory.

Potwierdzeniem diagnozy może być tylko badanie, które nieuzasadnione przesady uważają za niebezpieczne: punkcja lędźwiowa. Nie stanowi ona w tym wypadku żadnego niebezpieczeństwa, a tylko ona może dać pewne dowody choroby.

Objawy gwałtowne występują pod koniec tego okresu, dając niekiedy bardzo ciężkie porażenie. Bywają również przypadki śmiertelne, jeżeli wirus zaatakuję ośrodki oddechowe, przez co oddychanie staje się nieregularne i chaotyczne, mimo że mięśnie oddechowe mogą nie ulec wcale porażeniu. W takich wypadkach nie mogą mieć zastosowania tak zwane „stalowe płuca”. Śmiertelne mogą też być przypadki, gdy chory nie mogąc połykać dławi się śliną lub płynami wpadającymi do tchawicy. Leczenie polega na niezwykle ostrożnym i różnorodnym stosowaniu licznych środ-

ków, mających na celu utrzymanie chorego przy życiu w przeciągu 8—10 dni. Jest to okres decydujący. Jeżeli działamy w porę, możemy wygrać tę walkę i może nastąpić całkowite wyzdrowienie.

* * *

Dotychczas przypuszczano, że nie jest w stanie przeciwstawić się wirusowi. A jednak wielu ludzi opiera mu się skutecznie. Jest to zagadnienie przeciwna.

Organizm ludzki atakowany wielokrotnie przez niewielkie ilości wirusów wytwarza spontanicznie substancje, które niszczą intruza. Są to przeciwciała. Organizm wytwarza je nawet z nadwyżką i przy każdym nowym ataku zwiększa swoje rezerwy, tworząc barierę obronną.

Nagromadzone w organizmie w okresie dziecięcym przeciwciała wystarczają dla skutecznej obrony przed inwazjami wirusa w wieku późniejszym. Wiek ten jest różny w zależności od warunków życia różnych grup społecznych.

W pewnych okolicach Czarnego Łądu wiek ten jest wczesny, około jednego roku i Heine-Medina jest tam prawie nie znana. Natomiast jest on już o wiele wyższy w Europie (10—12 lat). W krajach o wysokim poziomie higieny zapas przeciwciał wytwarza się później i choroba Heine-Medina jest tam częściej spotykana.

Przykładem tego są fakty zaobserwowane na jednej z małych wysp Pacyfiku na wyspie Guam. Tubylcy i Amerykanie żyją tu obok siebie w tym samym klimacie. Jednak te dwie narodowości nie mieszają się ze sobą,

każda zachowuje swoje obyczaje i różny sposób odżywiania. Nie stwierdzono żadnych wypadków paraliżu u tubylców, ich zapas przeciwciał jest wystarczający już przed ukończeniem pierwszego roku życia. Natomiast Amerykanie są atakowani przez tę chorobę w takim samym stopniu, jak gdyby przebywali w swoim własnym kraju, gdyż zapas przeciwciał wytwarza się u nich przez całe lata.

Zaobserwowano też i inne zjawiska. Na ogół, w tym samym wieku osobnik dotknięty już chorobą Heine-Medina posiada mniej przeciwciał niż jego sąsiad, który nie chorował. Wydaje się, że niektóre organizmy są szczególnie niezdolne do wytwarzania tych ciał ochronnych.

Wobec tego zapobieganie chorobie powinno polegać na wprowadzaniu do organizmu przeciwciał w formie specyficznej, skutecznej surowicy, lub na szczepieniu, które pobudziłoby wytwarzanie przeciwciał.

Środków tych w tej chwili nie mamy. Badania laboratoryjne i doświadczalne są dopiero w toku.

Korzyść praktyczna z globuliny, w której pokładano tyle nadziei jest bardzo ograniczona. Działa ona dopiero po tygodniu od chwili wstrzyknięcia i nie dłużej niż 2 do 3 tygodni.

PORAŻENIA

Nadzieja na szybkie znalezienie środków przeciwko paraliżowi dziecięcemu — nie wystarczy. Trzeba walczyć ze skutkami tej choroby, dążyć do ograniczenia tak częstych jeszcze kalectw, które powoduje.

Kiedy mija krótkotrwała gorączka, o której już mówiliśmy, bywa, że po-

jawiają się nagle porażenia. Jeżeli porażenie jest lekkie lub krótkotrwałe, wyzdrowienie następuje szybko. Częściej jednak jest ono ciężkie, dotyczy jedną lub więcej kończyn, które obumierają, nieruchomieją.

W pierwszych dniach poprzestajemy jedynie na uśmierzaniu intensywnych bólów, na które skarży się dziecko nawet przy nieznacznej zmianie pozycji i które często nie pozwalają mu spać.

Uspokajają te cierpienia i ułatwiają odzyskanie siły mięśniowej ciepłe i wilgotne kompresy, które zmieniaemy wiele razy w ciągu dnia.

Najważniejsza jest nieustanna i uważna obserwacja, aby odkryć jak najwcześniej poważne przypadki „rdzeniowe“, opisane wyżej i oznaki paraliżu mięśni oddechowych. Rozpoznajemy to w sposób prosty, obserwując, czy chory może kasłać, czy też kaszel ma utrudniony. „Stalowe płuca“ powinny być zawsze w pogotowiu, lecz nie należy używać ich bez koniecznej potrzeby. Aparat ten jest trudny do obsługi, jego uruchomienie wymaga fachowego personelu i niekończących się ostrożności, jak też niezwyklego napięcia uwagi. Chory pozostaje pod nim kilka dni lub kilka tygodni, potem uczymy go obchodzić się bez niego, stosując stopniowo coraz dłuższe przerwy, aż wreszcie instalujemy go tylko na noc, by w końcu odstawić go zupełnie.

Oto dziecko, młody człowiek lub znacznie rzadziej dorosły, którego dotknęła choroba Heine-Medina. Niebezpieczeństwo i cierpienia choroby są już tylko złym wspomnieniem. Nic nie zagraża życiu, ale pozostają porażenia, ciężkie kalectwo na przyszłość.

U jednego nie rozwija się normalnie ramię, dotknięte porażeniem w dzieciństwie, inni mają krótszą nogę. Czasem ręka lub noga są zniekształcone. Zdarza się też, że porażenia obejmują obie nogi. Kalectwo prezydenta Roosevelta jest znanym tego przykładem. Dzięki odwadze, sile woli i dzięki konsekwentnej terapii, następstwa choroby można złagodzić, o czym będzie mowa dalej.

WALKA PRZECIW KALECTWU

Po przejściu najostrzejszej fazy porażenia w pierwszych tygodniach cofają się szybko, potem wolniej. Poprawienie lub odzyskanie zdolności ruchu rozciąga się na okres około dwóch lat. Należy działać właśnie podczas tych długich miesięcy, zapobiegać deformacjom, pobudzać mięśnie, unieruchomione w częściowych porażeniach, zmuszając je do pracy. Uczyć chorego posługiwania się tymi grupami mięśni, którymi rozporządza swobodnie, tak aby mógł powrócić do aktywnego życia społecznego.

Jeśli zaburzenia nie są zbyt ciężkie, można pozwolić na powrót dziecka do domu i tam prowadzić dalsze leczenie pod opieką lekarza specjalisty.

Często, niestety, leczenie takie nie jest wystarczające. Istnieją ośrodki, lecz jest ich jeszcze zbyt mało, w których stworzono wszelkie warunki, dla osiągnięcia jak najlepszych wyników w tej walce z kalectwem.

Największą wagę przykładamy do leczenia rozpoczętego wcześniej już od pierwszych tygodni, gdyż daje ono największe sukcesy. Największa strata czasu może być trudna lub niemożliwa do powetowania.

Jakie stosować metody leczenia?

Jest ich wiele i dały one szerokie pole do niewyczerpanej dyskusji na temat ich skuteczności.

Każdy chory reprezentuje oddzielny problem, dla każdego więc program działania powinien być indywidualnie ustalony, oparty:

— na dokładnym stadium porażenia i całości układu mięśniowego;

— na wieku, zdolnościach, reakcji pacjenta, jego dobrej woli, będącej zasadniczym czynnikiem powodzenia w leczeniu.

Co robimy poznawszy te dane?

Przejdźmy do omówienia środków stosowanych obecnie, to jest ciepła, aparatury ortopedycznej, przede wszystkim ćwiczeń mięśniowych, wreszcie do nauczania szkolnego lub zawodowego.

— Ciepło stosowane lokalnie zapobiega powstawaniu zaników mięśniowych. Przez dobre samopoczucie, które wywołuje, ułatwia ćwiczenia mięśniowe i walkę ze zniekształceniami. Ciepła tego dostarczają aparaty elektryczne (diatermia długo- i krótkofalowa), lub hydroterapia: kompresy, kąpiele, nawet baseny kąpielowe. Te ostatnie, o których wiele się mówi, należą do urządzeń bardzo kosztownych, a nie są bardziej skuteczne niż inne łatwiejsze do stosowania.

— Aparatura ortopedyczna. W początkach uniknąć można złej pozycji, podtrzymując nogi dwiema deseczkami, kręgosłup gorsetem, lub po prostu układając chorego w pozycji na plecach, na materacu dostatecznie twardego. Później, kiedy używanie fotela na kółkach, lasek lub kul okaże się konieczne, trzeba zachować ostrożność w stosowaniu gorsetu lub po-

dobnych środków „tortur“, zastosowanie ich jednak może niekiedy wzmocnić zbyt słabe kolano czy łokieć.

— Ćwiczenia mięśniowe stanowią nieodzowną, zasadniczą i najtrudniejszą część leczenia. Trzeba je stosować bez przerwy od początku. Winiem je przeprowadzać jedynie specjalista.

Trzeba zmusić mięśnie w jak największym stopniu do pracy, utrzymując jednocześnie konieczną harmonię w ich ogólnej równowadze.

Codziennie seanse, stopniowo coraz dłuższe i trudniejsze powinny być starannie dozowane i przeprowadzane w połączeniu z masażem, w zależności od przypadku. Ćwiczenia te na początku są proste, potem stają się bardziej skomplikowane przez użycie przyrządów gimnastycznych: drążki, rower, aparat do wiosłowania itp.

— Nauczanie szkolne i zawodowe powinno stanowić nieodzowną część leczenia. Zagadnienia społeczne i psychologiczne, które narzuca okres rehabilitacji, są skomplikowane i trudne do rozwiązania — nauka w

szkole lub nauka zawodu odpowiednio wybranego mogą pomóc chorym po wyjściu z ośrodka leczniczego do powrotu do normalnego, samodzielnego życia.

Jest to konieczne minimum, które trzeba im zapewnić.

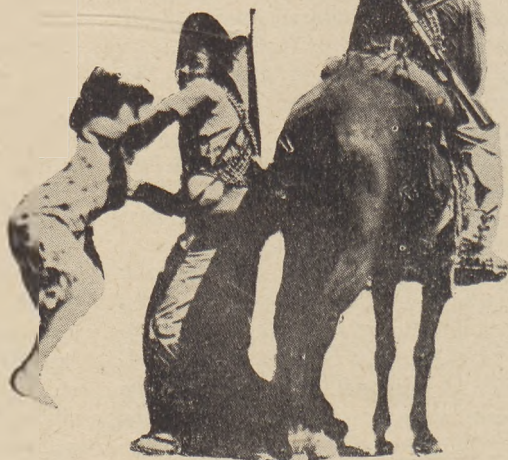
* * *

Jakie można wyciągnąć praktyczne wnioski z przytoczonych uwag?

Przede wszystkim należy od chwili powzięcia podejrzenia choroby Heine-Medina przystąpić natychmiast do leczenia. Wczesne rozpoczęcie leczenia jest warunkiem sine qua non jego skuteczności. W żadnym wypadku nie należy go przerywać i rezygnować z dalszego leczenia po „wyzdrowieniu“ klinicznym, to jest po ustąpieniu burzliwych objawów choroby. Trzeba wytrwale, cierpliwie i odważnie walczyć, aby osiągnąć jak najpełniejszą rehabilitację. Stąd wypływa konieczność tworzenia ośrodków leczniczych wyposażonych w wyszkolony personel i odpowiednią aparaturę. Jest to jeden z najważniejszych problemów medycyny społecznej.



Kartka z dziejów brazylijskiego filmu



ORTIZ RIBEIRO

PREHISTORIA filmu brazylijskiego sięga okresu pierwszej wojny światowej, to jest 1914 roku, a więc zaczyna się około 20 lat po odkryciu, dokonanym przez braci Lumière. Prymitywne filmy brazylijskie zaczęły się pojawiać w latach 1916—1920, po czym nastąpił okres ożywionego rozwoju brazylijskiej kinematografii, trwający mniej więcej do 1928—1929 r. W tym cza-

sie wyprodukowano wiele wartościowych filmów, o których zapomnieli nawet sami Brazylijczycy, a które ponownie odkryła im FilMOTECA (Archiwa Filmowe) przy Muzeum Sztuki Współczesnej w Sao Paulo.

Pod kierownictwem niejakiego pana Scherby młodzi badacze z FilMOTEKI rozpoczęli przy pomocy rządowej poszukiwania dawnych, uznanych za dziedzictwo narodowe fil-

mów, wzdłuż i wszerz całego kraju. Jedne zespoły badawcze wyruszyły na północ do Recife, inne — na samo południe do Porto Allegro, inne jeszcze zapuściły się nawet w głąb dżungli w nadziei znalezienia jakichś pudeł z zardzewiałego żelaza, kto wie, czy nie zawierających taśmy, której zawartość mogłaby wzbogacić badania nad filmem brazylijskim.

Wśród wielkich nazwisk twórców filmów niemych należy wymienić takie, jak A. Gonzague, U. Mauro, płodny filmowiec, produkujący filmy średniej jakości, P. Wanderley, L. Benedetti i inni.

W 1929 r., młody 18-letni Mario Peixoto zrealizował bezpośrednio pod wpływem dzieł surrealistów, które poznał w czasie pobytu we Francji, film „Granica”. Ten interesujący z wielu punktów widzenia film wywarł wielki wpływ na filmowców brazylijskich.

W okresie powstawania filmu dźwiękowego wzrosła u nas, tak jak wszędzie na świecie, ilość sal kinowych. Najmniejsza choćby, byle wyposażona w elektryczność miejscowość, miała swoje własne kino. Po 1950 r. ilość kin wzrosła jeszcze bardziej. W Rio de Janeiro większość kin stolicy zgrupowała się w dzielnicy, zwanej „Cine Landia” (kraj kin).

Najbogatszym eksploatatorem filmowym w Brazylii, właścicielem największej ilości kin, jest Severiano Ribeiro, który wyświetla przede wszystkim filmy amerykańskie. Jest

on ponadto właścicielem Los Studios Atlantida w Rio de Janeiro, gdzie produkuje głównie filmy muzyczne.

Ceny miejsc są zwykle dosyć niskie — 10 cruzeiros. Od pięciu lat, w miarę rozwoju kultury filmowej, publiczność staje się coraz bardziej wymagająca, nie znosi już kiczów, wygwizduje, albo oklaskuje wyświetlane filmy. Dlatego ostatnio spada ilość importowanych filmów amerykańskich, gdy tymczasem ilość filmów brazylijskich nieustannie wzrasta.

* * *

Popularność filmu brazylijskiego spowodowała, że producenci z Hollywood uznali za konieczne przedsięwziąć pewne kroki. Universal i Columbia uzyskały od rządu brazylijskiego upoważnienie na dystrybucję w całym kraju filmów wszelkiego pochodzenia, włącznie z filmami produkcji brazylijskiej.

W ten sposób, amerykańscy przedsiębiorcy, trzymając w swoich rękach ciesząc się powodzeniem filmy krajowej produkcji, odstępowały eksploatacjom tylko pod warunkiem, że wezmą oni jednocześnie całą partię pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu filmów amerykańskich. Tak więc rząd brazylijski sam stwarza niepomysłne warunki dla rodzimej produkcji filmowej.

Przemawiając na temat swojego nowego, a rujnącego planu gospodarczego, minister gospodarki O. A. Arranha oznajmił swą decyzję nakładania takich samych ceł importu-

wych na czystą błonę filmową, jak na filmy opracowane. Krok ten utrudnia przemysłowi filmowemu Brazylii sprowadzanie niezbędnego materiału.

II

Jednak od dziesięciu lat przemysł filmowy w Brazylii doskonale się rozwija, przynosząc nam tak interesujące dzieła, jak na przykład film dokumentalny, przedstawiający meeting w Sao Paulo z udziałem Luis Carlos Prestesa. Autorem jego jest zręczny operator Ruy Santos, który również stworzył film dokumentalny o Rio de Janeiro, oskarżający i piętnujący istnienie ubogich dzielnic i niezdrowych pomieszczeń stolicy.

* * *

W 1948 r. dawny awangardzista Peixoto, sfilmował dzieło Jorge Amado pt. „Estrella de Manha“ („Gwiazda Poranna“). Operatorem był Ruy Santos, a reżyserem krytyk Jonald.

W tym samym roku ekspedycja etnograficzna przywiozła od Indian Szawantów znad „rzeki zmarłych“ wzruszający kolorowy film dokumentalny „Sertao“ w realizacji G. Vasconcelosa, który potem opracował inne jeszcze filmy na ten temat. W „Sertao“ widzieliśmy nawiązywanie pierwszych kontaktów uczonych z plemionami, które nigdy dotąd nie widziały białego człowieka.

W umysłach businessmenów w Brazylii północnej coraz bardziej

dojrzewały zamiary puszczenia w ruch opartej na mocnych podstawach krajowej produkcji filmowej. Za pieniądze przebogatej rodziny Matarasso i z udziałem reżysera teatralnego Zampari (tego samego, który stworzył doskonały brazylijski Teatr Komedii i sprowadził do Brazylii artystów z mediolańskiego Piccolo Teatro) utworzono towarzystwo „Vera Cruz“ w Sao Paulo i zbudowano najnowocześniejsze studia (1948 r.).

* * *

Wówczas dyrekcja tego towarzystwa zwróciła się do Alberta Cavalcanti, syna brazylijskiej ojczyzny, który stał się sławny w filmie europejskim. Cavalcanti, dekorator, dokumentarzysta i essaysta na terenie Francji, wyemigrował następnie do Anglii, gdzie stał się jednym z mistrzów szkoły dokumentarnej, a potem zaczął produkować długometrażowe filmy dramatyczne.

Mimo tak długiego pobytu zagranicą, Cavalcanti pozostał do głębi Brazylijczykiem. Nadal podlegał wpływowi ludowej sztuki swojego kraju. Wielu zna kapliczkę w pobliżu Sens, przekształconą przez Cavalcantiego na willę, gdzie podejmował obiady, sporządzonymi według rodzimej kuchni brazylijskiej i dawał koncerty dzieł muzyki swojego kraju.

Kiedy wyładował w Sao Paulo, zaproponował towarzystwu „Vera Cruz“, aby zaczęło od produkcji przede wszystkim filmów o przeciętnej jakości i unikało pogoni za ja-

kimś wielkim osiągnięciem, bowiem prowadzi to zwykle do katastrofy gospodarczej.

Cavalcanti wyprodukował film „Caicara” (1950 r.) w realizacji Celi, „Terra i Sempreterra” (1951 r.), ale zmuszony był porzucić realizację filmu „Angela” dla pracy nad innym, ponieważ w tym czasie wystąpił ze spółki „Vera Cruz”, której dyrektorzy oceniali jego produkcję jako zbyt kosztowną.

Był to oczywiście nieudolny pretekst, gdyż Cavalcanti produkował filmy, kosztujące 4 do 5 milionów cruzeiros, gdy tymczasem jego następcy z „Vera Cruz” przekraczali 10 i 12 milionów. Tyle bowiem kosztował „O’Cangaceiro” w realizacji Lima Barreto, świetnego znawcy dzieł niemieckiego filmowca Murnau’a, autora filmów dokumentarycznych, w tym jednego o „Tiradentes” (1949 r.) — bohatera walk wolnościowych Brazylii (według fresku Portinariego, laureata nagrody na II Światowym Kongresie Obronców Pokoju w Warszawie w 1950 r.).

* * *

Film „O’Cangaceiro” otrzymał nagrodę międzynarodową w dziale filmów awanturniczych na Festiwalu w Cannes w 1953 r. Jest to film bardzo żywy i ciekawy pod względem technicznym, pełen temperamentu. Szczególnie wryć się musi w pamięć scena przedstawiająca atak bandytów na wioskę.

W 1951 r. prezydent republiki Brazylii spotkał Cavalcantiego i polecił mu przestudiowanie projektu utwo-

żenia Narodowego Instytutu Kine-matografii. Specjalna komisja śle-czała przez cały rok nad wypracowa-niem zadań organu, mającego mieścić jednocześnie dyrekcję admi-nistracyjną filmu, szkołę techniczną, filмотекę i ośrodek kulturalny.

Wielokrotnie przerabiany projekt utkwiał ostatecznie w parlamencie w Rio de Janeiro. Cavalcanti, zwątpiwszy w państwo i w przedsiębiorstwo „Vera Cruz”, utworzył własną spółkę i własne studia w Sao Paulo, którymi dzisiaj kieruje.

Film brazylijski zaczął również odnosić sukcesy zagranicą. Tak więc na ostatnim festiwalu filmowym w Wenecji film „Sinha Moca” (1952 r.) w realizacji Toma Payne, Argentyńczyka z pochodzenia, mieszkającego i pracującego w Anglii, ujawnił talenty zespołu artystów murzyńskich, wśród nich zaś bardzo inteligentnej i kulturalnej Ruth de Suza, która o mały włos nie otrzymała nagrody za najlepszą kreację aktorską.

Ale jury, ulegając naciskowi, przyznały pierwszeństwo artystce włoskiej i film brazylijski musiał się zadowolić nagrodą za realizację. Mimo tych sukcesów, pod naporem konkurencji hollywoodzkiej „Vera Cruz” przechodzi okres chwilowego kryzysu i zamyka swoje studia w tym czasie, kiedy miasto Sao Paulo zorganizowało dla uczczenia swojego czterechsetlecia Międzynarodowy Festiwal Filmowy.

W Rio de Janeiro występuje ostatnio skromna grupa aktorów filmo-

wych, których gra, utrzymana w prostym, neo-realistycznym stylu, wzbudza wielkie zainteresowanie. Na czele tej grupy stoi Alex Viany, którego komedia pt. „Igła w stogu siana“ cieszyła się dużym powodzeniem. Z grupą tą współpracuje również Wanderley, weteran filmu niemego.

Najbardziej świadomi spośród brazylijskich filmowców są przeświadczeni, że jednym ze sposobów zdobycia trwałego uznania dla filmów ich

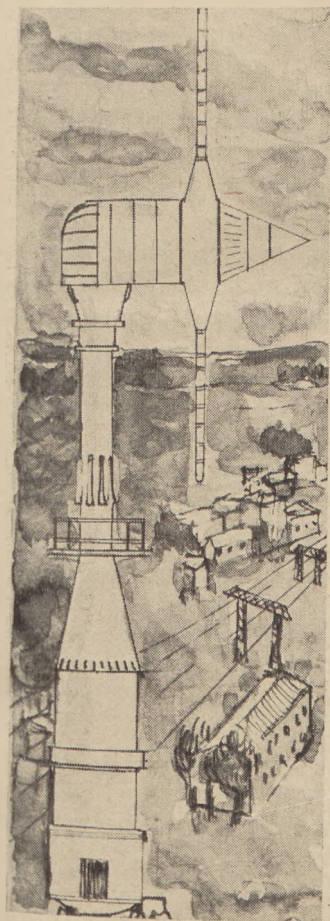
kraju jest zapewnienie, by ich treść odbijała zawsze życie narodu.

Ze swoimi ośmioma i pół milionami kilometrów kwadratowych powierzchni, ze swymi najrozmaitszymi klimatami, najróżniejszymi typami ludzkimi, wykorzystując krajobrazy, nieznane nawet samym Brazylijczykom, ze swoją tradycją walki o niepodległość i emancypację, ze swoim inteligentnym i z instynktu artystycznym narodem — Brazylia zdolna jest tworzyć najciekawsze na świecie filmy i potrafi to osiągnąć.



SWIATŁO Z POWIETRZA

LINDSAY FARR



JAKKOLWIEK może się to wydać zdumiewające, w wielu krajach powraca się dziś do budowy wiatraków. Nie chodzi tu jednak o dawne wiatraki, które znamy z książek naszego dzieciństwa lub z opuszczonych ruin, spotykanych w niektórych okolicach. Nie ma już mowy o tych strachach z szeroko rozłożonymi ramionami, które przerażały Don Kiszota i w których cieniu drzemał młynarz.

Minęła epoka młynów zbożowych, a wiatraki budowane dziś w niektórych krajach są całkowicie odmiennego typu. Zadaniem ich jest wykorzystywanie energii „oceanu powietrznego” i przekształcanie jej w energię elektryczną, która da światło domom i napęd maszynom. Dzisiejszy wiatrak nie dostarcza już chleba, lecz elektryczności.

Grupy ekspertów w Stanach Zjednoczonych, Danii, Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckim od dawna już zbudowały motory poruszane siłą wiatru i w dalszym ciągu prowadzą badania nad wykorzystaniem tej siły — przekształconej w energię elektryczną — dla celów przemysłowych. Jednym z głównych powodów podejmowania tych prób jest fakt, że niektóre z tych krajów nie będą dość bogate by importować paliwo pod postacią węgla lub ropy naftowej, usiłują poprzez wykorzystanie siły wiatru zastąpić, względnie uzupełnić inne źródła energii napędowej.

W początkach XX wieku rząd duński sfinansował szereg doświadczeń nad siłą napędową wiatru. W latach 1900—1910 zbudowano kilkaset motorów powietrznych o sile od 3 do 30 kilowatów. Używano ich bądź to do częściowego zaopatrywania w energię elektryczną dużych gospodarstw wiejskich, bądź też do ułatwienia elektryfikacji wsi. Motory te nabijały akumulatory, a w dniach bezwietrznych uruchamiano małe silniki naftowe. Pracowały one już około 25 lub 30 lat, gdy zaczęto je zastępować transformatorami wysokiego napięcia. Dziś jednak, gdy elektryczność stała się w Danii podstawowym źródłem energii, okazało się konieczne zapewnienie stałego jej dopływu. Wobec wysokich cen węgla i trudności importowych, Duńczycy powrócili do badań nad racjonalnym wykorzystaniem siły wiatru. Można by nawet powiedzieć, że wiatr jest jedynym godnym uwagi źródłem energii naturalnej w Danii.

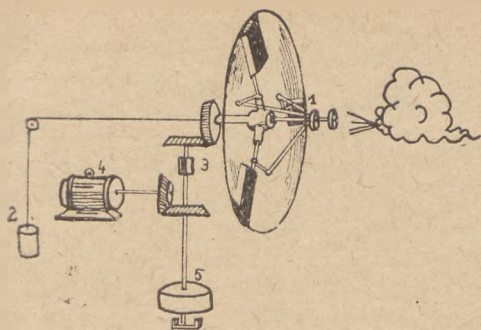
W ostatnich latach Towarzystwo Elektryczne South East Zealand zbudowało doświadczalny motor powietrzny. Wkrótce uruchomi się większe urządzenia tego typu. Powstaną na wschodnim wybrzeżu w dostatecznej ilości, by zapewnić Danii 60 do 70% potrzebnej energii elektrycznej.

We Włoszech rozpoczęto podobne badania w 1940 r. We Francji zbudowano ponad 100 takich urządzeń rozmaitych typów, zarówno w samym kraju, jak też w Afryce Północnej i różnych koloniach. Pierwsze próby wykazały, że najlepsze rezultaty osiągnięto—wzdłuż wybrze-

ża Morza Śródziemnego, wzdłuż granicy hiszpańskiej, przy ujściu Rodanu, w Bretanii i wzdłuż wybrzeża północnego koło granicy belgijskiej. Istnieje również specjalne urządzenie na szczycie wieży Eiffla w Paryżu, które służy do mierzenia szybkości wiatru.

Największy zbudowany dotąd motor powietrzny powstał w Stanach Zjednoczonych podczas ostatniej wojny i miał on ponoć moc 1250 kilowatów. Jednakże, gdy działał już przez trzy tygodnie, nagły huragan wstrząsnął wieżą tak, iż jedno z olbrzymich skrzydeł złamało się pod naciskiem fal powietrza.

W Związku Radzieckim, gdzie oblicza się, że siła wiatru na całej przestrzeni kraju mogłaby dostarczyć do 30 miliardów kilowato-godzin (71% wszystkich innych rodzajów energii), zbudowano szereg różnych motorów powietrznych o wydajności od 30 do 100 kilowatów. Śmigła tych motorów nie wykorzystują już tylko 8 do 10% siły wiatru, jak dawne wiatraki, lecz 30 do 40%, a wydajność ich jest bliska wydajności najlepszych motorów cieplnych. Opracowano projekty urządzeń o olbrzymiej mocy, przewidujące budowę prawdziwych elektrowni o wydajności 100 tys. kilowatów i składających się z 225 turbin powietrznych o średnicy 25 metrów. Instytut Mechanizacji Rolnictwa przewiduje zbudowanie w ciągu najbliższych 10 lat półtora miliona turbin powietrznych o łącznej mocy 20 milionów kilowatów.



Schemat koła powietrznego w Kursku. Gdy wiatr jest bardzo silny, śmigi przesuwają nasadkę 1, która podnosi ciężar 2. Koło pociąga za sobą przy pomocy systemu kół zębatych i łącznika 3, prądnica 4 i koło rozpędowe 5.

W tej chwili pierwsza radziecka elektrownia powietrzna, zbudowana w 1930 r. w Kursku, obsługuje sieć oświetleniową, a wahania siły wiatru są w niej wyrównywane akumulacją przy pomocy wodoru: część prądu produkowanego przez elektrownię w czasie silnego wiatru służy do rozkładania wody; gromadzący się wodór zasila rezerwowy motor, który działa w okresach bezwietrznych. W ten sposób rozwiązano zagadnienie akumulacji energii wiatru, będące jednym z najważniejszych problemów w tej dziedzinie.

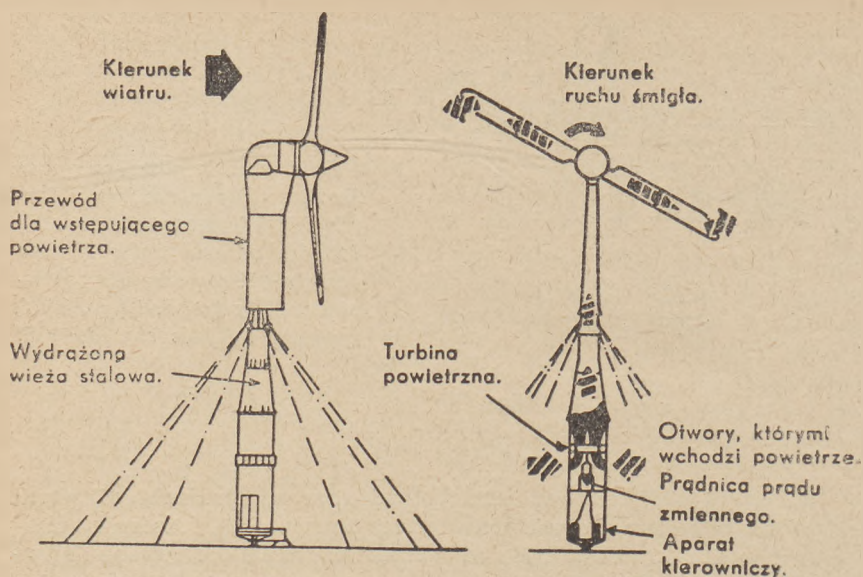
MOTOR POWIETRZNY NOWEGO TYPU

W specjalnym angielskim ośrodku badawczym w Saint-Alban można dziś zobaczyć pierwszy „motor powietrzny” zupełnie nowego typu. Na razie wiatrak ten przechodzi pierwsze próby. Wygląda jak olbrzymie, srebrzyste śmigło samolotu zmontowane na 31-metrowej wieży.

Zbudowane na zasadach odkrytych przez Francuza M. Andreau, urządzenie to zostało opracowane i skonstruowane przez techników angielskich po 5 latach doświadczeń.

Ten nowoczesny wiatrak nie ma nic wspólnego z tradycyjnym, ciężkim wiatrakiem, podobnym do wieży wyposażonej w żagle. Wszystko tu jest aerodynamiczne i wiatrak wznosi się na swej metalowej łodydze, jak wbity w ziemię samolot. Dla technika motor ten różni się całkowicie od typu klasycznego tym, że siły napędowej nie dostarczają skrzydła wiatraka, kręcące się w zależności od wiatru; siła ta pochodzi od potężnego prądu powietrznego wysanego przez stalową wieżę na wysokości około 8 metrów od powierzchni ziemi. Ssanie to powstaje na skutek depresji wywołanej na szczycie wieży podczas obrotu śmigieł.

Śmigła są wewnątrz puste; gdy kręcą się pod wpływem wiatru, znajdujące się w nich powietrze, wsysa-



Schemat wiatraka w St.—Alban

ne dzięki sile odśrodkowej, wydobywa się przez otwory na końcach śmigieł i tworzy na szczycie wieży depresję powietrzną. Depresja ta wywołuje z kolei gwałtowne ssanie wzdłuż stalowej rury. To właśnie ssanie i wywołany przez nie silny prąd powietrza, porusza turbinę umieszczoną w połowie wysokości wieży.

Angielski „motor powietrzny“ jest obliczony na produkcję 100 kilowatów energii elektrycznej przy szybkości wiatru 48 km. na godzinę. W porównaniu do klasycznych wiatra-

ków produkujących energię elektryczną nowe to urządzenie ma tę zaletę, że turbina nie znajduje się na szczycie wieży. To bowiem właśnie powoduje, że większość powietrznych motorów elektrycznych, zbudowanych w Europie, nie daje więcej mocy niż 10—15, a maksymalnie 20 kilowatów.

Ponadto Anglicy założyli na wyspach Orkney Ośrodek Badań Siły Napędowej Wiatru, gdzie zamierza się zbudować prądnicę o mocy 100 kilowatów, której produkcja zostałaby włączona do istniejącej już na

wyspie. Wschodnie wybrzeża Anglii zaliczają się do najbardziej wietrznych miejsc na świecie i eksperci twierdzą, iż w dniach burzliwych na wysokości kilkuset metrów nad powierzchnią ziemi miliony koni parowych przesuwają się pod postacią energii wietrznej.

Ogłoszony przed dwoma laty raport Związku Ośrodków Badawczych Angielskiego Przemysłu Elektrycznego stwierdzał, że siła wiatru w Anglii mogłaby produkować w przybliżeniu od 3750 tys. do 7500 tys. kilowato-godzin energii elektrycznej. Przyniosłoby to oszczędność 2 do 4 milionów ton węgla.

Jak z tego wynika, energia napędowa wiatru ma wielkie znaczenie gospodarcze. Nic nie kosztuje, a przy tym jest niewyczerpana. Ma jednak pewne braki, które należałoby usunąć, jeżeli miałaby ona stanowić racjonalne źródło energii elektrycznej. Specjalista angielski E. W. Golding podkreślił dwa główne jej braki:

1) niewielka ilość energii produkowana przez jednostkę objętości powietrza,

2) niemożność liczenia na istnienie wiatru w każdej określonej chwili.

Oba te braki zmuszają do założenia akumulatorów magazynujących energię elektryczną na okresy bezwietrzne. Urządzenia takie byłyby dosyć kosztowne. E. W. Golding uważa, w związku z tym, że nie należałoby używać akumulatorów dla produkcji na wielką skalę i że energię wiatru należy wykorzystać tylko wówczas, gdy jest to możliwe. W celu osiągnięcia jak największej wydajności nowe motory powietrzne winny być ustawiane w miejscach, gdzie często wieją wiatry i położonych możliwie blisko istniejących już źródeł energii elektrycznej. Ten sam ekspert angielski obliczył, że w tych warunkach energia elektryczna produkowana w Anglii przez siłę wiatru mogłaby kosztować od 0.56 franka do 0.77 franka za kilowatogodzinę, co jest ceną raczej dość niską w porównaniu do ceny kilowatogodziny produkowanej przez elektrownię ciepłą (0.95 franka).

Odbiegliśmy więc bardzo daleko od żaglowców podległych kaprysom wiatrów. Czy energia powietrzna będzie jutro poruszała najpotężniejsze maszyny w ośrodkach przemysłowych?



CZY ISTNIEJE CZŁOWIEK — MAŁPA ?



TULLIO SEPILLI

asystent przy katedrze etnologii na Uniwersytecie w Rzymie

SĄ to ślady ludzkie, lecz tak ogromne, że nie mogą pochodzić od istot takich jak my... „Człowiek niezwykle rozmiarów, którego ciało pokrywało brunatne uwłosienie... stanął na chwilę nieruchomo przed nami i nagle znikł wśród skał“. „Zachowałem kilka włosów z głowy Śnieżnego Człowieka, które dostałem od zakonników z klasztoru zagubionego gdzieś na wysokości 3 000 metrów...“

Tak mówią biali badacze oraz tragarze i tubylcy z tych okolic Tybetu, gdzie, jak głosi wieść, żyje potworny Śnieżny Człowiek w niedo-

stępnych dolinach, dokąd zapuszczają się jedynie pasterze i mnisi klasztorów. Śnieżny Człowiek to jakby „półczłowiek“, którego przyroda zagnała w te niegościnnie okolice.

Od czasu do czasu jakaś ekspedycja angielska lub hinduska usiłując wyjaśnić tajemnicę istnienia Śnieżnego Człowieka przygotowuje konieczne środki na wypadek, gdyby udało się go schwycić.

Tymczasem na jednej z plantacji malajskich wynurzyły się z puszczy niezwykle istoty podobne do ludzi, tylko znacznie większe i pokryte gęstym owłosieniem. „Porozumiewa-

ją się gestykulacją i wydają dziwne gardłowe dźwięki. Kiedy spostrzegli nasze strzelby wymierzone w nich pograżyli się z powrotem w gęstwinę ogarnięci przerażeniem“.

Etnolodzy południowo-wschodniej Azji mieliby zapewne wiele do powiedzenia na temat autentyczności tej historii. Nie ulega jednakże wątpliwości, że publikacje, które ukazały się w dziennikach zarówno o Śnieżnym Człowieku jak i o Człowieku Małpie z Malajów musiały wywołać silne wrażenie na czytelnikach na myśl o biednych krewnych, skazanych na życie w stanie dzikim i to prawdopodobnie na zawsze. Każdy z nas żywi zapewne wobec nich jakieś niejasne uczucia sympatii i jakby poczucie winy.

Wiara w opowieści tego rodzaju jest bardzo stara i ilekroć biały człowiek odkrywał ludzi nieznaney mu rasy, tworzył zawsze mniej lub bardziej fantastyczne legendy.

W ostatnim stuleciu odkrycia naukowe w dziedzinie ewolucji biologicznej wykazały, że różne gatunki zwierząt, aż do najbardziej skomplikowanych, wywodzą się przez stałe różnicowanie od wspólnego przodka, który żył w najdawniejszych epokach na ziemi. Najnowsze poszukiwania w tej dziedzinie dotyczą ustalania odległości, dzielącej naszych przodków od przodków dzisiejszych małp człekokształtnych (goryłów, szympanсів, orangutanów).

Tak więc wiara w istnienie ludzi, pokrytych długim włosiem i żyjących

w dzikich okolicach w stanie zwierzęcym, u ludzi nie znających zagadnienia znajduje rzekome potwierdzenie w nowych teoriach naukowych.

Te na wpół fantastyczne istoty wydają się przeżytkami nie wiadomo dlaczego spóźnionymi z odległej epoki, w której żyli nasi pierwsi przodkowie i w której rodzaj ludzki tak mało różnił się od małp człekokształtnych.

Rzeczą naukowców jest stwierdzić, czy Śnieżny Człowiek i jeszcze bardziej fantastyczny Człowiek Małpa z Malajów istnieją naprawdę. Nie wylaże nam się to prawdopodobne i nie ma wcale pewności, czy ich poszukiwania uwierczy jakiś sukces. Wydaje się natomiast, że będziemy poznawać coraz lepiej zagadnienie, o którym mówimy, a mianowicie zagadnienie ewolucji człowieka, jego postępującego zróżnicowania od przodków wielkiej małpy współczesnej.

Każda epoka pozostawia swoje ślady na skorupie ziemskiej i nowymi materiałami wzbogaca już istniejące. Tak więc, aby rozświetlić tajemnice przeszłości, by dotrzeć do najbardziej odległych początków, człowiek poszukuje resztek szkieletów, śladów ich kroków, szczątków narzędzi kamiennych lub z kości, którymi się posługiwali. W ten sposób może on odtworzyć swoją historię, zbadać jej bieg.

* * *

Możemy powiedzieć, że pierwszy etap tej historii przypada na miliony lat przed nami, na epokę względnie

niedawną, zważywszy, że cały proces rozwoju biologicznego trwał dwa miliardy lat.

Z wykopalisk pochodzących z tej epoki, prowadzonych przez paleontologów, wynika, że w Azji, Europie i Afryce żyły wtedy istoty, które możemy uważać z całą pewnością za wspólnych przodków małpy człekokształtnej i człowieka.

Plemiona koczownicze, zamieszkujące puszcze, które stopniowo cofały się na skutek zmian klimatycznych, wydają się na pierwszy rzut oka bardzo podobne do dzisiejszych małp człekokształtnych. Ale okazało się, że to pierwsze wrażenie jest pozbawione podstaw. Tym niemniej otwiera nam ono szersze możliwości dla poszukiwań.

W jakich okolicach, wśród jakich grup zwierząt można znaleźć prawdziwe początki rodu ludzkiego? Te go jeszcze nie wiemy. Poszukiwania przeprowadzane dotychczas są jeszcze ciągle zbyt fragmentaryczne. Pewne jest, że w pewnych okolicach starego kontynentu warunki życia — szczególnie sposób reagowania na wpływy otoczenia — doprowadziły pewną grupę do pełnego ucłowieczenia. Jednocześnie inne grupy najprawdopodobniej wyginęły. Jeszcze inne dały początek linii rozwojowej dzisiejszych goryli, szimpansów i orangutanów.

To ucłowieczenie następowało zapewne dość szybko, jeśli weźmiemy pod uwagę, że najstarsze szczątki istot z pewnością ludzkich, które odnaleziono na terenach tak bardzo odległych od siebie jak Chiny, Japonia, Kenia i Niemcy pochodzą prawie sprzed pół miliona lat. Je-

steśmy teraz w posiadaniu nie tylko resztek szkieletów, pozwalających na odtworzenie ich wyglądu fizycznego, ale również pierwotnych narzędzi kamiennych, śladów ognisk, świadczących, że znali oni ogień, gotowali pożywienie i umieli polować na liczne zwierzęta, które dziś nie istnieją, lub których gatunek uległ głębokim przeobrażeniom.

Ci pierwotni ludzie, których cechował słabo rozwinięty mózg, brak podbródka jak u małp i potężny szkielet, lecz którzy osiągnęli już postawę stojącą, żyli w zorganizowanych grupach, zajmując się polowaniem i zbieraniem przypadkowych produktów roślinnych.

* * *

Przed 180.000 do 60.000 laty żyła i rozwijała się wielka i zdobywcza rasa. Cofnięte czoło, ogromne wystające łuki brwiowe, potężne szczęki i brak podbródka oto zasadnicze oechy, które różniły ją całkowicie od nas.

Ich krewni w bocznej linii, którzy zróżnicowali się w stosunku do nich przeszło 250.000 lat temu, zapoczątkowali rozwój kultury ludzkiej.

Szczątki, które odnaleźliśmy, świadczą, że znali oni sposoby obróbki kamienia i wskazują przede wszystkim na bardzo wyraźny postęp w rozwoju inteligencji. Po raz pierwszy pojawiają się liczne i pewne dowody wierzeń w życie pozagrobowe i równocześnie dowody istnienia ludzkości.

Ale przed 60 000 laty z przyczyn jeszcze dostatecznie nie wyjaśnionych nasi „kuzyni“ — tak ich naz-

wiemy — zniknęli, podczas gdy in-na gałąź ludzka zaczęła się umac-niać, gałąź **Homo Sapiens**, naszych bezpośrednich przodków, z których wywodzą się wszystkie dzisiejsze ludzkie rasy.

Mamy do czynienia odąd z isto-tami prawie podobnymi do nas. Jest to epoka wielkiego rozwoju kultury. Człowiek nauczył się walczyć z przyrodą, przeżył okresy lodowcowe, które spadły na niego, jak cztery ogromne fale zimna i lodu, trwające wiele dziesiątków tysięcy lat. Tech-nika polowania i zbioru plonów dos-konała się, obróbka kamienia, ko-ści, rogu, kości słoniowej, rozwijała się coraz bardziej. Wierzenia magicz-no-religijne osiągnęły wysoki stopień rozwoju, jak świadczą o tym malo-widła i rzeźby odnalezione na ścia-nach grot zdobionych około 25 000 lat temu. Wraz z ludźmi tej epoki społeczeństwo przedhistorycznych myśliwych osiąga swój najwyższy poziom rozwoju i tak złożoną budo-wę, jakiej dotąd jeszcze nie miało.

Tu i ówdzie na świecie pojawia się jutrzienka nowej historii: baza ekonomiczna społeczeństwa zmienia się zasadniczo przez zapoczątkowanie uprawy roli i hodowli zwierząt. Wraz z rozwojem ceramiki rodzą się nowe sposoby obróbki kamienia. Doskonali się wyrób tkanin. Budowa chat jest trwalsza. Życie narzuca stale nowe problemy. Wynaleziono sposoby ob-

róbki miedzi, cyny, brązu i wreszcie żelaza. Rozwój rolnictwa skłania lu-dzi do osiedlania się nad brzegami rzek, które umożliwiają im prowa-dzenie robót nawadniających. Sku-piska te powiązane są między sobą silnymi więzami handlowymi. Każdy krok naprzód pociąga za sobą szybki postęp cywilizacji.

Jesteśmy w pełni rozwoju naszej historii. Tworzą się państwa oparte na pracy niewolników.

* * *

Możliwe jest, że Śnieżny Człowiek i Człowiek Małpa z Malajów są po prostu małpami człekokształtnymi lub niedźwiedziami brunatnymi opi-sanymi już w książkach naukowych i że bujna wyobraźnia ludzi, którzy je widzieli, przyczyniła się do pow-stania tych legend.

Jest także możliwe, że kilku na-szych przodków, doszedłszy już do pewnego stadium rozwoju żyje w odosobnieniu w tych okolicach, które dopiero teraz badamy.

Hipoteza ta jest możliwa, ale nie pewna.

Niemniej historia, którą wam tu opowiedziałem, w swych ogólnych zarysach jest prawdziwą historią człowieka, niezwykle ciekawą histo-rią zwierzęcia, któremu udało się po-znać prawa przyrody, przeobrazić świat i siebie samego zarazem.

Zasłona

Nowelka YASHPALA

C HAUDHURI PIRBUX, jego braciom i krewnym leżało na sercu stałe utrzymywanie na wysokim poziomie prestiżu swej rodziny. Nawet znalazłszy się w najpotworniejszej nędzy, gardzili pracą fizyczną i kontynuowali z godnością wykonywanie swych szacownych obowiązków pisarzy kancelaryjnych, skrupulatnie przestrzegając profesjonalnego rytuału dekoracyjnego. Byli niezwykle dumni ze swego dziadka Chaudhuri Khudabux, któremu sąsiedzi uroczyście nadali tytuł Chaudhuri — naczelnika plemienia.

Chaudhuri Khudabux, którego tytułowano Inspektorem, osiągnął wysokie stanowisko podinspektora w urzędzie celnym. Miał pokaźne dochody, zbudował sobie duży dom. Jego dwaj synowie uzyskali dość znaczne jak na owe czasy wykształcenie: ojciec naszego Chaudhuri Pir-

buxa oraz jego stryj otrzymali świadectwa ukończenia nauki i objęli stanowiska urzędnicze przy rządzie. Następnie w wieku ustalonym przez tradycję zostali pożenieni przez swego ojca. Czcigodnej rodzinie Chaudhuri Khudabux powodziło się oczywiście jak najlepiej, tylko młodzie ludzkie nie mieli wystarczającego uposażenia i nigdy nie awansowali.

Stary Chaudhuri często wspominał dobre stare czasy, kiedy to uczniowie po ukończeniu ósmego stopnia nauki uzyskiwali automatycznie posady podurzędnicze i pracowali doskonale. „Dziś“, powtarzał często „należyte wykształcenie nie jest już na wagę złota. Nawet po zdaniu egzaminów dziesiątego stopnia z języka angielskiego młodzi ludzie nie przekraczają wartości dwudziestu do dwudziestu pięciu rupii miesięcznie“. I aż do śmierci nie doczekał się satysfakcji, by jego synowie dobrze za-

rabiali. Jednakże, wyjąwszy ten przypadek, Bóg okazał miłosierdzie rodzinie Chaudhuri. Ognisko rodzinne starszego syna inspektora, Chaudhuri Fazal Kurbana, który pracował w kolejnictwie, wzbogaciło się o czterech synów i trzy córki, a syn młodszy, Chaudhuri Ilahi Kurban, który pracował na poczcie, również został uprzywilejowany przyjściem na świat czterech synów i dwóch córek.

Członkowie rodziny Chaudhuri mówili na swój dom „nasz pałac“, jednakże wspinały ten tytuł nie posiadając mocy rozmnażania ilości izb. Za życia inspektora mieszkanie składało się z dwu części: „haremu“, do którego żaden obcy mężczyzna nie miał dostępu, i „Baithaku“ — salonu, w którym przyjmowano gości. Po przejściu na emeryturę starzec spędzał swe ostatnie dni siedząc na wierzbowym taborecie i pałac margile. Ale gdy odszedł, rodzina znowu powiększyła się o nowych członków, a salon „przyjęć“ — luksus arystokratyczny — który ze względu na swój charakter, przeznaczony był wyłącznie dla mężczyzn, musiał służyć matkom oraz ich dzieciom. Mimo to okazało się, że dom był jeszcze zbyt mały.

Wkrótce kobiety musiały zająć living-room i, by stało się zadość przyzwoitości, rodzina została zmuszona zawiesić zasłonę przy drzwiach wejściowych. I jako że prestiż rodzinny trzeba było utrzymać, zwykłej zasłony z grubego płótna pako-

i powagi, wszyscy jednakże starali się w miarę możliwości zaspokajać potrzeby tylko swych najbliższych. Oczywiście problem zasłony przy drzwiach wejściowych, a przede wszystkim wydatek związany z taką zasłoną, stał się przedmiotem kłótni. Wreszcie postanowiono, że dywaniki z różnobarwnej bawełny, sięgające czasów inspektora i będące wspólną własnością całej rodziny, posłużą jako zasłony.

Gdy synowie trzeciego pokolenia pożenili się, a ich żony zamieszkały z nimi i dały życie nowym dzieciom, „pałacyk“ napęczniał do ostatnich granic. Rodzina nie mogła dłużej mieszkać w podobnych warunkach. Rozerwała się wreszcie i różni jej członkowie wyemigrowali do mniejszych mieszkań. Starszy syn Chaudhuri Ilahi Kurbana otrzymał świadectwo ukończenia szkoły oraz posadę za 20 rupii miesięcznie w administracji poczty; drugi syn nie mógł kontynuować nauki ponad ósmy stopień i zadowolił się skromniejszą pracą w szpitalu. Trzeci syn odznaczał się niezwykłą inteligencją. Uzyskał stypendium i wybił się do wysokości zaszczytnego stanowiska nauczyciela szkoły wiejskiej. Czwarty, Pirbux, nie mógł uczyć się ponad piąty stopień. Miesięczne opłaty szkolne, wydatki na książki, papier, mapy i tysiące innych drobiazgów, wszystkie koszty kształcenia ciężko przytłaczały teraz rodzinę. A zresztą, na co się to wszystko przyda?

Chaudhuri Pirbux został ożeniony w wieku ustanowionym przez obyczaje i z Bożej łaski jego związek małżeński wkrótce pobołogosławiły narodziny dziecka. Pirbux otrzymał

wysoki stopień godności rodzinnej zostając pisarzem w fabryce oleju. Jego uposażenie w wysokości piętnastu rupii miesięcznie było dość niskie, ponieważ wynosiło mniej niż wynagrodzenie za „wulgarną pracę fizyczną, lecz fakt ten nie brukał prestiżu rodziny. I on również musiał opuścić duży dom, by zamieszkać w małym domku podmiejskim, ulepionym z suszonego mułu. Komorne nie było wygórowane, dwie rupie miesięcznie. W sąsiedztwie mieszkali tylko bardzo biedni rzemieślnicy i robotnicy niewykwalifikowani. Ulica nie była brukowana. Woda miejskiej fontanny znajdującej się w górnej części ulicy stale uciekała i wąski strumyk brudnej cieczy wił się zygzakami poprzez garby i zakręty ulicy, wśród chmury nieustannie brzęczących much i komarów. Przed domem Pirbuxa praczka, p. Ramizani, gotowała brudną bieleznę w kotle, a opary sody kaustycznej ciągle otaczały budynki. Na prawo od domu z suszonego mułu mieszkali biedni szewcy, którzy z cuchnącej na pół garbowanej skóry robili obuwie według starych fasonów. Na lewo robotnicy niewykwalifikowani żyli w okropnościach straszliwej nędzy.

Chaudhuri Pirbux był jedynym w całej dzielnicy człowiekiem znającym sztukę czytania i pisania. Tylko on próbował ubierać się „po pańsku“ i tylko w jego domu wisiała przy drzwiach zasłona. Zwracano się do niego per Chaudhuri — naczelnik plemienia lub pan — i wszyscy klaniaли mu się na ulicy. Kobiety należące do jego rodziny nie wychodziły nigdy. Bogu dzięki małżeństwo

jego zostało powtórnie pobłogosławione przyjściem na świat dalszych dzieci, ale wszystkie te dzieci były dziewczętami. Aż do wieku czterech czy pięciu lat dziewczynki wychodziły z domu, by sobie pobiegać, lecz gdy podrosły, musiały pozostawać u siebie jak w klasztorze. Teraz już nie byłoby przyzwyczajone, gdyby wychodziły i Chaudhuri Pirbux sam musiał chodzić z konwiami po wodę do miejskiego źródła, ukrywając za wymuszonym uśmiechem zażenowanie, którego doznawał w czasie wykonywania tej niegodnej pracy.

Po piętnastu latach pilnej służby Chaudhuri Pirbux uzyskał podwyżkę uposażenia do wysokości 25 rupii miesięcznie. Oczywiście Bóg okazywał mu swe miłosierdzie, ale raczej w postaci licznego potomstwa niż stosów pieniędzy. W ciągu piętnastu lat miał najpierw trzy córki, a potem dwóch synów. Z okazji przyjścia na świat drugiej córki matka Pirbuxa przybyła, by pomóc swej synowej. A ponieważ mąż jej umarł i żaden inny syn nie zaproponował jej jeszcze opieki — staruszka pozostała u Pirbuxa. W domu pełnym dzieci powstają wszelkiego rodzaju drobne zmartwienia i kłopoty: to jakieś dziecko zachoruje, to matka musi położyć się do łóżka. W podobnych wypadkach zachodzi potrzeba pożyczania pieniędzy. W licznej rodzinie długów nie da się uniknąć. W poważnych przedsiębiorstwach dzień wypłaty jest ściśle określony. Chaudhuri Pirbux otrzymywał pensję regularnie siódmego każdego miesiąca, ale dyrektor fabryki z zasady przeciwstawiał się wypłacaniu zaliczek na uposażenie,

które tolerował jedynie w bardzo rzadkich wypadkach.

Z tej przyczyny Pirbux musiał w momentach krytycznych uciekać się do pomocy lombardu. I, rzecz prosta, ponieważ procenty zwiększały zadłużenie, przedmiot zdeponowany nigdy nie wracał do swego właściciela. Ale Chaudhuri Pirbux utrzymywał swój prestiż w dzielnicy, a w utrzymywaniu tego prestiżu pomagała zasłona zawieszona przy drzwiach domu. Bez względu na to, co działo się w samym domu, zasłona pozostawała nietknięta. Jeśli czasami niewinne dzieci lub zuchwała burza dziurawiły ją, to z wnętrza domu pojawiały się wprawne ręce, by ją natychmiast naprawić. Stopniowo stare drzwi domu z suszonego mułu zaczynały rozpadać się w kawałki; futryna trzaskała. Ale gospodarz kpił sobie z tego. Gdy Chaudhuri miał odwagę uskarżania się, spotykała go zwykle następująca grubiańska odpowiedź: „Ale weź pan pod uwagę, co pan płaci; dwie rupie, zaledwie dwie rupie miesięcznie i w dodatku nigdy nie płaci mi pan na czas. Od sześciu miesięcy zalega mi pan z komornym. A zresztą wie pan, ile dziś kosztuje drzewo. Jeśli panu nie podoba się mieszkanie, to się pan wynoś!” Pewnego dnia drzwi urwały się. Chaudhuri z obawy przed złodziejami co wieczór opierał urwane drzwi o futrynę. Mimo całej powagi, jaką cieszył się w dzielnicy, Chaudhuri nie posiadał żadnego przedmiotu wartościowego, który by mógł skusić złodzieja; nie miał nawet całego ubrania czy czegośkolwiek innego. Tak czy inaczej złodziej jest złodziejem, więc nawet

gdy nie mamy nic do stracenia, borykamy się go.

Chaudhuri o wiele więcej myślał o ratowaniu swej powagi niż przedmiotów domowych i wobec braku drzwi zasłona stała się teraz jedynym strażnikiem jego prestiżu. Ale z kolei niszczyła się i zasłona. Pewnej nocy gwałtowna burza uszkodziła ją ponad wszelką możliwość naprawy.

Chaudhuri uratował jedną jedyną relikwię z okresu złotego wieku swe go dziadka: jeden z wielobarwnych dywaników bawełnianych. Sąsiedzi byli zdziwieni tą ekstrawagancją i pytali go: „Ale po cóż niszczy pan tak wartościową rzecz? Dlaczego nie weźmie pan kawałka zwyczajnego płótna pakowego? Byłoby tak samo użyteczne, a znacznie tańsze”. Chaudhuri dobrze znał cenę zwykłej zasłony. Upewniał się co do tego kilkakrotnie na rynku.

Wiedział również, że nie może sobie pozwolić na wydanie pół rupii na taką zasłonę. Wysłuchiwał z uśmiechem przyjacielskich rad swych sąsiadów i odpowiadał: „To nie jest ważne. Wiecie, że w naszym pałacyku używa się zawsze dywanów jako zasłon”.

Po wojnie ceny tkanin wzrosły błyskawicznie. Odzież tysiąc razy czerwana zaczęła na pięciu kobietach domu Chaudhuri rozpadać się w kawałki, niby kora na starych drzewach. A Chaudhuri, któremu nędzne uposażenie pozwalało zaledwie na jeden posiłek dziennie dla wszystkich domowników, nie mógł im kupić sukien. Brak odpowiedniej odzieży nie szkodził zresztą bynaj-

mniej ich dobrej opinii, ponieważ nigdy nie wychodziły poza zasłonę. Chaudhuri natomiast musiał mieć ubranie, bo wychodził do pracy. Przedłużał istnienie swej koszuli i spodni naszywając łaty, w ten sposób, aby materiał mógł je utrzymać. Jednakże nastał dzień, w którym musiał dokonać okazynego kupna spodni i koszuli.

Gdy nie ma niczego więcej, co można by było zastawić, trzeba zdecydować się na pójście do chana, lichwiarza. Chan nie żąda gwarancji. Wystarczy mu wiedzieć, gdzie mieszkają potrzebujący pożyczki. Przed rokiem Chaudhuri, zostawił ojcem swego najmłodszego syna Sarkata, koniecznie potrzebował pieniędzy, a nie posiadając oszczędności, musiał pożyczyć od chana cztery rupie. Interesy chana Babarali układały się dobrze w tej dzielnicy miasta. Biedni szewcy, wyrobnicy i praczeki, wszyscy wcześniej czy później pożyczali od niego pieniądze. Babarali sam wymierzał sprawiedliwość, gdy jego klienci zapominali o wpłacaniu procentów w ustalonym terminie lub o zwrocie pożyczonego kapitału. Zadłużonemu klientowi groził biciem, a gdy ów mu kiedykolwiek umknął, przychodził do drzwi jego domu, ubliżając kobietom, które w mieszkaniu drżały z przerażenia. Chaudhuri musiał często interweniować będąc świadkiem podobnych scen i uważał chana za osobnika podłego i okrutnego. A jednak od tegoż właśnie chana musiał pożyczyć pieniądze w związku z wyżej wymienioną sytuacją. Stopa procentowa została ustalona na ćwierć rupii za rupię miesięcznie. Babarali

wykazał dużo uznania dla godnej szacunku pozycji Chaudhuri i zgodził się na spłacanie długu po jednej rupii miesięcznie. W ten sposób po ośmiu miesiącach cały kapitał miał być zwrócony.

Na samą myśl o utraceniu pewnego dnia możliwości spłacenia chanowi długu oraz z obawy przed straszliwą sceną, której chan nie omieszkaby mu wskutek tego uczynić przed drzwiami, Chaudhuri drżał i oblewał się zimnym potem. Wolał pozbyć całą swą rodzinę jednego posilku niż nie uregulować chanowi miesięcznej należności. Oto siedem miesięcy już spłacił. Ale w miesiącu ósmym zaczęła się pora deszczów i zboże najgorszej jakości bardzo podrożało. Chaudhuri nie mógł zapłacić raty i wieczorem w dniu płatności chan zapukał do jego drzwi. Chaudhuri był bardzo uprzejmy, dotknął z uszanowaniem brody chana, zaczął zaklinać się na Boga i prosił o prolongatę na miesiąc, obiecując zapłacić dodatkowe ćwierć rupii.

Ale w następnym miesiącu sytuacja pogorszyła się. Żona Chaudhuri ciężko zachorowała. Cena owsa podniosła się do potwornej wysokości, zaledwie 12 garści za rupię. A chora prosiła czasami o kawałek cebuli lub owocu tamarynowego, niekiedy nawet o kawałek cukru. Serce bolało odmawiać jej tych drobnych laskoci, ale żywność naprawdę zbyt podrożała. Chaudhuri otrzymywał miesięcznie dwie rupie dodatku drożyznianego, które rozchodziły się z nieprawdopodobną szybkością. Zmuszony był prosić o zaliczkę na uposażenie i w dniu wypłaty otrzymał zaledwie cztery rupie. Dzieci zostały

skazane na głód w ciągu całego miesiąca. Żyły gotowanymi liśćmi i polewką na dzikim zbożu. Chaudhuri nie miał odwagi umniejszać otrzymanych w fabryce czterech rupii o należną chanowi rupię i ćwierć.

Chaudhuri powracał z czterema rupiami w kieszeni drogą okrężną. Włączył się po rynku przez dwie godziny i przyszedł do domu bardzo późno w nadziei, że chan o tej godzinie opuścił już próg mieszkania. Drżał na myśl spotkania się z chanem bez należnych mu pieniędzy i dodawał sobie odwagi, myśląc o swych zagłodzonych pięcioru dzieciach, o swej chorej żonie, która musiała karmić noworodka i o swej starej matce, która do tego stopnia przymierała głodem, że nie mogła się już poruszać. Chaudhuri westchnął i mruknął: „Bóg miłościwy widzi wszystko i będzie miał mnie w swojej opiece“. Tej nocy nie mógł spać. Pograżony w mroku przygotowywał frazesy usprawiedliwienia, które miały nazajutrz rano ułagodzić chana.

Chan przyszedł po pieniądze wieczorem w siódmym dniu miesiąca i czekał na swego klienta. A ponieważ Chaudhuri nie wrócił przed zasniciem nocy, chan opuścił swój posterunek, wykrzykując groźnie, że powróci z rana dnia następnego. Dotrzymał słowa i zapukał do drzwi dłużnika bardzo wczesnym rankiem.

Na pierwsze stuknięcie Chaudhuri odpowiedział natychmiast tysiącem pozdrowień. Następnie pchnął drzwi, wyszedł i rozwinął usprawiedliwienia powtarzane w ciągu całej minionej nocy: „Musiałem do późna po-

zostać w fabryce. Pieniądzy nie wyplacono, ponieważ nie było dyrektora. Wypłata następuje dopiero po podpisaniu przez niego listy płacy. Dyrektor powróci po czterech dniach. Ja sam stanąłem w obliczu wielkich trudności na skutek tego opóźnienia. Dostanę pieniądze za cztery dni i pierwszą rzeczą, której dokonam, będzie zwrócenie panu należności“. To usprawiedliwienie wybitnie przekonujące nie uspokoiło chana, który zaczął wrzeszczeć: „Cóż to za historia! Niech pan nie zapomina, że nie po to tu żyję z dala od swych rodzinnych stron, by w podobny sposób tracić pieniądze, bo i ja mam w domu dzieci na utrzymaniu. Słuchaj pan, jeśli mi pan nie zwróci pieniędzy w ciągu pięciu dni, będę krzyczał w całym mieście, że jesteś pan synem osła“.

I oto Chaudhuri nie mógł wystarać się o jedną i ćwierć rupii w ciągu pięciu dni. Nie mógł przecież prosić dyrektora fabryki o zaliczkę zaraz po dniu wypłaty. Mimo wszystko spróbował i spotkał się z odmową. Wobec tego przez cztery dni starał się wracać do domu tylko późną nocą. Piątego dnia była niedziela. Chaudhuri wyszedł z domu na długo przed wschodem słońca. Chodził po wszystkich znajomych, mówiąc im, że przypominał sobie o paru bardzo ważnych sprawunkach, ale że zapomniał wziąć ze sobą portmonetki. Aby uniknąć biegania do domu po pieniądze, prosił o pożyczenie jednej i ćwierć rupii, które będzie mógł zwrócić nazajutrz. Lecz wszyscy je-

go przyjaciele i znajomi wydali swe pensje już w pięć dni po wypłacie. Nie mógł więc wystarać się o jedną ćwierć rupii.

Południe już minęło, myślał Chaudhuri, chan na pewno był już u niego, ale teraz poszedł sobie. W domu powiedzieli mu, że chan przychodził do niego i że był wściekły. Walił kijem po zasłonie zasypując go najohydniejszymi przekleństwami. Kobiety drżały z przerażenia, a stara babka spoza zasłony przysięgała chanowi, że Chaudhuri był nieobecny, że poszedł po pieniądze. Ale chan nie chciał w to uwierzyć i jeszcze głośniej krzyczał, że Chaudhuri był w domu i że ukrył się jak babka. Odgrażał się, że po czterech godzinach przyjdzie znowu i powiedział, że jeżeli należnych sobie pieniędzy nie dostanie żywcem zedrze z dłużnika skórę i sprzeda ją na bazarze. Chaudhuri umierał ze strachu słuchając opowiadania kobiet, ale żadnego sposobu wybrnięcia z sytuacji już nie było.

Jeszcze nie upłynęły cztery godziny, gdy przed drzwiami dały się słyszeć obelgi chana. Chaudhuri podskoczył jak gdyby prąd elektryczny przerywał mu życie. Opanował się jednak i wyszedł. Chan był czerwony ze złości: „Ty bandycki synu, ukrywasz się, aby mi nie oddać pieniędzy“. Chaudhuri został zmieszany z błotem i obrzucony stękiem obelg kalających imiona jego ojca i matki oraz dziadka i babki. Chan młotał przekleństwami, jakich dotąd

nikt i nigdy nie słyszał. Błękitna krew Chaudhuri zamiast zagotować się na ogniu tych obelg, zastygła mu w żyłach. Dotknął skraj koszuli chana, dotknął jego kolan i zaczął opowiadać o wszystkich swych nieszczęściach oraz błagać o miesięczną prolongatę. To doprowadziło chana do białej gorączki. Zaczął ryczeć jeszcze przeraźliwiej. Wszyscy szewcy, wszyscy wyrobnicy oraz praczki sąsiedztwa przybiegli, by przyjrzeć się scenie, by zobaczyć jak chan kijem wygraża się patriarsze, żądając natchmiastowego zwrotu pieniędzy. Chan nie chciał wierzyć, że Chaudhuri nie miał w kieszeni jednej ćwierć rupii i krzyczał:

„Jeżeli nie masz pieniędzy, to po co udajesz człowieka zasługującego na szacunek? Po co ta zasłona przed twymi drzwiami? W tej chwili płac, a jeśli nie masz pieniędzy, daj mi biżuterię swojej żony, daj mi narzędzia, daj mi swą odzież, daj mi wszystko, co posiadasz“.

Chaudhuri był złamany. Z oczu płynęły mu łzy. Patrzył w niebo i modlił się za chana. Przysięgał, że nie ma przy sobie złamanego szeląga, że w domu nie było ani biżuterii, ani narzędzi, ani tkanin i przysięgał, że jeśli chan zechce wziąć jego skórę, to on jest gotów ją oddać.

Wściekłość chana potęgowała się: „Ty świński synu, cóż ja zrobię z twoją skórą, która nie nadaje się nawet na buty? Ta zasłona warta jest o wiele więcej niż twoja skóra. Wezmę tę zasłonę“ — i sprzegając

słowa z czynem, pociągnął za zasłonę.

Gdy tylko zasłona została zerwana z drzwi, Chaudhuri padł na ziemię bez życia. Jego oczy nie mogły znieść widoku drzwi bez zasłony, ale za to tłum kłębiący się przed domem ujrzał scenę straszliwą. Przyciśnięte do siebie tuż za zasłoną stały kobiety i dziewczęta domu, drżąc z obawy, aby ich pan na ulicy nie został zdruzgotany. Ale gdy tylko zasłona znikła, pokurczyły się na progu, by ukryć swój wstyd jak gdyby cała ich odzież została z nich zerwana. Potem wszystkie zaczęły krzyczeć i płakać i pobięły ukryć się za ścianami. Bo oto zasłona ta stanowiła ogólną odzież wszystkich pięciu ko-

biet. Łachmany, jakie miały na sobie, były w stanie pokryć zaledwie trzecią część ciała.

Podły i ordynarny tłum spuścił oczy na widok tej nagości. Nawet w pozbawionym serca chanie mignęło współzucie. Oburzony splunął na ziemię i rzucił zasłonę. Następnie odszedł nie wykonawszy swego zadania i przeklinając jeszcze gwałtowniej. Tłum pełen współzucia odwrócił się i rozszedł. Stopniowo Chaudhuri wracał do siebie, zobaczył zasłonę leżącą na ulicy, lecz nie miał odwagi zawiesić jej na nowo. Po cóż zawieszać zasłonę, skoro pojęcie, które ta zasłona symbolizowała i chroniła — umarło na zawsze?





KRAINA KIRGIZÓW

KRZYSZTOF ZAREWICZ

PIEKNA, ale jakże dziwna razem jest kraina położona na północo-wschodzie radzieckiej Środkowej Azji, tuż przy granicy z Chinami. Tu, na niewielkim stosunkowo terytorium Republiki Kirgiskiej stykają się klimaty, flora i fauna Północy i Południa. Tu schodzą się gigantyczne łańcuchy górskie Pamiru i Tiań-Szania. Niebotyczne góry poprzeryzane są wąwozami i dolinami, rozcięte skalistymi równinami, stromymi usypiskami, pięknymi wysokogórkimi łąkami. Rwą naprzód bystre rzeki, błękitnieją kryształowe jeziora. Jest to kraj upalnych dolin i nigdy nie topniejących lodów, kraj bezwodnych stepów i wilgotnych lasów orzechowych czy iglastych. Tu rośnie długowłókniasta bawełna i tundrowe mchy, winogrona, brzoskwinie, figi i arktyczne porosty. Tu żyje powolny wielbłąd i po-

larny lis niebieski. W jednym i tym samym czasie, gdy w górach o wysokości pięciu — sześciu tysięcy metrów huczy śnieżna burza, tuż obok, w odległości 7—8 km, w dolinie, kołchoźnicy zbierają na zalanych słońcem plantacjach tytoń czy ryż. Gdy w dolinach jest jesień, na podgórzu trwa lato, na alpejskich łąkach — wiosna, a na szklących się lodowcami szczytach panuje wieczna zima. W środku upalnego lata można przejechać się wysoko w górach na nartach...

„Nauka nie zwycięży przyrody Tiań-Szania i ta przyroda będzie obroną koczowników przed naporem cywilizacji i w dalekiej przyszłości zostaną oni żywymi pomnikami pierwotnego człowieka“ — tak pisali w raporcie topografowie dokonujący pomiarów górskich pasm Kirgizji. Było to w roku 1912.

Zaślepieni carscy urzędnicy nie widzieli, jak wielkie, twórcze siły tkwią w kirgiskich koczownikach, nie potrafili przewidzieć jak kolosalne przemiany zdolny jest w niesłychanie krótkim czasie urzeczywistnić wolny naród.

Kirgizja, która przed Rewolucją Październikową była jednym z najbardziej zacofanych kresowych krajów Rosji, gdzie panowały patriarchalno-feudalne stosunki, nędza i ciemnota — stała się wolną, bogatą, przemysłowo-rolniczą socjalistyczną

republiką. Cały przemysł Kirgizji stanowiło przed Rewolucją 55 chałupniczych warsztatów oraz prymitywne kopalnie węgla w Kyzyl-Kija i Suliukta. Dziś przeszło czterysta dużych zakładów przemysłowych daje co roku kilkaset razy większą produkcję niż przedrewolucyjny przemysł kraju. Przeszło połowa ogólnej produkcji przypada na ciężki przemysł. Kirgizja obrabia dziś metal, buduje maszyny i obrabiarki, produkuje maszyny rolnicze, wyrabia tkaniny bawełniane i jedwabne, posiada



*Zbiór winogron w
kolchozowej wini-
nicy*

bardzo rozwinięty przemysł artykułów spożywczych. Już dziś przemysł daje 70% dochodów republiki.

Obecnie Kirgizi z dumą nazywają swój kraj Donbasem wszystkich radzieckich republik Azji Środkowej. I nazwa ta jest całkowicie słuszna: przecież z licznych kirgiskich zagłębi węglowych idą transporty czarnego złota do Turkmenii, do Uzbekistanu, do Tadżykistanu. Z głębi kirgiskiej ziemi wydobywa się ropę naftową, cynk i ołów, nikiel, molibden, miedź i wolfram, siarkę, rtęć, wanad i boksyt, sól kamienną i świetne materiały budowlane, kamienie szlachetne i złoto. Z 92 pierwiastków tablicy Mendelejewa w górach Tian-Szania znaleziono już 60. Taki jest wynik ogromnej pracy naukowców i badaczy, górników i robotników, którym olbrzymiej pomocy udzielili mieszkańcy gór i dolin Kirgizji: w odpowiedzi na apele gazet i organizacji ze wszystkich stron kraju nadchodziły i nadal nadchodzą różnorodne próbki, listy, wiadomości. Oto choćby nie tak dawno grupa pastuchów-kołchoźników rejonu naryńskiego spędzając stada z górskich hal w dolinę, natknęła się na bogatą żylę złota. Z dumą obejrzeli gospodarze kraju leżące u ich stóg bogactwo, pobrali próbki i wysłali je wraz z listem do Rady Ministrów Republiki Kirgiskiej. Dziś już na tym miejscu pracuje nowoczesna droga eksploatująca nowy złotodajny teren kraju.

W niepamięć przeszły czasy, gdy w górskich aulach odciętych od siebie grzbietami gór i przepaściami, ledwie wegetowali kirgisy hodowcy pasący należące do bajów i feudalnych ksią-

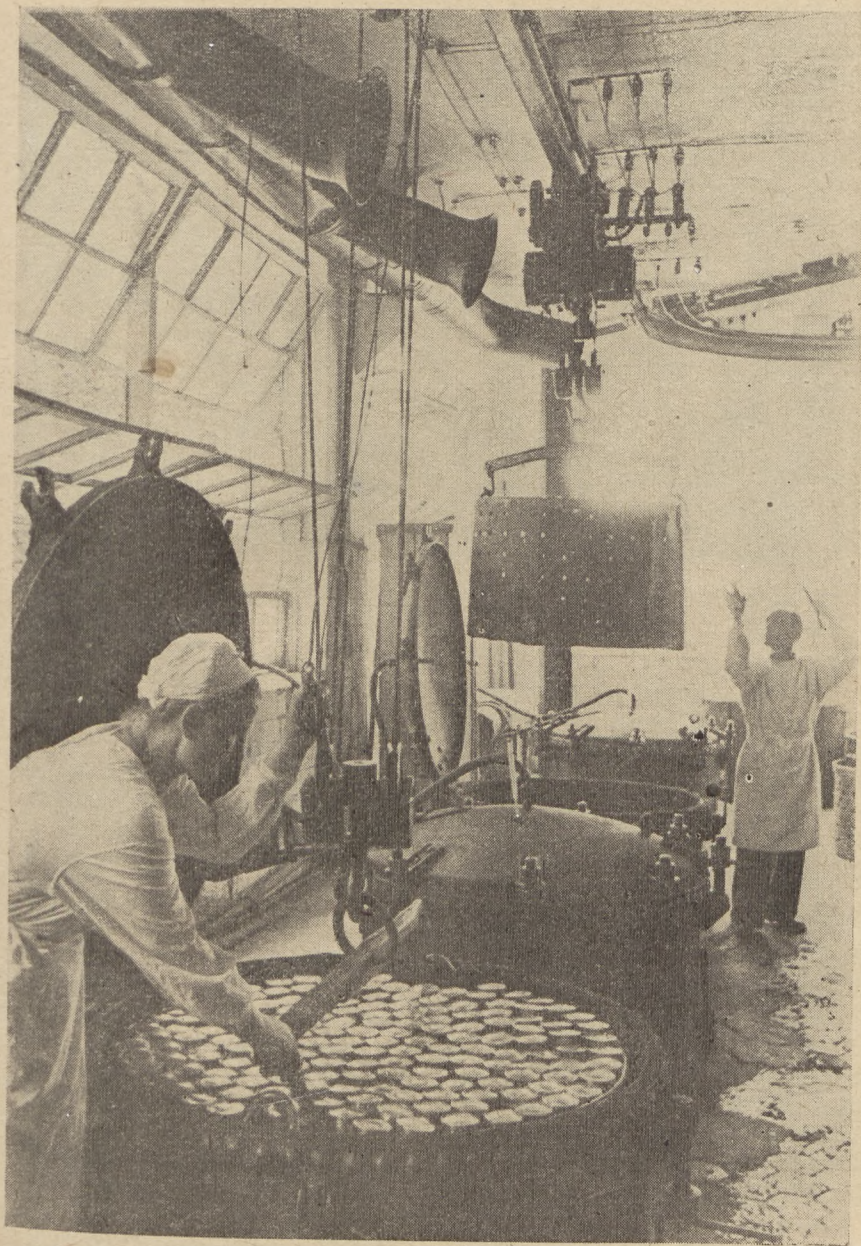
żątek tysiączne stada owiec i bydła, otrzymując za to jako zapłatę prawo dojenia dwóch owiec gospodarza. Jakże pełne gorczy jest powstałe w tych czasach przysłowie: „Wzbogacić się jest tak samo trudno, jak wykopać igłą studnię“.

A dziś co czwarty kołchoz w republice jest kołchozem-milionerem. Dochody wielu przodujących spółdzielni przekraczają nawet 10—15 milionów rubli. Bogate stało się życie kołchoźników: uprawiają oni na polach urodzajnej Doliny Fergańskiej bawełnę, ryż, owoce, w Dolinie Czujskiej, zwanej przez ludność „cukrową doliną“ uprawiają buraki cukrowe i pszenicę. Hodują bydło, świetne cienkorunne owce, jedwabniki, uprawiają tytoń i ryż, mak, jutę, rośliny dostarczające cennych olejków eterycznych. Powstały nawet wielkie specjalne gospodarstwa hodujące wyłącznie rośliny lecznicze.

Na miejscu biednych, wołokowych jurt wyrosły obszerne, murowane domy — osiedlili się w nich dawni koczownicy. Jedynie pasterze pędzą dziś nadal częściowo żywot koczowników — przez całe lato wraz z olbrzymimi stadami owiec i bydła, tabunami koni przenoszą się na odległych pastwiskach z miejsca na miejsce. Ale i w ich życiu zaszły olbrzymie zmiany. Co roku, na początku lata wyrastają po środku urodzajnych łąk Susamyru, Aksaju, Alaaju czy Arpi duże osiedla jurt. Tu dzia-



W jednym z działów fabryki konserw mięsnych w stolicy Kirgizji — Frunze





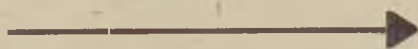
Scena z opery „Aj - Czurek”, wystawionej przez Kirgiski Państwowy Teatr Opery i Baletu

ła wybierana przez pasterzy rada terenowa, tu mieści się szpital, klinika położnicza, punkt zootechniczny i weterynaryjny, oddział poczty, własna radiostacja. Tu organizowane są coroczne wystawy hodowlane i częste zawody sportowe. Co dzień przez obszerne tereny łąk przejeżdżają wędrowni bibliotekarze, ruchome sklepy, przyjeżdżają artyści na gościnne występy, przybywa ruchome kino...

W ciągu pięciolatek Kirgizję przebiegły liczne linie kolejowe i świetne szosy. Pędzą pociągi ze stolicy Republiki — Frunze, pięknego, nowoczesnego miasta-ogrodu do miast Osz, Kyzyl-Kija, do Tokmaku, do Przewalska położonego nad wysokogórskim jeziorem Issyk-Kul. Wielki

Trakt Kirgiski połączył Frunze z odległą Doliną Aksajską i Arpińską. Trakt Pamirski wiąże z republiką dalekie tereny Pamiru. Nad krajem przelatują co dzień dziesiątki samolotów — lotnicze linie komunikacyjne stały się ogromnie popularne.

Wszystkie ogromne przeobrażenia dokonane zostały przez mieszkańców kraju: Kirgizów, Rosjan, Ukraińców, Uzbeków, Dunganów, Ujgurów pod przewodnictwem Partii Komunistycznej, przy wielkiej, braterskiej pomocy innych narodów radzieckich. Biedni koczownicy, których cały mają-



Jeszcze trzydzieści lat temu naród kirgiski nie miał własnego alfabetu

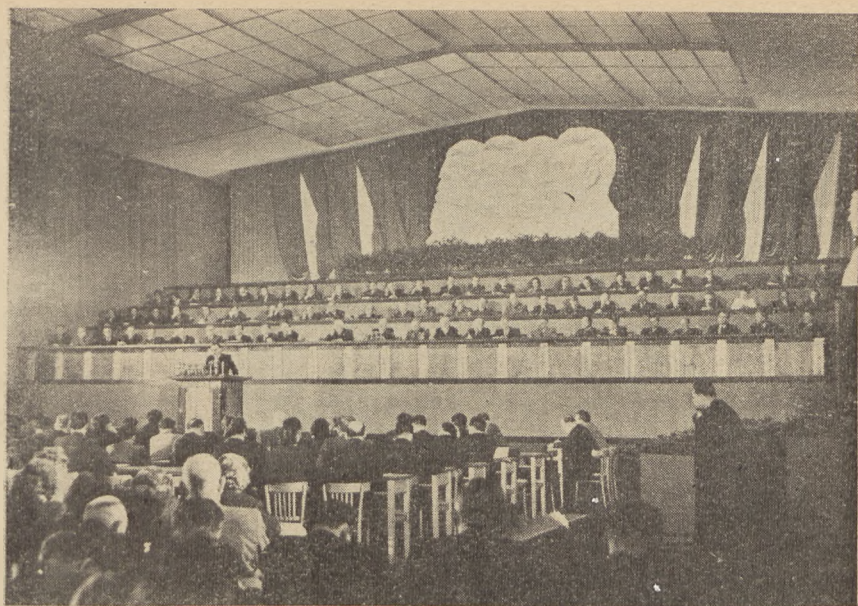


tek wraz z wołkową jurką mieścił się na siodle konia, ludzie, dla których nie było przed Rewolucją ani szkół, ani teatrów, którzy nie mieli nawet swego pisma — stali się ludźmi osiadłymi, zaczęli pracować w fabrykach i w kopalniach, zaczęli prowadzić traktory i samochody, pociągi i samoloty, stali się pisarzami, inżynierami, agronomami. Z wielką dumą mówią dziś Kirgizi o słynnym hutniku Bakirze Suranowie i górniku Karimberdy Sarykowie, którzy wybrani zostali jako deputowani do Rady Najwyższej Związku Radzieckiego. Daleko poza granicami kraju znany jest brygadzysta kolchozu im. Mołotowa — Alla Anarow, którego za wyhodowanie rekordowych plonów bawełny dwukrotnie odznaczano tytułem Bohatera Pracy Socjalistycznej. Wyzyskiwana dawniej przez baba Surakan Kajnazarowa, kierowniczką ogniwa w kolchozie im. Kalinina, jest dziś Bohaterką Pracy Socjalistycznej — już od wielu lat z rzędu osiąga ona przeciętnie po 120 ton buraków cukrowych z hektara. Znany powszechnie jest Wiktor Filimonow, operator koparki budujący w górach linie kolejowe. Powszechnym szacunkiem otoczeni są bohaterowie ostatniej wojny — w stoicy kraju, na ulicy Stalina ustawiono popiersie jednego z nich, wiernego syna narodu kirgiskiego, Tałgat Begeldinowa, dwu

krotnego Bohatera Związku Radzieckiego. Mistrzami słowa, pisarzami i poetami, znanymi w całym Związku Radzieckim, stali się dawni pasterze: Turusbekow, Bokonbajew, Osmonow, Sydykbekow i Bajalinow.

Rośnie oświata, kultura, sztuka. W szkołach uczy się przeszło 300 tysięcy dzieci. W wyższych uczelniach Kirgizji i całego Kraju Rad kształcą się na każde 10 tysięcy mieszkańców republiki 64 studentów — przeszło 20 razy więcej niż w pobliskim Iranie, dwukrotnie więcej niż we Włoszech. Na operowej scenie wystawiany jest w języku kirgiskim zarówno „Eugeniusz Oniegin“ Czajkowskiego, jak „Otello“ Szekspira i kirgiska opera „Aj-Czurek“. W księgarniach pojawiają się wciąż nowe wydania najlepszych dzieł klasyków i pisarzy współczesnych: radzieckich, europejskich, amerykańskich. Wydana została wielka kirgiska epopeja ludowa „Manas“ — spisano ją ze słów ludowych poetów; — jeden tylko piewca ludowy Sajakbaj Karałajew przedyktował 379.000 wierszowanych strof tego utworu, które znał na pamięć.

Wspaniałe są osiągnięcia narodu kirgiskiego. Pozwalają one dziś zwycięsko realizować wielkie, postawione przed mieszkańcami republiki zadania piątego planu pięcioletniego, zadania których celem jest jeszcze szczęśliwsze życie niż obecnie.



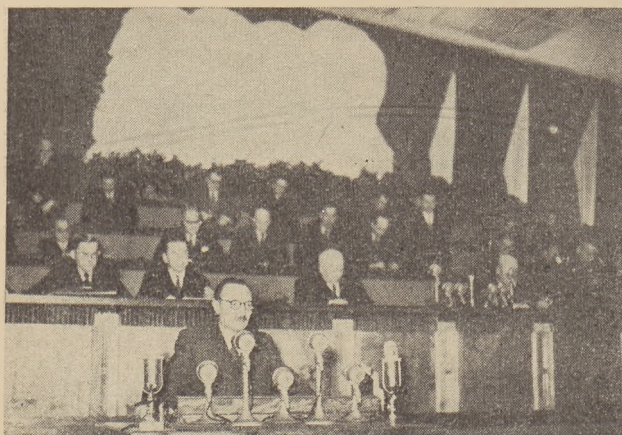
BILANS I PROGRAM

KAMILA CHYLIŃSKA

O TO nasz bilans — i oto nasz program. II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej umożliwił narodowi polskiemu ogarnięcie wzrokiem przebytej drogi i uświadomienie sobie perspektywy na przyszłość. Wielki bilans jest podstawą wielkiego programu. Przebycie trudnego etapu drogi przybliżyło nas do rozległej perspektywy. Na tym, cośmy już zrobili, można śmiało bu-

dować lepsze, łatwiejsze, szczęśliwsze życie.

Jasną jest już dzisiaj rzeczą zarówno dla nas, jak dla naszych przyjaciół, jak wreszcie nawet dla naszych wrogów, że socjalizm buduje się przy olbrzymiej, nigdy w historii na podobnie wielką skalę nie podejmowanej mobilizacji zasobów materialnych i sił moralnych narodu. Jasną jest rzeczą, że nigdy dotąd



*Przewodniczący KC PZPR Bolesław Bierut
wygłasza referat*

nie przeżywalimy okresu podobnego napięcia dążeń i wysiłków, podobnej aktywizacji energii, twórczych uzdolnień, talentów. Rozmach socjalistycznego budownictwa jest tak szeroki, dynamika naszej nowej epoki historycznej tak silna, tempo rozwoju — tak zawrotne, że oto niejednokrotnie wynikało stąd zjawisko swoiste: świadomość postępu, świadomość marszu naprzód zacierала czasem w pewnym stopniu humanistyczną treść naszych przemian. Życie porywające lecz trudne, napięte, pośpieszne — trochę jak gdyby osłabiało poczucie, że walczymy o życie łatwiejsze, spokojniejsze, lepsze.

II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej związał silniej niż miało to miejsce dotychczas patos socjalistycznego budownictwa z patosem walki o ludzkie szczęście. Od-

rabiamy wielowiekowe zacofanie, nadrabiamy przeszłość, pośpiesznie budujemy przyszłość. Lecz budujemy ją dla ludzi. Po to są nieprzespane noce — by za lat kilka ludzie mogli spać spokojniej; po to jest wyrzeczenie — żeby w jak najkrótszym czasie ludzie nie musieli się tej czy innej rzeczy wyrzekać; po to leje się pot ludzki — żeby w bliskiej, naszym codziennym wysiłkiem zbliżanej przyszłości, ludzie nie musieli się męczyć.

Powiedział nam to wyraźnie II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

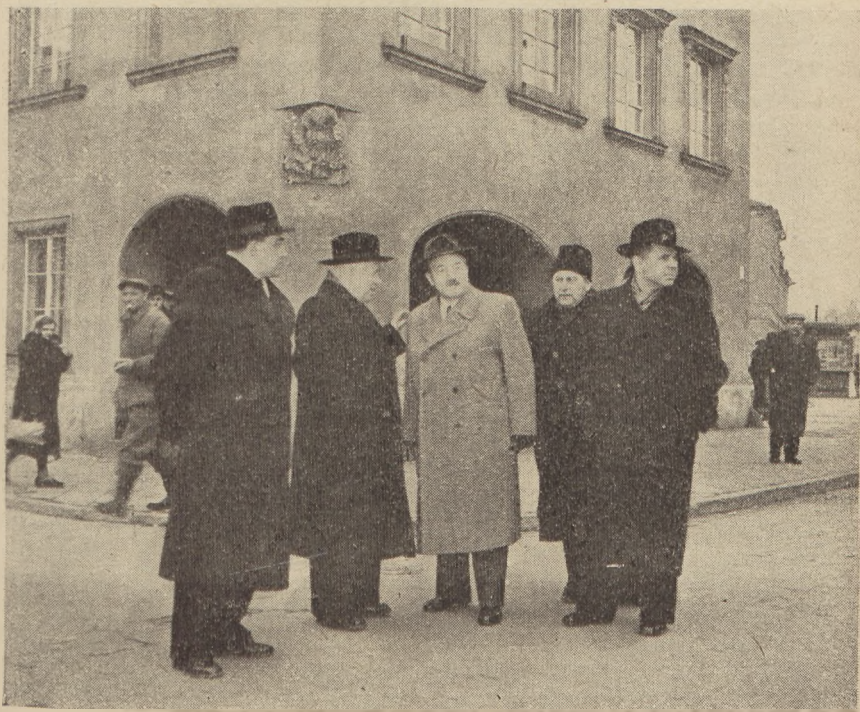
Powiedział, gdyż na podstawie realnych konkretnych przesłanek — mógł powiedzieć.

Oto bowiem II Zjazd PZPR odbywał się w okresie, w którym dotychczasowe osiągnięcia wszystkich

krajów obozu pokoju — a wśród nich i naszego — pozwalają na nowe rozstawienie sił, na zwiększenie udziału spożycia w dochodzie narodowym, na stworzenie warunków, umożliwiających szybszą realizację podstawowego prawa socjalizmu. Oto II Zjazd PZPR odbywał się w okresie, kiedy szybki i bezsporny wzrost potęgi krajów budujących socjalizm, wzrost ich siły zarówno materialnej

jak i siły ich moralnego, ideowego promieniowania — doprowadził do jakościowej zmiany w sytuacji międzynarodowej, doprowadził do takiego układu stosunków, w którym wbrew wysiłkom awanturników bezustannie rosną szanse pokoju. Rozejm w Korei, konferencja berlińska, zapowiedź konferencji genewskiej — oto etapy owej drogi do trwałego pokoju, na której uszliśmy spory już kawał.

W dniu 13 marca podczas przerwy w obradach II Zjazdu Partii przewodniczący KC PZPR Bolesław Bierut i członkowie delegacji Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego z I sekretarzem KC KPZR — N. S. Chruszczowem na czele zwiedzili Mariensztat





Prezydium II Zjazdu PZPR

Oceniając nasz własny udział w budowie siły całego naszego obozu i jednocześnie w utrwalaniu i rozwijaniu szans pokoju — nie mamy się czego wstydzić. Naszą ziemię, ziemię mogił i krzyżów, przekształciliśmy jakże rychło w ziemię rusztowań. Rozmiary naszej produkcji rocznej w przemyśle, mierzone według ogólnej wartości produkcji, wzrosły 3,6 raza — w przeliczeniu zaś na jednego mieszkańca 4,8 raza, w porównaniu z produkcją przemysłu polskiego z okresu kapitalizmu. Doganiamy wysoko uprzemysłowione kraje Europy. Zbudowaliśmy przy braterskiej pomocy Związku Radzieckiego szereg najnowocześniejszych fabryk. Mamy już dziś przemysł okrętowy i traktorowy, przemysł samochodowy i przemysł maszyn rolniczych, produkujemy ciężkie obrabiarki, maszyny elektryczne, rozwijamy hutnictwo, kopalnictwo, przemysł chemiczny. Staaliśmy się krajem innym niż byliśmy

przed wojną. Nasz olbrzymi krok naprzód gruntownie zmienił naszą pozycję w Europie i na świecie.

Owego ogromnego skoku naprzód dokonaliśmy dlatego, że realizujemy konsekwentnie wytyczne socjalistycznej industrializacji. A bez Nowej Huty, bez Huty Bieruta, bez kopalń węgla, bez fabryk obrabiarek, nie może być mowy o podnoszeniu dobrobytu społeczeństwa, nie może być mowy o lepszych mieszkaniach, o większej obfitości produktów spożywczych, o większej ilości ubrań i butów — słowem o tym wszystkim, co razem wzięte składa się na lepsze warunki życia. Bo przecież konsumpcja związana jest ściśle z produkcją. Bo przecież wzrost masowego spożycia zależy od ciągłego i nieprzerwanego rozwoju sił wytwórczych kraju. Bo przecież w pierwszym okresie budownictwa podstaw socjalizmu musi się chwilowo ograniczać konsumpcję — stwarzając jednocześnie

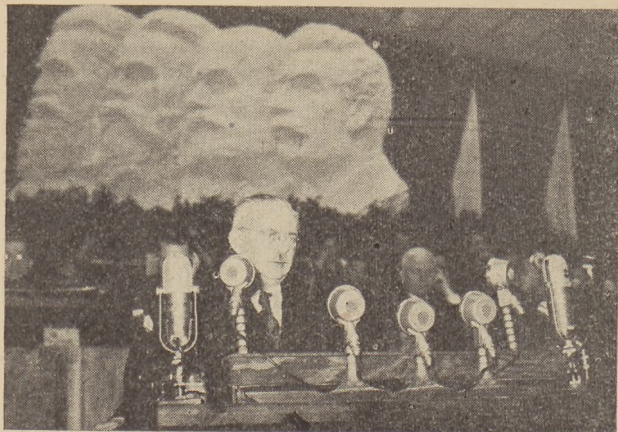
właśnie na podstawie rozwoju przemysłów kluczowych gwarancję stopniowego powiększania się konsumpcji z roku na rok.

I teraz właśnie, językiem słów i uchwał II Zjazdu Polska Zjednoczona Partia Robotnicza mówi, że nadszedł czas, by stopę życiową mas pracujących — podnosić szybciej. Nadeszła chwila, w której bez naruszenia zdrowych podstaw naszej go-

spodarki przy ciągłym i szybkim wzroście dochodu narodowego, możemy sobie pozwolić na zmniejszenie udziału akumulacji w tymże narodowym dochodzie i zwiększenie udziału spożycia. Możemy sobie pozwolić na takie rozstawienie sił i środków, które umożliwi w najbliższych latach podniesienie realnych płac robotników oraz dochodów chłopów pracujących o 15—20%.

Spotkanie w czasie przerwy w obradach. Od lewej: B. Fietko, czołowy rębacz z kopalni im. Thoreza w Wałbrzychu, poseł na Sejm, W. Brański, malarz, chłop ze Szczawnicy, E. Jakubczyk, technik-mechanik z Pontatowa, oraz J. Kożanik, przewodniczący spółdz. produkcyjnej „Przełom” (pow. Sępólno).





*Na trybunie Hilary Minc, członek Biura Politycznego
KC PZPR*

IX Plenum, tezy przedzjazdowe, zasadnicze referaty, dyskusja i uchwały II Zjazdu — przeprowadziły głęboką analizę rozwoju naszej ekonomiki i jasno sformułowały diagnozę, że przeszkodą hamującą wzrost stopy życiowej w naszym kraju stała się nadmierna dysproporcja między tempem rozwoju przemysłu a tempem rozwoju rolnictwa. Przyspieszenie rozwoju rolnictwa — to naczelne zadanie, to kierunkowa naszych dążeń, to warunek wydatnego rozszerzenia produkcji przedmiotów spożycia i podniesienia stopy życiowej.

Środki, jakimi to naczelne zadanie będziemy urzeczywistniać, sięgają wszystkich dziedzin naszej gospodarki, wszystkich niemal dziedzin naszego życia. Środki te to pomoc kredytowa i inwestycyjna ze strony państwa zarówno dla spółdzielni pro-

dukcyjnych jak i dla gospodarstw indywidualnych, gruntowna reorganizacja państwowych i gminnych ośrodków maszynowych, na podstawie wzrastającej mechanizacji, upowszechnianie wiedzy rolniczej, rozszerzanie bazy paszowej dla wzrostu hodowli, rozszerzenie produkcji maszyn rolniczych i nawozów sztucznych.

Środki te, to pełne wykorzystanie niezmobilizowanych dotychczas rezerw, tkwiących w indywidualnej gospodarce wiejskiej. Zastosowanie tych środków pozwoli z kolei na wydatne zwiększenie produkcji przemysłu spożywczego i lekkiego, na lepsze więc niż dotychczas zaopatrzenie mas pracujących w mieście i na wsi w artykuły masowego użytku. Skuteczne stosowanie tych środ-

ków pozwoli na realizowanie polityki stopniowej zniżki cen w oparciu o stały wzrost wydajności pracy na podstawie ulepszeń technicznych, oszczędności materiałów i obniżki kosztów własnych produkcji. Skuteczne stosowanie tych środków pozwoli na to, byśmy mieli w przyszłości więcej i lepszych mieszkań, więcej szkół, szpitali, lepszą komunikację, więcej kin i teatrów — by życie było łatwiejsze i szczęśliwsze.

II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej obradował w dziesiątym roku istnienia Polski Ludowej. W okresie tego dziesięciolecia, bogatszego w przemiany niż niejedno

stulecie naszej historii, nauczyliśmy się nie tylko lepiej i wydajniej pracować, nauczyliśmy się nie tylko budować — lecz nauczyliśmy się także przebudowywać samych siebie. Wyrzuciliśmy za burtę razem z instytucjami państwa kapitalistycznego ów typowy dla kapitalizmu przedział, ową przepaść między aparatem państwowym a społeczeństwem. Nauczyliśmy się typowej i zasadniczej dla socjalizmu prawdy, że państwo — to my wszyscy.

Wynika z tego, że pomoc państwa ludowego, to słuszna sprawiedliwa uchwała plus człowiek, który ją wprowadza w życie. Wynika z tego,



Tkaczka Teodora Wojciechowska z Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Róży Luksemburg w Łodzi w dniach II Zjazdu PZPR wykonywała przeciętnie 130 proc. normy



Delegaci woj. krakowskiego na II Zjazd PZPR na terenie budowy Pałacu Kultury i Nauki im. J. Stalina

że polityka państwa ludowego to słuszna droga plus człowiek, który drogą tą idzie. Bogactwo zadań, jakie przed narodem naszym, przed najszerzymi masami partyjnych i bezpartyjnych członków naszego społeczeństwa postawił II Zjazd — może stać się rzeczywistością wyłącznie pod tym warunkiem, że u-

chwali jego będą wprowadzone w życie twórczym wysiłkiem milionów ludzi w naszym kraju. Tym twórczym wysiłkiem, który rozkłada się na dziesiątki milionów codziennych wysiłków, codziennych dążeń, codziennych zwycięstw.

Realizacja wspaniałej perspektywy otwartej przez II Zjazd PZPR



*Fragment Prezydium Zjazdu. Na trybunie przewodniczący
KC PZPR Bolesław Bierut*

zależy od narodu polskiego. Wydaje mi się, że tę podstawową prawdę trzeba sobie uświadomić.

I na zakończenie przypomnieć pragnę jeszcze jedną z prawd podstawowych. Otóż na otwarcie owej wspaniałej perspektywy jaką roztoczył przed narodem polskim II Zjazd, na nowe rozstawienie sił, na przyspieszenie wzrostu stopy życiowej, możemy sobie pozwolić stosunkowo wcześniej. W pierwszym, i przez długi czas jedynym socjalistycznym kraju na świecie doszło do tego znacznie później. Nieporównanie większe były trudności Związku Radzieckiego niż nasze — nieporównanie cięższe i bardziej długotrwałe były wyrzeczenia ludzi radzieckich niż nasze. To, że nam jest łatwiej, za-

wdzięczamy — im i ich pomocy. I to nie tej tylko, której Związek Radziecki nieprzerwanie nam udziela od narodzenia się Polski Ludowej — ale i tej, której udzielał nam dawno jeszcze, wtedy, kiedy dopiero najłepszy Polacy bili się o Polskę Ludową. Bo przecież my dzisiaj możemy powiększać naszą produkcję ubrań także i dlatego, że kiedyś oni bardzo długo chodzili lichy ubrani. Przecież my dzisiaj możemy budować więcej jasnych mieszkań — także i dlatego, że oni bardzo długo gnieździli się w złych i ciasnych mieszkaniach. Przecież my dzisiaj możemy z większą łatwością zaopatrywać się w szereg produktów dlatego także, że oni wyrzekali się ich przez długi bardzo okres.

Przecież my dzisiaj mniej już stonkowo czasu spędzamy w kolejkach przed sklepami dlatego także, że u nich bardzo długo korowody mężczyzn i kobiet czekały przed drzwiami sklepów na swe skromne przydziały. Kiedy Związek Radziecki wśród poświęceń i wyrzeczeń w olbrzymim tempie industrializował ogromne swe obszary, kiedy wśród poświęceń i wyrzeczeń budował podstawy swej dzisiejszej potęgi, swego dzisiejszego bogactwa, dzisiejszego wspaniałego wzrostu stopy życiowej

narodu radzieckiego — to tworzył jednocześnie przesłanki naszej dzisiejszej siły, naszego bogactwa, naszego krótszego i łatwiejszego marszu ku socjalizmowi.

Wydaje mi się, że o tamtych czasach głodu, chłodu i bohaterstwa w pierwszym na świecie państwie socjalizmu należy przypomnieć dziś właśnie w chwili, gdy II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wezwał naród polski do wzmożenia walki o szybszy dobrobyt, o lepsze życie.

Dla uczczenia II Zjazdu PZPR studenci Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie kolportowali w okresie przedzjazdowym prasę i książki wśród mieszkańców wsi kaszubskich. Na zdjęciu — studenci we wsi Kamień (pow. Wejherowo)



FAKTY

Komentarze



KONFERENCJA PAN-AMERYKAŃSKA W CARACAS

W CIĄGU marca obradowała w stolicy Wenezueli, Caracas dziesiąta pan-amerykańska konferencja, w której uczestniczyli ministrowie spraw zagranicznych 19 państw Ameryki Łacińskiej oraz sekretarz stanu USA Dulles.

Jaki był cel tej konferencji i jakie jej tło historyczne?

Dla oceny należy cofnąć się nieco wstecz.

Stany Zjednoczone rozpoczęły ustanawianie wszechwładztwa kapitału amerykańskiego na świecie od ujarzmania tego obszaru, który był najbliższy i leżał w sferze możliwości bezpośrednich wpływów Waszyngtonu — rozpoczęły od ujarzmania Ameryki Łacińskiej. Gdy w roku 1899 zwołana została do Waszyngtonu pierwsza panamerykańska konferencja, ówczesny sekretarz stanu Blaine określił jako cel Stanów Zjedno-

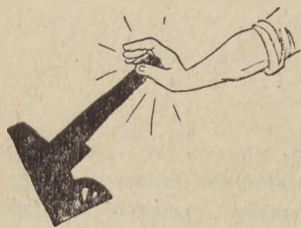
czonych, aby mogły „po wyparciu Europy stać się dostawcą przemysłowym krajów Ameryki Łacińskiej“.

Na konferencji tej utworzono jako organ wykonawczy Biuro Republik Amerykańskich, które w 1909 r. przemianowane zostało w Unię Pan-amerykańską. W toku ostatnich 45 lat, pod płaszczykiem Unii Pan-amerykańskiej, pod fikcją hasel „bratnich republik“ i „polityki dobrego sąsiedztwa“, imperializm amerykański rozszerzał swoje wpływy na obszarze Ameryki Południowej.

Historyczną podstawą tej polityki była słynna „doktryna Monroego“, którą ogłosił prezydent James Monroe w roku 1823, w okresie wyzwala-
nia się południowo-amerykańskich kolonii hiszpańskich do własnego samodzielnego życia państwowego. Doktryna ta ustalała zainteresowania Stanów Zjednoczonych w tym, aby kontynenty amerykańskie zachodniej półkuli nie były już więcej przedmiotem kolonizacji przez jakie

kolwiek mocarstwa europejskie i stwierdziła, że wszelkie tego rodzaju próby traktowane będą przez Stany Zjednoczone jako akty nieżyczliwe wobec nich samych.

Doktryna Monroego stała się z czasem, w miarę rozwoju agresywnego kapitalizmu amerykańskiego, podstawą polityki całkowitego podporządkowania sobie krajów Ameryki Ła-



cińskiej, do zagarnięcia ich bogatych źródeł surowcowych i wyparcia stamtąd wszystkich innych konkurentów kapitalistycznych.

W realizacji tych planów doniosłą rolę odgrywały budowane na doktrynie Monroego demagogiczne hasła pan-amerykańskie. Narzędziem tej polityki są zwoływane od czasu do czasu konferencje pan-amerykańskie. Zaś rezultatem politycznym tej akcji jest istniejąca dzisiaj „Organizacja Państw Amerykańskich“, jaka doszła do skutku przez podpisanie na konferencji pan-amerykańskiej w Rio de Janeiro w 1947 r. paktu w sprawie „obrony“ zachodniej półkuli, której zresztą poza Stanami Zjednoczonymi nikt nie zagraża. Ale pakt ten posłużył Stanom Zjednoczonym jako pretekst do wywarcia nacisku, aby w ramach „współpracy“ ogólno-amery-

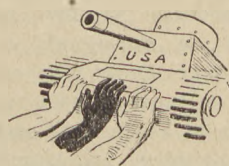
kańskiej wprowadzić w życie standaryzację organizacji wojska, metod szkolenia i uzbrojenia krajów Ameryki Łacińskiej.

Podbój strategiczny Ameryki Łacińskiej poprzedzał jej podbój gospodarczy przez Wall Street. Dla zrozumienia tego procesu penetracji wyjaśnić należy parę faktów. Cały kontynent Ameryki Łacińskiej liczy obecnie przeszło 150 milionów ludności. Z tego jedna tylko Brazylia ma 50 milionów mieszkańców, a trzy inne kraje — Meksyk, Argentyna i Kolumbia liczą razem też 50 milionów ludności. Pozostałych 50 milionów rozbitych jest na 16 państw i państewek. Są takie państewka, które liczą mniej mieszkańców niż przeciętna stolica europejska, jak Panama, która liczy 800 tysięcy mieszkańców, jak Costarica, która liczy 900 tysięcy lub jak Honduras, Nikaragua czy Paragwaj, które liczą każdy cokolwiek ponad 1 milion mieszkańców. A w ONZ państewka te posiadają taki sam głos co na przykład 300 milionów ludności liczące Indie!

Penetracja kapitału amerykańskiego do tych małych państewek, opartych przez sprzedajne rządy generałów i obszarników nie przedstawiała większych trudności. A uświadamiając się w ten sposób na znacznych obszarach Południowej Ameryki, ogarnięcie swoimi mackami także i większych państw nie było już rzeczą trudną dla kapitalistycznego smoka amerykańskiego. Proces ten ułatwił fakt, że kraje Ameryki Łacińskiej po dziś dzień trwają w stanie półkolonialnym i półfeudalnym i stosują najokropniejszą dys-

kryminację rasową. Formalna niezależność tych państw i państewek, w których lud żyje w nieopisanej nędzy, a klasa posiadająca w nieznanym nawet w Europie luksusie, jest parawanem, za którym odbywał się podbój tego całego kontynentu przez imperialistyczny kapitał amerykański. Stany Zjednoczone traktują Amerykę Łacińską jako swoją wyłączną domenę. Wyparły z niej całkowicie istniejące dawniej wpływy Hiszpanii i Francji, wypierają obecnie resztki pozostałych tam jeszcze wpływów brytyjskich. Inwestycje brytyjskie w Argentynie, które jeszcze 20 lat temu wynosiły 800 milionów funtów szterlingów, spadły dzisiaj poniżej 300 milionów funtów szterlingów. Inwestycje bezpośrednie i pożyczki kapitału amerykańskiego w Ameryce Łacińskiej zaś, które wynosiły w roku 1913 zaledwie 200 milionów dolarów, w roku 1940 wyniosły już prawie 4 miliardy dolarów, a dzisiaj dochodzą do 10 miliardów dolarów. Ameryka Łacińska jest głównym terenem bezpośrednich inwestycji USA za granicą, których 40% ułożonych było w r. 1950 w krajach Ameryki Łacińskiej. Z 4,7 miliarda dolarów, zainwestowanych przez USA w r. 1950 bezpośrednio w Ameryce Łacińskiej, 21% przypadało na Wenezuelę, po 13,3% na Brazylię i Kuba, 11,4% na Chile i 8% na Meksyk. Najwięcej, bo 29,7% ogólnej sumy bezpośrednich wkładów zainwestowanych było w tym czasie w przemyśle naftowym, 22% w przedsiębiorstwach użyteczności publicznej 16,8% w przemyśle, 13% w górnictwie i hutnictwie, 10% w rolnictwie. Kapitał amerykański kontroluje o-

becnie 70% całego przemysłu Brazylii. Wszelkie bogactwa surowcowe Ameryki Łacińskiej jak nafta, kaučuk, cyna, miedź, saletra, rudy żelazne, metale kolorowe, wełna, a także kawa, cukier, owoce — wszystko to eksploatowane jest dzisiaj już prawie wyłącznie przez kapitał amerykański i wywożone do Stanów Zjednoczonych. Zależność Ameryki Łacińskiej od USA wzrosła znacznie w wyniku drugiej wojny światowej, w czasie której USA, odcięte od surowców w innych częściach świata, zwiększyły swoje zakupy w Ameryce Południowej, skąd pochodzi obecnie przeszło 40% tzw. „strategicznych” materiałów, importowanych przez USA. Zacołanie krajów Ameryki Łacińskiej ułatwia kapitałowi amerykańskiemu ciągnąć nadmierne zyski, daleko wyższe, aniżeli zyski osiągnane



przez ten kapitał w samych Stanach Zjednoczonych.

Rośnie przeto niezadowolenie niektórych sfer burżuazji nacjonalistycznej, poszkodowanej przez politykę niskich cen, narzucanych przez Stany Zjednoczone. Coraz bardziej rośnie świadomość i siła klasy robotniczej, która staje na czele walki narodów Ameryki Łacińskiej o niepodległość, przeciwko ingerencji Stanów Zjednoczonych. Niezadowolenia nacjionali-

stycznej burżuazji oraz opór mas pracujących wywołują w Waszyngtonie coraz większe zaniepokojenie.

Na dziesiątej konferencji pan-amerykańskiej rząd Stanów Zjednoczonych postanowił więc wystąpić z wyrażną polityką zdławienia wszelkich ruchów społecznych, które przeciwstawiają się w Ameryce Łacińskiej ingerencji Stanów Zjednoczonych. W tym celu Dulles wniósł pod obrady konferencji rezolucję antykomunistyczną, uprawniającą Stany Zjednoczone do agresji na państwo Ameryki Łacińskiej, w którym do władzy doszłyby elementy określane przez Dullesa jako „komuniści“. A wiadomo, że dla Dullesa „komuniści“ to wszyscy ludzie postępowi. „W zamian za uchwalenie takiej rezolucji, Dulles — jak stwierdzał korespondent paryskiego burżuazyjnego „Monde“ — obiecał, że Waszyngton weźmie pod uwagę sprawę poparcia rozwoju gospodarki krajów Ameryki Łacińskiej“. A nowojorski dziennik komunistyczny „Daily Worker“ pisał, że Dulles po prostu zaofiarował rządowi Ameryki Łacińskiej łapówkę w postaci obietnicy zwiększenia tak zwanej „pomocy“, jeśli zgodzą się one przyjąć program maccarthyizmu dla całej półkuli zachodniej.

Punktem wyjścia dla nagonki na postępowe elementy Ameryki Łacińskiej stała się Gwatemala najbardziej postępowe państwo Ameryki Łacińskiej. Gwatemala przeprowadziła reformę rolną i uwolniła się od hegemonii amerykańskiego koncernu United Fruit Company, który — podobnie jak Anglo-Iranian Oil Company w Iranie — stanowił w Gwatemali państwo w państwie.

Monopoliści amerykańscy usiłują złamać niezależność Gwatemali i tę politykę przeprowadzał Dulles na konferencji pan-amerykańskiej.

Dullesowi przeciwstawił się stanowczo minister spraw zagranicznych Gwatemali, Toriello. „Przeciwstawiamy się zdecydowanie — stwierdził Toriello — umiędzynarodowieniu maccarthyizmu. Piętnujemy wobec uczestników konferencji agresję polityczną i groźby agresji ekonomicznej oraz interwencji, której ofiarą stała się Gwatemala. Rezolucja wymierzona przeciwko komunizmowi — powiedział — Toriello — jest tylko pretekstem do ingerencji w sprawy wewnętrzne poszczególnych narodów i stanowi pogwałcenie zasady nieinterwencji. Projekt rezolucji zagraża prawom osobistym człowieka i wolności, podważa podstawowe zasady demokracji i zasadę nieinterwencji. Według tej rezolucji — mówił dalej Toriello — każdy kraj może jednostronnie być nazwany komunistycznym, a wówczas system pan-amerykański podejmie przeciwko niemu kroki, co jest pogwałceniem zasady nieinterwencji, ustalonej w artykule 15 Karty Organizacji Narodów Amerykańskich“.

Dulles co prawda przełamał swoją rezolucję, stosując wszelkie metody nacisku i szantażu na zależne gospodarczo od Stanów Zjednoczonych rządy krajów Ameryki Łacińskiej, jak np. przekupując delegację brazylijską obietnicą pozytywnego załatwienia żywotnej dla wielkich plantatorów brazylijskich sprawy cen kawy, eksportowanej do USA. Ale dwa inne wielkie i wpływowe kraje Ameryki Łacińskiej, Argentyna i Mek-

syk, nie aprobowwały rezolucji Dulles, widząc w niej niebezpieczny precedens usankcjonowania zasady interwencji USA w wewnętrzne sprawy krajów Ameryki Łacińskiej i powstrzymały się od głosu. Gwatemala zaś głosowała przeciwko rezolucji, która była w nią wymierzona. W ten sposób po raz pierwszy podważona została tradycyjna dotąd zasada manifestowania na obradach konferencji pan-amerykańskich solidarności i jednomyślności krajów Ameryki Łacińskiej ze Stanami Zjednoczonymi.

Agencja „United Press“, podsumowując stanowisko poszczególnych rządów Ameryki Łacińskiej, stwierdzała, że nie chciały one uczynić sprawy krucjaty przeciwko komunizmowi centralnym zagadnieniem obrad, lecz raczej pragnęły skupić uwagę konferencji na sprawach gospodarczych. Istotnie, szereg delegacji nalegało na wyczerpujące omówienie zagadnienia niskich cen otrzymywanych od USA za cenne surowce, sprawy stopy życiowej mas pracujących, należącej mimo naturalnych bogactw Południowej Ameryki do najniższych na świecie, i w ogóle całokształtu zagadnienia inwestycji kapitałów Stanów Zjednoczonych w krajach Ameryki Łacińskiej. Delegacja Stanów Zjednoczonych, aczkolwiek niechętnie, zgodzić się musiała na to, że na jesieni zwołana zostanie do Rio de Janeiro specjalna konferencja gospodarcza, na której wszystkie te zagadnienia zostaną rozpatrzone.

Inne zagadnienie, które również zostało wysunięte wbrew zamiarom Departamentu Stanu — to sprawa kolonializmu, czyli sprawa posiadania

przez niektóre państwa europejskie, jak Wielka Brytania, Francja i Holandia, obszarów kolonialnych w Południowej Ameryce.

Już na poprzedniej konferencji pan-amerykańskiej w 1948 r. w Bogocie uchwalona została rezolucja, potępiająca kolonializm i stwierdzająca, że emancypacja kontynentu nie będzie całkowita, dopóki państwa z innego kontynentu będą sprawować władzę nad terytoriami amerykańskimi. W międzyczasie komisja amerykańska, powołana do spraw terytoriów zależnych, w której było reprezentowanych 13 republik południowo-amerykańskich, przeprowadziła szczegółową ankietę sytuacji panującej w Gujanie Brytyjskiej, Francuskiej i Holenderskiej, na terenach Hondurasu Brytyjskiego, strefy Antylów, Wysp Falklandzkich oraz „sektora amerykańskiego“ obszarów antarktycznych. Wnioski ze sprawozdania tej komisji stały się podstawą do rezolucji w Caracas. Rezolucja ta głosi: **„Pragnieniem narodów kontynentu amerykańskiego jest, by kolonializmowi, utrzymywanemu wbrew życzeniu odnośnego narodu, oraz okupacji obszarów amerykańskich położono definitywnie kres“**. Rezolucja ta przyjęta została jednomyślnie przez wszystkie kraje Ameryki Łacińskiej reprezentowane na konferencji. Jedynie delegat Stanów Zjednoczonych powstrzymał się od głosu. Stany Zjednoczone uważały konferencję pan-amerykańską za niewłaściwe forum do rozpatrzenia sprawy dotyczącej państw europejskich, uważając, że odpowiednim miejscem dla tego rodzaju dyskusji jest ONZ, którego członkami są zarówno repu-

bliki południowo-amerykańskie jak i europejskie państwa kolonialne.

Charakterystyczne były również jeszcze i inne aspekty konferencji, zwrócone przeciwko Stanom Zjednoczonym, jak na przykład wniosek pani de Ramon, delegatki Panamy i małżonki prezydenta Panamy, w sprawie położenia kresu stosowaniu dyskryminacji rasowej na całej półkuli zachodniej. „United Press“ otwarcie przyznała, że rezolucja Panamy, przyjęta przez większość uczestników konferencji, jest w pierwszym rzędzie zwrócona przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Konferencja pan-amerykańska w Caracas dowiodła niezbicie, że zagadnienie powstrzymania naporu agresywnego imperializmu amerykańskiego, który zagraża pokojowi świata, jest nie tylko zagadnieniem krajów Europy, Azji i Afryki, ale również zagadnieniem aktualnym krajów Ameryki Łacińskiej. Ale równo-



ześnie konferencja w Caracas stanowila wymowny dowód, że w Ameryce Południowej wzrasta 'świadomość co do tego, iż narody Ameryki Łacińskiej nie mogą oczekiwać wyzwolenia ze swoich obecnych trudności gospodarczych ze strony Wall Street. Konferencja w Caracas wykazała, że kapitał amerykański ma jedynie na celu eksploatację Ameryki Południowej dla imperialistycznych celów Stanów Zjednoczonych. Jasne

jest, że tylko solidarne współdziałanie mas pracujących Ameryki Południowej w skali międzynarodowej w walce o pokój zapewnić może narodom Ameryki Łacińskiej niepodległość, wolność i dobrobyt.

PRZED KONFERENCJĄ GENEWSKĄ

SEKRETARZ stanu Dulles wyraził na konferencji prasowej 16 marca opinię, że termin rozpoczęcia konferencji w Genewie, wyznaczony na 26 kwietnia, może zostać przesunięty. Dulles oświadczył, jakoby w posiadaniu Departamentu Stanu znajdowały się „pewne dane, świadczące o stosowaniu przez Moskwę taktyki odwlekania w związku z konkretnymi krokami, podejmowanymi w celu przygotowania konferencji“. Przypuszczenia swoje Dulles oparł na tym, jakoby rząd Chin Ludowych był „niezadowolony“ z projektowanej formy konferencji genewskiej i „stara się ją opóźnić“.

Wypowiedź Dullesa zaskoczyła Paryż i Londyn, albowiem ani na Quai d'Orsay, ani w Foreign Office takich danych nie posiadano.

Ale kłamstwo — jak mówi przysłowie — ma krótkie nogi. Już następnego dnia wystąpienie Dullesa zostało zdemaskowane jako nieodpowiadające prawdzie, gdy wiceminister spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, Kuzniecowa doręczył ambasadorowi Stanów Zjednoczonych, Bohlenowi memoriał rządu radzieckiego na temat przygotowań do konferencji genewskiej. W memoriale tym rząd radziecki zgadzał się na propozycję, aby rozpoczynające się w

Genewie 26 kwietnia obrady odbywały się w gmachu Pałacu Narodów, który jest siedzibą europejskich organów ONZ. Memorial radziecki stwierdził również, że rząd Chińskiej Republiki Ludowej podziela stanowisko rządu ZSRR.

Wystąpienie rządu radzieckiego obaliło więc bezpodstawne twierdzenie pana Dullesa. W rzeczywistości sytuacja ma się wręcz odwrotnie. Wszak nie kto inny jak właśnie minister Mołotow zabiegał na konferencji berlińskiej o zwołanie konferencji pięciu mocarstw z udziałem Chin Ludowych. A w swoim przemówieniu przedwyborczym, wygłoszonym 12 marca w Moskwie, premier rządu radzieckiego Malenkow oświadczył: „Przywiązujemy wagę do mającej się zebrać w Genewie konferencji wielkich mocarstw z udziałem innych państw zainteresowanych, na której Chińska Republika Ludowa będzie równouprawnionym uczestnikiem“.

„Związek Radziecki — jak stwierdził dziennik „Prawda“ — stoi na stanowisku, że nie powinno być żadnych przeszkód utrudniających przygotowanie konferencji genewskiej pod względem organizacyjnym i technicznym“.

Co zaś do celowości omawiania w Genewie problemu koreańskiego i problemu indochińskiego dla doprowadzenia do złagodzenia napięcia międzynarodowego, warto przytoczyć uwagi ministra Mołotowa, zawarte na ten temat w jego oświadczeniu o wynikach konferencji berlińskiej. Na temat Korei Mołotow powiedział: „Zadanie polega na tym, aby przyczynić się do zjednoczenia narodowe-

go Korei na zasadach demokratycznych i umożliwić Korei przejście od rozejmu do trwałego pokoju“. Zaś w sprawie Indochin Mołotow określił za rzecz najważniejszą „uznanie przez wszystkich uczestników konferencji konieczności rozwiązania kwestii



przywrócenia pokoju w Indochinach nie w drodze kontynuowania beznadziejnej wojny, lecz w drodze porozumienia odpowiadającego zasadom wolności i niezawisłości narodów“.

Sprzeczne z faktami twierdzenia pana Dullesa, jakoby Związek Radziecki dążył do odwleknięcia konferencji genewskiej, dowodzą, że to właśnie panu Dullesowi nie w smak konferencja w Genewie z udziałem Chińskiej Republiki Ludowej dla zrealizowania wymienionych powyżej przez Mołotowa obu celów. Wiadomo wszak, że po konferencji berlińskiej szereg senatorów republikańskich zaatakowało Dullesa za „zbytnią uступliwość“ w sprawie chińskiej. Udział Chin Ludowych w konferencji mocarstw w charakterze zupełnie innym, jak to było w Panmunđon, wywołuje wśród reakcyjnych kół republikańskich wyraźne rozdrażnienie. Wybitny dziennikarz amerykański, James Reston nawołuje na łamach „New York Times“ do zdania sobie sprawy z wagi konferencji genewskiej. „Tym razem — pisze Reston — wysłannik Chińskiej Republiki Ludo-

wej zasiadzie nie w zaimprovizowanym namiocie na polu boju w Pan-mundżon, lecz w Pałacu Ligi Narodów, nie w obecności kilku nikomu nieznanym wojskowym w Korei, lecz wśród wielkich działaczy światowej dyplomacji. Przedstawicielem tym będzie wybitny uczony, Czou En-lai, premier i minister spraw zagranicznych komunistycznych Chin, a będzie się to działo w obecności Dullesa, Edena, Mołotowa i Bidault. Jest to już samo przez się formą uznania". A inny znany publicysta amerykański, Walter Lippmann ostrze ga opinię amerykańską, że „konferencja w Genewie nie należy do wydarzeń, których możemy (tnz. USA) oczekiwać z wielkim zadowoleniem". Ale zdaniem Lippmanna obecnie nie należy jeszcze mówić otwarcie, że Stany Zjednoczone nie życzą sobie sukcesu konferencji w Genewie. Zdaniem Lippmanna należy chwilowo udawać, że Stany Zjednoczone gotowe są prowadzić rokowania. „Byłoby — pisze Lippmann — wielką głupotą ze strony Stanów Zjednoczonych, gdyby w ślepej zaciekłości uczyniły z siebie kozła ofiarnego, na którego zrzuci się odpowiedzialność za przesądzone niepowodzenie".

Pan Dulles więc, podobnie jak to było — i bez powodzenia — przed konferencją berlińską, z góry usiłuje zrzucić tę odpowiedzialność na Związek Radziecki. Oprócz szerzenia fałszywych poglądów, jakoby rząd radziecki zamierzał odwlec konferencję genewską, z inspiracji pana Dullesa aktywizuje się w tym samym celu klika Li Syn-mana w Korei. Propaganda południowo-koreańska usiłuje wmówić opinii koreańskiej, że kon-

ferencja genewska nie da rezultatów. Korespondent agencji Reutersa doniósł z Seulu, że według oświadczenia lisymanowskiego ministra spraw zagranicznych Stany Zjednoczone „nieoficjalnie zakomunikowały Korei Południowej, że może ona, jeśli zechce, zbojkotować każdą decyzję większości na konferencji genewskiej". Zaś „United Press" doniosła z Waszyngtonu, że Dulles w liście skierowanym do Li Syn-mana przyrzekł mu, iż „Stany Zjednoczone przerwą negocjacje w koreańskiej fazie konferencji genewskiej po 90 dniach, jeśli dojdą do wniosku, że komuniści stosują taktykę zwlekania".

Powtarzają się więc te same chwytul Dullesa, które w swoim czasie uniemożliwiły normalne wykonanie postanowień rozejmu w Korei na temat zwołania konferencji politycznej w sprawie przyszłości Korei. Równocześnie Li Syn-man buńczucznie występuje z prowokacyjnymi planami jakiejś „azjatyckiej konferencji antykomunistycznej", którą zamierza jakoby zorganizować wspólnie z Czang Kai-szekiem. Oczywiście tych pajaców pociągają za sznurki panowie z Departamentu Stanu i generałowie z Pentagonu.

Podobnie jak w sprawie Korei, również w sprawie Indochin imperialiści amerykańscy dążą do stworzenia takiej sytuacji, która utrudniłaby akcję konferencji genewskiej. Zwycięstwa wojsk ludowo-wyzwoleńczych Vietnamu wzmagają we Francji tendencje jak najszybszego zakończenia „brudnej" wojny w Indochinach. Ze strony amerykańskiej natomiast czynione są wszelkie wysiłki, aby nie dopuścić do zakoń-

czenia tej wojny. Waszyngtoński korespondent „Wall Street Journal“, Cromley, stwierdzając, że Waszyngton zdecydował się „uratować“ Indochiny, wyjaśnił, jak ten ratunek miałby wyglądać: **„Plan będzie polegać na tym — pisał korespondent „Wall Street Journal“ — aby spróbować przekształcić wojnę w Indochinach w wojnę Narodów Zjednoczonych, podobnie jak w Korei“.** W związku z tym nie bez znaczenia jest również przyjazd do Waszyngtonu francuskiego szefa sztabu gen. Ely, który po powrocie z Indochin, dokąd udał się z ministrem obrony Plevenem, pojechał z kolei do Ameryki, aby złożyć swoim mocodawcom w Pentagonie sprawę ze stanu operacji w Indochinach.

LOS Y UKŁADU O „ARMII EUROPEJSKIEJ“

RÓWNOLEGLĘ z usiłowaniami stworzenia klimatu niesprzyjającego konferencji genewskiej impe-

rialiści amerykańscy podejmują w Paryżu wszelkie kroki, aby zmusić rząd francuski do przyspieszenia ratyfikacji układu o „armii europejskiej“. Ambasador Stanów Zjednoczonych w Paryżu, Dillon, który w połowie marca powrócił do Paryża z instrukcjami Eisenhowera i Dulles, odbył natychmiast po powrocie w ciągu czterech dni trzykrotne rozmowy z ministrem Bidault, w toku których, według rewelacji prasy paryskiej, czynił rządowi francuskiemu gorzkie wymówki z racji „zaniedbania“ kalendarza, podyktowanego panu Bidault w Berlinie przez pana Dulles, ustalającego poszczególne etapy procesu ratyfikacyjnego.

Tygodnik „Tribune des Nations“ ogłosił treść tego osławionego „kalendarza“ amerykańskiego, zawierającego instrukcje dla rządu Laniel. Oto treść tego dokumentu:

„Daty, w jakich rząd francuski winien podjąć niezbędne zarządzenia, aby uzyskać ratyfikację układu o armii europejskiej przed 16 kwietnia:

1) Przed 6 marca: Francuzi i Niemcy rozpoczną dyskusję w sprawie załącznika C.

2) Przed 6 marca: na drodze dyplomatycznej rząd francuski proponuje bezpośrednio wybory do Zgromadzenia Europejskiego.

3) Przed 6 marca: nastąpią dyskusje między Bidault a Adenauerem w sprawie Saary. Pod koniec tych dyskusji poda się do wiadomości, że rozmowy zostaną zakończone na konferencji ministrów, przewidzianej na 23 marca. Adenauer wyjeżdża do Grecji 9 marca.

4) Przed 10 marca: rząd francuski postanowi wyznaczyć debatę ratyfikacyjną na koniec marca.

5) Przed 10 marca: rząd francuski wyda niezbędne zarządzenia, aby prace komisji parlamentarnych zostały zakończone.

6) 12 marca: Rada Organizacji Paktu Północno-Atlantyckiego i tymczasowy komitet Europejskiej Wspólnoty Obronnej zostaną poinformowane o treści deklaracji, którą złoży prezydent w sprawie gwarancji amerykańskich.

7) Przed 15 marca: zebranie tymczasowego komitetu Europejskiej Wspólnoty Obronnej, aby ustalić definitywnie projekt stowarzyszenia Europejskiej Wspólnoty Obronnej z Wielką Brytanią i projekt dwustronnego układu wzajemnej obrony między Stanami Zjednoczonymi i Europejską Wspólnotą Obronną (pozwoli to uzgodnić formę protokółów dodatkowych oraz rozpocząć redakcję „komunikatu interpretacyjnego“).

8) Przed 15 marca: Mollet wyznaczy na 24 marca datę nadzwyczajnego kongresu partii socjalistycznej i będzie kontynuował swoje rozmowy z lokalnymi organizacjami socjalistycznymi.

9) Przed 15 marca: rozpocznie się dyskusja w sprawie kosztów stacjonowania jednostek Europejskiej Wspólnoty Obronnej (jeśli okaże się, że jest to element naprawdę niezbędny dla ratyfikacji układu).

10) 15 marca: deklaracja prezydenta w sprawie gwarancji amerykańskich zostanie podana do wiadomości publicznej.

11) 15 marca: sposoby stowarzyszenia Europejskiej Wspólnoty Obronnej z Wielką Brytanią zostaną podane do wiadomości publicznej.

12) 22 marca: zebranie 6 ministrów spraw zagranicznych. Trzeba, aby Adenauer przerwał swoją podróż do Grecji i Turcji. Konferencja ministrów, przewidywana na 31 marca, zostaje anulowana. Ministrowie: a) osiągają porozumienie w sprawie konwencji przewidującej bezpośrednie wybory do Zgromadzenia Europejskiego, b) podpisują teksty dotyczące stowarzyszenia Wielkiej Brytanii z Europejską Wspólnotą Obronną, c) osiągają porozumienie ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie „komunikatu interpretacyjnego“.

13) 23 marca: Bidault i Adenauer ogłaszają wspólną deklarację, precyzującą zasady uregulowania problemu Saary.

14) 24 marca: rozpoczynają się obrady nadzwyczajne kongresu socjalistycznego.

15) Między 25 i 27 marca: ostatnie sprawozdania komisji zostają przedłożone Zgromadzeniu Narodowemu. Zgromadzenie Narodowe winno posiadać sprawozdania przynajmniej na kilka dni przed otwarciem debaty.

16) 31 marca: otwarcie debaty w sprawie Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Trzeba, aby Rada Republiki wypowiedziała się przed wakacjami wielkanocnymi. W każdym przypadku chodzi o terminy limitatywne, zwłaszcza odnośnie punktu „5“.

Ujawnienie przez prasę francuską tego amerykańskiego „rozkładu jazdy“ wywołało w oficjalnych kołach amerykańskich i francuskich wielką konsternację. Agencja „France Presse“ oświadczyła, że „francuskie koła dyplomatyczne ani nie potwierdzają ani nie zaprzeczają prawdziwości tekstu dokumentu“. Agencja United Press stwierdziła, że ujawnienie dokumentu ilustruje walkę, jaka w łonie rządu francuskiego toczy się w kwestii „armii europejskiej“. „United Press“ przyznała, że Stany Zjednoczone „pokładały wielkie nadzieje w rychłej ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnocie obronnej“ i wielkie jest obecnie ich rozczarowanie, jak wykazuje ten dokument“. Ani jedna bowiem data z tego skrzętnie i precyzyjnie ułożonego kalendarza nie została we Francji dotrzymana. Amerykański „rozkład jazdy“ przewalił się z kretesem.

Ujawnienie tego dokumentu zaalarmowało francuską opinię publiczną. Były premier Daladier, piętnując kalendarz amerykański, oświadczył: „Jak widać używa się wszystkich form nacisku ze zdwojoną energią. Musimy więc przed otwarciem debaty parlamentarnej pokazać całemu krajowi niebezpieczeństwa wypływające z Europejskiej Wspólnoty Obronnej nie tylko dla niezawisłości kraju, ale bardziej

jeszcze dla pokoju w Europie. Układy z Bonn i Paryża niosą w sobie zarzewie trzeciej wojny światowej. Zgaszą one nadzieje na stworzenie jakiegokolwiek nowego świata“.

Zaś wybitny publicysta francuski, prof. Lavergne wystąpił na łamach burżuazyjnego dziennika „Combat“ z ostrym atakiem na politykę amerykańską z racji tego amerykańskiego „rozkładu jazdy“. „Nigdy jeszcze — pisze Lavergne — kroniki dyplomatyczne nie zachowały wspomnienia równie nieuprzejmego języka pod adresem sojusznika. Ponieważ nasi ministrowie nie ośmielają się wam tego powiedzieć, wam — ministrom amerykańskim, na nas zwykłych obywateli francuskich spada obowiązek powiedzenia wam bez ogródek, co ogromna większość Francuzów myśli o tego rodzaju metodach“ — stwierdza Lavergne. „Czy przypadkiem nie mylicie Francji z nieszczęśliwym państwem Porto-Rico, uciskanym przez was przy zastosowaniu wszystkich metod kolonialnych, które potępiać u innych?“ — zapytuje Lavergne i ostrzega: „Nie maciecie złudzeń: naród francuski zbyt przywiązany jest do swojej niezawisłości, by zgodzić się na to ujarzmienie“.

Artykuł prof. Lavergne stanowi wierne odbicie nastrojów opinii pu-

blicznej we Francji. Toteż rząd francuski wykazuje niezdecydowanie w sprawie wyznaczenia daty na rozpoczęcie debaty ratyfikacyjnej. Według „Monde“ Bidault nalega, aby debata rozpoczęła się w pierwszych dniach kwietnia. Ministrowie gaullistowscy natomiast grożą podaniem się do dysmisji, gdyby debata została rozpoczęta przed konferencją genewską.

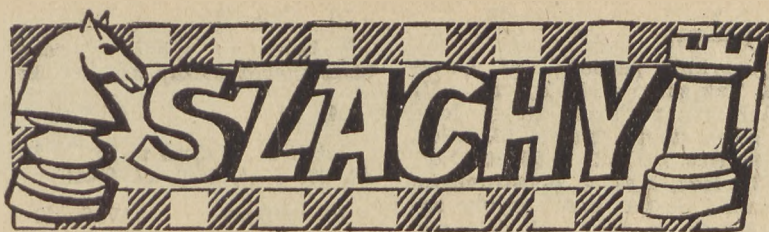
Również parlamentarne komisje spraw zagranicznych i wojskowych, rozpatrujące projekt układu o „europejskiej wspólnocie obronnej“, nie zakończyły jeszcze swoich prac. Wreszcie, jak doniosła AFP, prawicowi socjaliści, wśród których jest wyrażony rozłam w stosunku do zagadnienia „armii europejskiej“, zamierzają przed rozpoczęciem debaty ratyfikacyjnej w parlamencie zwołać kongres partii, aby ustalić wyraźną linię postępowania, co również opóźni rozpoczęcie debaty. Premier Laniel zaś zapewnił przewodniczącego komisji spraw zagranicznych, Daniela Mayera, że obstaje przy swoich warunkach wstępnych, wymienionych w deklaracji przy ubieganiu się o inwestyturę premiera. „W praktyce — alarmuje „United Press“ — wygląda na to, że Laniel żąda porozumienia w sprawie Saary z Niemcami, ściślejszego związania się Wielkiej Brytanii z europejską wspólnotą obronną oraz amerykańskiej gwarancji odnośnie stacjonowania wojsk USA w Europie jako warunków podjęcia debaty ratyfikacyjnej w sprawie armii europejskiej. Dyplomaci twierdzą — lamentuje „United Press“ — że stosując tę taktykę Laniel może zniweczyć europejską wspólnotę obronną“. Co do zagadnienia Saary

np. wiadomo, że odbyte dotąd rozmowy Bidault z Adenauerem do niczego nie doprowadziły i że sprawa Saary znajduje się w całkowitym impasie.

Naród francuski nie ma już dzisiaj żadnych złudzeń co do tego, co mu może przynieść „armia europejska“. Daje temu wyraz w kolejnym artykule w „Combat“ prof. Lavergne, który, kontynuując krytykę polityki amerykańskiej we Francji, oświadcza pod adresem Waszyngtonu: „Ważnym największym błędem jest wazsa polityka narzucania nam ratyfikacji układu o armii europejskiej, który wywołuje oburzenie olbrzymiej większości Francuzów. W wypadku ratyfikowania europejskiej wspólnoty obronnej nasza Alzacja i Lotaryngia, cały wschód Francji, a może okręg paryski byłyby na stałe okupowane, nie tylko przez siły europejskie, składające się w dwóch trzecich z żołnierzy niemieckich, ale również i przez pancerne dywizje niemieckie. Oznaczałoby to całkowite podporządkowanie naszych biednych ministrów woli Niemców. Lud francuski uważa to jednomyślnie za zdradę naszych podstawowych interesów narodowych“.

W tej sytuacji dojrzewania świadomości narodu francuskiego co do skutków „armii europejskiej“, szanse ratyfikowania układu o „europejskiej wspólnocie obronnej“ przez francuskie Zgromadzenie Narodowe maleją z dnia na dzień. Brutalny nacisk amerykański nie tylko nie prowadzi do zamierzonego przez Dulles'a celu, lecz odwrotnie — coraz bardziej realizację tego celu oddala.

STEFAN LITAUER



XXI MISTRZOSTWA ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

ROZEGRANY (tym razem w Kijowie) finał XXI mistrzostw ZSRR był nieco słabiej, w porównaniu z poprzednimi, obsadzony. Nie grali: mistrz świata Botwinnik, byli mistrzowie ZSRR arcymistrzowie Smysłow, Bronsztajn, Keres, Bolesławski, Kotow, Bondarewski, arcymistrz Tołusz i in. W rezultacie tegoroczny finał stał się walną rozprawą między licznie reprezentowaną czołówką młodzieży i kilku zaledwie arcymistrzami starszego pokolenia. Walka ta przyniosła młodzieży świetny sukces: zaszczytny tytuł Championa ZSRR przypadł arcymistrzowi Awerbachowi, który uzyskał (bez przegranej!) wspaniały rezultat: $14\frac{1}{2}$ p. (z 19 możliwych). II — III nagrodę podzielili: arcymistrz Tajmanow (również bez przegranej) i Korcznoj po 13 p., IV — V — trzeci młody arcymistrz, który ukończył turniej bez przegranej — Petrosjan i jedyny mistrz starszego pokolenia, który zdołał utrzymać się w czołówce — Lisicyn — po $12\frac{1}{2}$ p. Dalsze miejsca zajęli: Chołmow $10\frac{1}{2}$ p., Furman, Neżmetdinow i Suetin po 10 p., arcymistrz Heller(!) i Bywswzew po $9\frac{1}{2}$ p. itd. Arcymistrzowie Flohr, Lilienthal i Ragozin znaleźli się poniżej 50-procentowej granicy.

Mimo nieco słabszej, jak już wspominaliśmy, obsady — turniej stał jak zwykle na bardzo wysokim poziomie i był najpoważniejszą tegoroczną imprezą, znaczeniem nie ustępującą wielu turniejom międzynarodowym. Turniej przyniósł sporo zdobyczy teoretycznych i dał szereg cennych partii, a „dowodem rzeczowym“ będzie poniższa doskonała partia zwycięzcy turnieju arcymistrza Awerbacha z jego uwagami według „Trudu“:

OBRONA GRÜNFELDA

Białe: **J. Awerbach**

Czarne: **G. Iliwicki**

- | | |
|-----------|--------|
| 1. d2—d4 | Sg8—f6 |
| 2. c2—c4 | g7—g6 |
| 3. g2—g3 | Gf8—g7 |
| 4. Gf1—g2 | d7—d5 |
| 5. c4:d5 | Sf6:d5 |
| 6. e2—e4 | Sd5—b4 |

(Według dzisiejszego stanu teorii
za tego silniejsze uchodzi 6. ...Sb6—
Red.)

- | | |
|----------|-----|
| 7. d4—d5 | 0—0 |
|----------|-----|

(Dokładniejsze 7. ...c6, aby na 8. a3
móc odpowiedzieć 8. ...Ha5!—Red.)

- | | |
|------------|--------|
| 8. a2—a3 | Sb4—a6 |
| 9. Sg1—e2 | e7—e6 |
| 10. 0—0 | c7—c6 |
| 11. Sb1—c3 | c6:d5 |
| 12. e4:d5 | e6:d5 |
| 13. Sc3:d5 | Sb8—c6 |

Faza debiutowa zakończyła się
pomyślnie dla białych — ich figury
są korzystniej rozmieszczone.

- | | |
|------------|--------|
| 14. Se2—c3 | Sa6—c7 |
| 15. Sd5:c7 | Hd8:c7 |

16. Sc3—d5

Hc7—d8

17. $h_2-h_4!$

24. Gg5—f6!

Poświęcając jakość rozpoczynają białe niebezpieczny atak na króla.

24. ... Gb2:c1

Ježeli 24. ... G:a3 to 25. Wc4, Wf—
d8. 26. Wh4, Gh7. 27. Ge4!

25. Wf1:c1 Wa8—d8

26. f2—f4!

Białe nie dają się skusić odegraniem jakości, lecz postanawiają kontynuować atak.

26. ... Wd8—d6

27. Kg1—f2 Wd6:f6

(Oczywiście wymuszone groźbą 28.
Wh1. — Red.)

28. Sd5:f6 + Kg8—g7

29. Gg2:c6 Wf8—c8

Czarne zmierzają do utrzymania równowagi materialnej, u białych znajduje się jednak kombinacja, prowadząca do szybkiego zwycięstwa.

30. Sf6—e8+ Kg7—f8

31. f4—f5! Gg6—h7

Jeśli 31. ... G:f5? to 32. Sd6, a jeżeli 31. ... W:c6 to 32. W:c6, b:c6. 33. f:g6, K:e8. 34. g7.

32. g3—g4! b7:c6

Albo 32. ... W:c6. 33. W:c6, b:c6.
34. Sf6, Kg7. 35. S:h7, K:h7. 36. g5!
z wygraną dla białych pionową koń-
cówką.

33. Se8—d6 Wc8—c7

34. f5—f6! c6—c5?

Przed matem ratowało 34. ... Wd7, ale po 35. W:c6, Wd8. 36. Wc8, W:c8. 37. S:c8, a6. 38. Sd6 czarne również przegrywały.

35. Wc1—e1

i czarne poddały się.

(Wykryznik pochodzi od Awerbacha. Tak samo grał Najdorf w VI partii meczu z Finem, Nowy Jork, 1949, gdzie dalej nastąpiło 17. ...Gg6. 18. Gg5, Hc8. 19. Hd2, G:d5. 20. G:d5, Sd4. 21. Hd2, Hd7 z obustronnymi szansami i partia dość szybko zakończyła się na remis. Iliwicki wybrał słabszą kontynuację. Właściwym planem dla białych w tej „krytycznej” pozycji — po 16. ...Hd3 — jest prawdopodobnie nowe, b. silne posunięcie 17. Gf4! zastosowane w styczniu br. w II partii meczu Pachman—Filip, granego w Pradze, które daje białym znaczną przewagę. W cytowanej partii nastąpiło 17. ...Se5. 18. We1, Gg4. 19. Hb3, We8. 20. h3, Gd7. 21. Wa—d1 z wielką przewagą rozwojową białych. Jeżeli 17. ...G:b2? to według Pachmana: 18. Sc7!, np. 18. ...G:a1. 19. H:a1, Wb8. 20. Wd1. Gd7. 21. Sd5, f6. 22. Sc7! i wygrywa, albo 18. ...H:d1. 19. Wa:d1, Wb8. 20. Wb1, G:a3. 21. G:c6 ze zdobyciem figury. — Red.)

17. ... h7—h6

Nie dopuszcza do silnego ruchu
18. Gg5.

18. Gc1—f4 Gc8—f5

19. Wa1—c1 g6—g5

Czarne idą na komplikacje, których celem jest zdobycie piona b2.

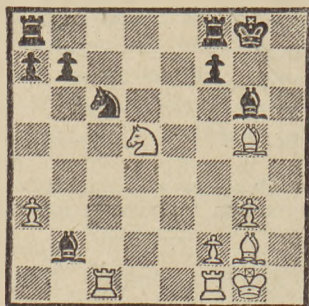
20. $h_4:g_5$ $h_6:g_5$

21. Hd1—h5 Gf5—g6

22. Hh5:g5 ' Hd8:g5

23. Gf4:g5 Gg7:h2

19. 211.160 211.162





ZNACZKI POKOJU WYDANE PRZEZ SZWAJCARIĘ



JUŻ w 1867 r. odbył się w Szwajcarii Kongres Pokoju, a w 1891 r. utworzone zostało w Bernie Międzynarodowe Biuro Pokoju, dla pogłębienia i umocnienia więzów między różnymi stowarzyszeniami pokojowymi. Pierwsza seria znaczków Pokoju została wydana w 1919 roku na zakończenie działań wojennych i składa się z trzech wartości.

Znaczek wartości 7 $\frac{1}{2}$ c zielonkawo-oliwkowy, przedstawia dwóch żołnierzy wrogich armii w braterskim uścisku na tle placu boju.

10 c czerwony i żółty przedstawia pokój w symbolicznej postaci kobiety trzymającej różdżkę oliwną.

Na znaczku 15 c fioletowym i żółtym, widzimy rozbrojonego, rannego żołnierza olśnionego „Słońcem Pokoju“.

W 1932 r. z okazji konferencji rozbrojeniowej, która się odbyła w Genewie, została wydana seria złożona z 6-ciu wartości, w dwóch różnych typach. Znaczki: 5, 10, 20, 30 i 60 c przedstawiają gołąbka trzymającego w dziobie gałązkę oliwną i wypoczywającego na zdruzgotanym mieczu. Jednofrankówka niebieska i szara wskazuje, że światło wychodzi z mroku. Symbolicznie przedstawia to u-skrzydłonego człowieka, trzymającego pochodnię w ręku.

W 1942 r. Szwajcaria z okazji swego święta narodowego wydała czerwony znaczek wartości 20 c, którego głównym tematem była „Pochodnia Pokoju“.

Następnie ukazała się w 1945 r. wielka seria składająca się z 13 wartości. Pierwszych 11 znaczków nosi napis: „Pokój ludziom dobrej woli“.

5 początkowych znaczków wielkimi cyframi przedstawia swoją wartość.

Każdy następny znaczek oddzielnie, pokazuje inny temat: 50 c — drzewo, 60 c — klucze, 80 c — róg obfitości, 1 fr — gołębica, 2 fr — odradzające się rolnictwo. Na 3 fr — słowo PAX wyrasta jakby spośród kwiatów; na 5 fr — dwie spracowane dłonie splecione w uścisku; na koniec 10 fr — przedstawia parę starców.

Szwajcaria była siedzibą licznych organizacji międzynarodowych, a mianowicie w okresie międzywojennym — Ligi Narodów (S. D. N.) i wtedy oddała do obiegu dwa znaczki przedstawiające budynek Ligi Narodów z dwóch różnych stron oraz przedrukowała dla potrzeb poczty S. D. N. (Société des Nations) pewną ilość swoich znaczków (w ilości 116 sztuk). I wreszcie w latach 1948 do 1950 wykonała nadruk „Nations Unies“ (Narody Zjednoczone) w 19 wartościach, w tym bowiem okresie wiele organów O.N.Z. mieściło się w Szwajcarii.



Miesięcznik „W Obronie Pokoju” ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: „Defense de la Paix“ rue Vivienne, Paris 2,

Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitu Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 10.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira“, Sofia, Ivan-Vazov 27.

WŁOCHY: „La Pace“, Rassegna internazionale del mese“,
Roma, Via Savoia 82.

MEKSYK: Revista „Paz“, Mexico 1, D. F., Avenida Jaurez 20.

CHINY: „Pao Wei Ho Ping“, Pekin, Taichichang 9.

NRD: „Friedenswacht“, Berlin W 8 Taubenstrasse 1-2.

NIEMCY ZACHODNIE: „Friedenswacht“, Stuttgart 0 —
Heinrich-Baumannstrasse 27.

JAPONIA: „Haiwa Yogo“, Japan Peace Committee 28.
Tamachi, Bunkyo-ku, Tokio.

RUMUNIA: „In Apararea Pacii“, Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19.

BRAZYLIA: „Partidarios da Paz“. Rua Sao Jose No 50,
Sala 502, Rio de Janeiro.

KANADA: „Peace Review“, 82 Gould St., Toronto.

FINLANDIA: „Tanaan“, 15/17 Erottajankatu, Helsinki.

IRAN: „Defae Az Solhe“, av. Ferdowsi Teheran.

INDIE: „Peace Review“. 14. Munshi Niketan, Kamla Market,
New Delhi (India).

W obronie POKOJU

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę miesięcznika „W Obro-
nie Pokoju” są przyjmowa-
ne:

Na okresy kwartalne:
do dnia 10-go grudnia
na I kwartał, do dnia
10-go marca na II kwar-
tał, do dnia 10-go czerw-
ca na III kwartał, do
dnia 10-go września na
IV kwartał.

Na okresy półroczne:
do dnia 10-go grudnia
na I półrocze, do dnia
10 czerwca na II pół-
rocze.

Na okres roczny —
do dnia 10-go grudnia.

Zgłoszenia na prenu-
meratę przyjmują urzę-
dy pocztowe i listono-
szc wiejscy.

Reklamacje prosimy
kierować do P. P. K.
„Ruch” — Warszawa, ul.
Srebrna 12.

